TĘCZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

TOM IV.

WARSZAWA.

1838.

2

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

TĘCZA.

Choć walki o pierwszeństwo ze słońcem nie toczy,
Ale miłemi barwy wdzięcznie bawi oczy.

ANGIELSKA KARNOŚĆ.

Na wielkim placu stolicy wysp Jońskich, w piękny sierpniowy wieczór 1829 roku, zgromadziło się kilkunastu wojskowych angielskich, na których twarzach, malowała się jakaś niespokojność. Upał przez cały dzień był nieznośny, a chociaż świéży morski wiatr zaczął już oziębiać powietrze, niewidać jednak było nikogo z przechadzających się zazwyczaj o téj porze, kiedy wspomnieni wojskowi wyszli z pałacu gubernatora, i zgromadzili się około jednego z dział, które raczéj dla ozdoby niż dla obrony esplanady, były tam ustawione.

Widoczném było, że oficerowie, wcześniéj jak zwykle wstali od stołu Sir Ralpha Stanley, aby tu rozpocząć żywą rozmowę o jakiéjś okoliczności, o któréj w obec gubernatora mówić nie mogli.

— Musiało tak wypaść, rzekł jeden z młodszych oficerów. Od dnia jego uwięzienia, nawet od dnia w którym wszedł do kompanji Magendie, przewidywałem, że nie obejdzie się bez nieszczęścia, bo Frank Willis jest zanadto szlachetny i dumny, żeby mógł się zgodzić z adjutantem. Ale majorze Veron, należałeś do sądu wojennego, jak też zachował się Frank, i jak się bronił?

— Wyrzekł się zupełnie obrony. Oskarżenie, które zasadzało się na tém, że on dopuścił się czynnéj obelgi względem jednego z oficerów, zaraz w początku było dokładnie dowiedzioném, a prócz tego kapral Batherford zeznał, że właśnie około tego czasu, kiedy występek miał być popełniony, spotkał Franka widocznie bardzo pomieszanego.

— A więc nie ma żadnego naocznego świadka jego czynu?

— Żadnego, zawołał Artur Stanley, synowiec i najmłodszy adjutant gubernatora, a zeznanie kapitana Magendie, tak było bez związku, niepewne i stronne, że pewny byłem, iż sąd wojenny, uzna Franka prawie zupełnie niewinnym. Ale po przesłuchaniu, które stary audytor Kedjeree z największą ostrością prowadził....

— Nie powiedziałeś nam jeszcze, jak Willis zbijał zeznania świadków; czy widać było na nim pomieszanie, kiedy sprawa zaczęła przybierać groźną postać?

— Nie widziałem nigdy więcéj godności i męstwa! gdyby był kamiennym, niemógłby okazać więcéj mocy i stałości; ani raz barwa jego twarzy nie zmieniła się, nie widać na nim było najmniéjszego wzruszenia.

— A kiedy wezwano go aby się bronił.

— Odpowiedział, że nic nie ma na swoją obronę. Jenerał jednak uważał tylko w téj odpowiedzi upór, i powtórzył zwykłe pytanie: „Co możesz odpowiedziéć na czynione ci zarzuty?“ i w téj chwili powstał ogólny szmer w sali, a staremu audytorowi, krew na twarz wystąpiła. „Powiedz, że cię zaczepiono! wołano ze wszech stron, zedrzéj maskę z twego oskarżyciela; nie biegnij dobrowolnie na śmierć; pokaż Jenerałowi pałasz, który w twojéj ręce strzaskany został, kiedyś jego synowi ocalił życie pod San Sebastian.“

— Stary Kedjeree, którego ta obraza powagi sądu wojennego, do największéj porywczości przywiodla, wzywał gniewnym głosem do porządku, ale napróżno.

— Potém, dodał major Veron, zebrał punkta processu, i po kilku chwilach narady, sąd wojenny wydał wyrok śmierci.

Krótkie milczenie nastąpiło między rozmawiającemi.

— Nie mamy, odezwał się znów jeden z oficerow, dzielniéjszego i odważniéjszego żołnierza jak Frank, jest on przytém dziecięciem pułku, naro-

dził się bowiem w Indjach, wpośród niebezpieczeństw odwrotu; jego ojciec Felfebel Willis, pozostał w tyle aby pochować w piasku żonę która skonała wydając na świat Franka, i nasi starzy żołnierze opowiadali mi, że dziecię w kilka chwil po urodzeniu obwinięte w iakąś płachtę, wrzucone zostało w furgon.

— On i w Hiszpańji znami służył, rzekł inny oficer.

— Jak sądzisz, majorze, zapytał trzeci, czy już nie ma żadnéj nadziei? To byłoby oburzającém, żeby Willis w ten sposób miał zginąć; bo choć on ani słowa o swojéj żonie podczas sądu nie wspomniał, cały pułk jednak wie co go tak rozdrażniło że się posunął do czynnéj obelgi względem swego starszego; a nakoniec znaną jest rozwiązłość kapitana Magendie, i jego miłość dla Bessy Willis.

— To prawda, odpowiedział Veron; ale stary Stanley jest jak żelazo nieugięty, kiedy idzie o przestąpienie karności; i nie można zaprzeczyć, że ułaskawienie w takim przypadku jest bezprzykładném. Gdyby jednak podobna było ocalić Franka, nie powinniśmy tego zaniedbywać. Sir Ralph jest mi przychylny jako przyjacielowi jego syna, który na moich rękach skonał; a ty Arturze, chociaż bez ustannie przez niego łajany, nie jesteś mu jednak nie miłym. Niezwłocznie zatém udajmy się do niego, podamy mu prośbę podpisa-

ną przez wszystkich prawie oficerów garnizonu, i będziemy ją wszelkiemi siłami popierać.

Sir Ralph Stanley cierpliwie słuchał wszystkiego, co mu major Veron o zasługach i dobrém sprawowaniu się osądzonego żołnierza powiedział, sam nawet wspomniał szczegóły zdarzenia pod San Sebastjan, i świetną wynurzył pochwałę obrońcy swego zmarłego syna, dodał jednak: — Bardzo bym chciał przeto aby w mojéj mocy było, zadośćuczynić prośbie garnizonu, tém bardziéj, że ją popiera mąż, którego ze wszech miar wysoko szacuję, i kocham, ale gorzka powinność nakazuie mi głos serca przytłumić. Służba bowiem wymaga, aby tak wielkie przekroczenie karności wojskowéj z największą surowością ukaraném było, a w takim przypadku żadne względy nie powinny powodować zdaniem sędziego. Jednėm słowem, majorze, jak kolwiek nie jestem obojętnym na twoje i mego synowca prośby, czuję jednak że mocno uchybiłbym mojéj powinności, gdybym się do nich przychylił.

Major długo jeszcze ponawiał swoje przedstawienia, ale Jenerał był nie wzruszonym. Mój przyjacielu rzekł on, masz do czynienia z starym żołnierzem, u którego waleczność i inne przymioty jakie Frank posiada, w wysokiéj są cenie, widzisz przeto, jak trudno mi dziś nie ugiętym być w dopełnieniu mojéj powinności; proszę cię więc nie osłabiaj mojéj stałości, twemi usilnemi prośbami. Willis musi umrzéć. Słońce dla niego

ostatni raz dziś zachodzi, a Bóg jest moim świadkiem, że sądzę iż to słońce nigdy dla dzielniéjszego jak on żołnierza nie wschodziło.

Głos, którym te ostatnie wyrazy powiedział, zdradzał wewnętrzne wzruszenie starego wojownika, i dlatego poszedł na drugi koniec pokoju, aby ukryć tę swoją słabość przed wzrokiem oficerów. Już teraz major utracił nadzieję szczęśliwszego zakończenia sprawy biednego Willis, wspomniał jednak jeszcze o nieszczęśliwéj żonie skazanego, i o namiętności ku niéj adjutanta, na którego oskarzenie Willis na śmierć został skazany. Słowa jego silne uczyniły wrażenie na umyśle starego gubernatora, nie mogły jednak zachwiać jego postanowienia.

Wspomnienie okoliczności, o któréj myśl sama oburzała młodego synowca gubernatora, obudziła długo tłumioną w jego sercu burzę. — Ponieważ Jenerale, zawołał gwałtownie, tak zaciętym jesteś względem najwaleczniéjszego żołnierza, z powodu nikczemnika takiego jak Magendie, upewniam, że nie można być teraz ani na chwilę pewnym spokojności. Dziwię się, że Willis, nie zabił tego łotra. Biedny Frank! chociaż dotknięty w tém co jest najświętszém dla człowieka honoru, odepchnął tylko podłego zalotnika; i taki człowiek ma być śmiercią karany? o, jenerale! twoja zaciętość politowania jest godną!

— Nie wiedziałem, kapitanie Stanley, że moje postępowanie podlega sądowi twojéj wysokiéj mądrości. Młodziеńcze, gdyby ci nie przeszkadzała twoja dziecinna lekkomyślność, byłbyś dawno już pojął, że żołnierz po sumienném wypełnieniu swéj powinności, w pokoju czy w wojnie, zupełnie może spać spokojnie. Jestem sługą praw, i nie pozwolę nigdy ganić moich postępków takiéj młodéj zapalonéj głowie jak twoja; bo z nich, po Bogu i Anglji, tylko samemu sobie winienem zdać sprawę. A teraz, majorze, bądź zdrów, przebacz mi moją pozorną nieczułość; a ty, Arturze, bądź przekonany, jeśli to przekonanie może ci być przyjemném, że bez wątpienia nie mniéj jak ty czuły jestem na los biednego Willis.

— I cóż? dobrą przynosicie wiadomość? zawołało więcéj niż dwadzieścia głosów, kiedy Veron i Artur wrócili do swoich współtowarzyszy. Major smętnie ściągnął ramiona.

— Musi umrzéć, rzekł powolnym głosem, i umrze jak dzielny żołnierz.

Odgłos capsztrychu i zbliżenie się nocy, rozłączyły oficerów, którzy smutni rozeszli się. Ci, którzy udali się do cytadelli, uważali że odgłosy placowek „kto idzie“ były drzące i smutne; ci zaś, którzy wrócili do koszar, widzieli żołnierzy stojących po czterech lub pięciu, z których jedni w ponurém pogrążeni byli milczeniu, inni zaś z cicha ale żywo rozmawiali. Najmniejszego zna-

ku wesołości nie można było dostrzedz, u tych zazwyczaj tak żywych i rubasznych ludzi: żadna pieśń nie brzmiała w koszarach, a kobiety chodziły z oczyma łez pełnemi.

Jedno z tysiąca okien gmachu, przez cały dzień nie było otwierane, i jeszcze większe panowało tam milczenie jak w całych koszarach. Nie jeden litosny wzrok podniósł się ku temu oknu, i nie jedne usta wymówiły z cicha przechodząc: „Miéj ją w swojéj opiece dobry Boże!“ Było to okno mieszkania Bessy Willis, któréj ostatnie chwile, wpośród najokropniéjszéj rospaczy szybko zbliżały się do końca; i Bóg miał ją w swéj opiece, bo nim świt następnego dnia zabłysnął, już jéj dusza wróciła na jego łono.

Przekonany, że słabość jego żony, oszczędzi mu okropnéj boleści ostatniego pożegnania, zdołał Willis do ostatniego tchnienia zachować męzką stałość, która go od czasu jego więzienia, ani na chwilę nieodstąpiła. Nietajny mu jednak był od samego początku los jego. Jako syn żołnierza, znał dokładnie surowość praw wojskowych, i dla tego ani na chwilę nie miał nadziei ułaskawienia; przeniósł chlubną śmierć nad haniebną karę rózg, i dla tego nie chciał żadném uniewinnianiem się łagodzić wyroku jaki miał być nań wydanym.

Smutne myśli, które mu przedstawiały obraz żony i małego dziecięcia, wycisnęły biednemu

więźniowi głębokie westchnienie, a po chwili gdy ukrył głowę w słomie, przyjazny głos, z cicha od zywający się w ciemności, przekonał go, że się nie sam w swojém więzieniu znajduje.

Podniósł się i zapytał, ktoby był u niego w téj chwili.

— To ja, Franku, twój dawny dowódca, twój przyjaciel, który cię przychodzi pożegnać, odpowiedział major Veron.

— O, panie majorze, czyliż jestem godzien,.... odpowiedział Willis wstając; ale pan byłeś zawsze dla mnie dobrym, i może inaczéj byłoby dziś ze mną gdybym słuchał napomnień pana majora względem mego porywczego charakteru.

— Siedź Willis, potrzebujesz spoczynku, rzekł major lekko zatrzymując go na posłaniu. Przyszedłem tu, aby się ciebie zapytać, czy nie masz jeszcze jakiego żądania na téj ziemi, bo nadzieja ułaskawienia znikła zupełnie... Jutro masz umrzéć, Willis! spodziewam się, że pojednałeś się z Bogiem i nie zachowujesz w sercu twojém gniewu na twojego oskarzyciela.

— Zupełnie nie, panie majorze, ponieważ przebaczyłem mu śmierć moją; i jeśli pan major chcesz dopełnić ostatniéj prośby umiérającego, skłoń pan oficerów garnizonu, żeby adjutantowi Magendje nie okazywali wzgardy, jaką w nich jego postępek względem mnie bez wątpienia obudził.

Nic mu w tym względzie nie przyrzekając, zapytał daléj baron, czy nie ma jakiego polecenia do swojéj żony, z którą wkrótce mą się na wieki rozłączyć?

— Chciałbym tylko, żeby mogła bezpiecznie z swojém dziecięciem wrócić do ojca. Powiédz jéj pan także, że do ostatniego tchnienia była jedyném szczęściem męża, który jéj obronę życiem swojém przepłacił.

— O Boże! a więc to jest prawdą?

— Dość o tém, panie majorze, jestem teraz dzięki Bogu spokojny, i niechciałbym...

W téj chwili przerwało im wéjście dozorcy więzienia, który z latarnią w ręku, poprzedzał jakąś zakrytą płaszczem postać.

— Jakto, tak późno ktoś obcy w więzieniu! kto to jest? zapytał Sir Ralph Stanley, zbliżywszy się do więźnia.

— Jest to przyjaciel, panie jenerale, odpowiedział major Veron, cieszący się już w myśli, że ułaskawienie więźnia sprowadza doń tak późno gubernatora.

— Willis, mówił jenerał do skazanego, który stał przed nim jakby broń prezentując; znam serce walecznego jak ty żołnierza, i dlatego nieobawiam się, abyś zachował dla mnie niechęć, za to, że powinność nakazywała mi podpisać twój wyrok śmierci. Podaj mi rękę Franku, obrońco mojego syna, mojego Edwarda, który teraz jest w niebie,

podaj mi rękę i bądź przekonany, że od téj chwili ja miéć będę staranie o twojéj żonie i dziecku.

— Jedna z tych dwojga w krótce za mną pojdzie, rzekł Willis, całując z uszanowaniem podaną mu rękę; ale niech cię Bóg wynagrodzi jenerale, za twoją opieką nad biedną sierotą. Niech będzie żołnierzem, moja śmierć nie będzie dlań plamą, bo wyjąwszy jedno, chwilowe zapomnienie się, życie Franka Willis było nienaganne.

— Tak jest odpowiedzieli razem Jenerał i Major Vernon. Bądź spokojnym o twego syna, i powiedz nam, co ci ostatnie chwile uprzyjemnić może.

— A przedewszystkiém precz z tém, dodał Jenerał spoglądając na okowy Franka; ja za niego ręczę.

Przy pierwszém uderzeniu młotka dla roznitowania kajdan, twarz Franka okazała gwałtowne cierpienie.

— Co to jest? zapytał Veron dozorcy.

— Okowy starły mu dawną ranę, odpowiedział zapytany, i Major przypomniał sobie, że Willis, pod San Sebastian, w chwili gdy z narażeniem życia, zasłaniał Edwarda Stanley, został postrzelony w prawą nogę. Rysy Gubernatora, majora, a nawet dozorcy, okazywały głęboką boleść.

— A teraz żegnam was panowie! rzekł Willis, dość już żalów nad człowiekiem którego świat odrzuca... Szanowny nasz kapelan, Sir O'Halloran.

przyrzekł przepędzić ze mną tę noc a nawet jutro z rana.

— Bóg z tobą Franku, jemu cię polecamy, rzekli uroczystym głosem obadwaj oficerowie wychodząc z więzienia, i oddalili się w milczeniu, żegnając się tylko niemém skinieniem głowy, tam gdzie się im rozłączyć wypadało.

Gdy odgłos działa dający znak pobudki, rozległ się po całym porcie, w chwili gdy pierwszy brzask świtu z wzruszonych jeszcze nocnym wiatrem wałów podnosił się, niejeden zbudzony tym odgłosem, czuł się zmęczonym jakby go okropne sny przez całą noc dręczyły.

Tymczasem garnizon w krótce stanął pod bronią, ponieważ zaraz po okropném wykonaniu wyroku, odbyć się miał przegląd. W niejakich przerwach, brzmiał ponury odgłos pokrytego czarną krępą bębna, i pułk do którego Willis należał, trzykrotnie obszedł wielki plac, przy odgłosie smierć wróżącéj muzyki. Gdy się pułk zatrzymał, było tak cicho, że nic niedało się słyszéć prócz głosu duchownego odmawiającego pogrzebowe modlitwy. Z odkrytą głową, sam bez żadnéj straży, szedł za sługą ołtarza Willis w zupełnym mundurze swego pułku, z rękami tylko w tyle związanemi, a przed niemi postępował mały oddział pułku, w którego szeregach, nieszczęśliwy Frank tylekroć dał dowody waleczności i tylekroć biegł śmiało przeciw niebezpieczeństwu. Teraz on nie biegł; krok

jego był powolny, wymierzony, ale niezachwiany, jego twarz była pogodna, chociaż blada, jak oblicze człowieka, który nie lęka się chwili zgonu, ale uważa ją za uroczystą i poważną.

Przygotowania były ukończone. Major Veron który na nieszczęście dnia tego musiał dowodzić pułkiem, głośno wydawał sprzeczne roskazy, i pierwszy raz w życiu stracił głowę w czasie służby. Ponury smutek panował nad tą całą rozdzierającą sceną, i ci nawet których ciekawość tam zwabiła, zdawali się być głęboko wzruszeni.

Przez cały czas w całym licznym tłumie najmniejszy szmer słyszéć się niedał. Frank spokojnie patrzał na trumnę, którą czterej jego dawni towarzysze postawili przed nim na piasku. Zachowanie się żołnierzy okazywało najmocniéjszą sprzeczność z uczuciami jakiemi byli napełnieni, i przedstawiało najdziwniéjszy obraz potęgi karności wojskowéj.

Nakoniec nadeszła chwila. Kompańja strzelców, ta do któréj należał Willis, dała ognia, i w tém samém mgnieniu waleczny żołnierz, który prosto stojąc z rąk swoich przyjaciół przyjmował śmierć z równą nieustraszonością z jaką pogardzał nią tyle razy w obliczu nieprzyjaciół, raz jeszcze z przeszytém sercem podniósł się, i bez ducha upadł na piasek.

Jeszcze godzina nie upłynęła, kiedy wesoła pułkowa muzyka dała znak rozpoczęcia przeglądu.

DWA SKIELETY.

(*Z pism H. Meynert.*)

Kto niejedną już podróż odbył, chociażby nie daléj jak ośmnaście lub dwadzieścia mil od swego rodzinnego miasteczka, ten wie bezwątpienia ile uroku, ile zabawnych i zajmujących niedogodności, przedstawia nam nocleg, w piérwszéj lepszéj oberży lub karczemce po drodze. Podróżni znużeni ciasném siedzeniem, rozespani jednostajném kołysaniem się powozu, zgodnie bardzo pomagają sobie wzajemnie, mieścić się ile możności najwygodniéj. Tego głowa spoczywa na ramieniu sąsiada, ów znowu powikłał swoje nogi z nogami naprzeciw niego siedzącego. W ten sposób jadą w stanie półczuwania, w lubém ociężałém zawróceniu zmysłów. Wtém nagle powóz zatrzymuje się, przyczém zwykle głowy podróżnych karambulują z sobą; woźnica otwiera drzwiczki, a oberżysta przybiegłszy na odgłos zatrzymującego się powozu, zbliża się i grzecznie mówi: „Proszę państwa, tu jest bardzo wygodny nocleg.“ Podróżni przeciérają oczy, zaledwie każdy może zebrać swoje członki, wysiadają nakoniec.

Nim osobne pokoiki zostaną poprzątnięte i ogrzane, wprowadzają gości tymczasowo do wspólnéj gościnnéj izby, gdzie furmani w niebieskich koszulach, chłopstwo, i wędrujący kramarze, na czysto wyszorowanym stole w prostych, ciekawych gruppach siedzą. Jakkolwiek widok ten jest bardzo pospolity i prawie codzienny, zwykle jednak warto zadać sobie tyle trudu, żeby mu się przyjrzéć; bo zawsze w podobném miejscu choćby przy niedobranémtowarzystwie i nienajlepszém oświetleniu, znajduje się coś zajmującego, choćby tylko naprzykład ładna szynkareczka albo wymowny oberżysta opowiadający ciekawe i zabawne zdarzenia gości, którzy tamtędy przejeżdżali, albo wiejski muzyk, śpiewający z towarzyszeniem arfy naprzemian czułe i śmieszne piosnki, albo nakoniec, cokolwiekbądź zasługującego na uwagę. To jest udział wszystkich wiejskich oberży.

Pewnego wieczora, w jednéj saskiéj oberży, zgromadzili się rozmaici goście, którzy, chociaż w podobném miejscu nic nie może być nadzwyczajném, niebyli jednak jak to mówią chlebem powszednim, i niejakie wrażenie sprawili na codziennych gościach oberży. Chociaż liczni furmani, zasiadłszy w około dużego stołu, starali się ile możności, za pomocą krótkich zaczernionych fajek napełnić gościnną izbę dymem, który jéj nadawał wéjrzenia jednéj z tych okolic mglistych, które Ossjan w swych pieniach sławił, tak dalece,

że unoszący się nad ich głowami świecznik z czterema łojowemi świécami, całą swoją powagę zebrać musiał, aby choć cokolwiek mógł być widzianym; było to jednak jakby słabym porannym wyziewem rosy, w porównaniu mass mglistych, które jakby z huty wydobywały się w około stołu przy oknie po prawéj stronie stojącego. Od razu zbliżyć się do téj okolicy byłoby bardzo niebezpieczném dla płuc i oczu. Ale wykaszlawszy się i wypłakawszy należycie, można było dostrzedz przy tym stole czterech wesołych uczniów, którzy w ciągu wakacji uwolnieni od nauki, właśnie byli na drodze do domu. Kopcili oni z długich kutasami przystrojonych cybuchów z porcelanowemi fajkami, szlachetny knaster, śpiewali ulubioną piosnkę: „Gaudeamus igitur" i całą gościnną izbę napełniali wrzawą wesołości.

Niedaleko od nich siedział przy osobnym stole wikwintnie ubrany jegomość, mogący miéć lat około trzydziestu sześciu. Oblicze jego było blade ale przyjemne, oczy jego spuszczone były w ziemię i zdawał się być zamyślonym. Niekiedy jakby budząc się z uśpienia szybko wypróżniał szklankę ponczu, którego dość sporą czarkę w pośród najuniżeńszych ukłonów, postawił przed nim oberżysta. W pewnéj odległości, w przestrzeni zapiecowéj, którą sascy wieśniacy piekłém nazywają, siedziała ubogo ubrana dziewczyna z bardzo ładną twarzyczkę. Mała nóżka w obszernym

podróżnym trzewiku ukryta, już nie jedną milę dziś przeszła, i biedne dziewcze, znużone i zziębłe, widocznie ucieszyło się znalazłszy to ciepłe i wygodne miejsce, w którém tę jeszcze korzyść miała, że mogła być bardzo mało albo prawie zupełnie niewidzianą. To były, doliczywszy dobrze utuczonego gospodarza, który pilnie uważał wypróżniane kufle i niezmordowanym był w ich napełnianiu, to były główne osoby obrazu, który w téj chwili przedstawiala izba gościnna.

Średni stół, przez długi czas z prawdziwie filozoficzną spokojnością, jednak nie bez niejakich oznak nieukontentowania, przysłuchiwał się burzliwym krzykom zwolenników dziewięciu towarzyszek Feba. Lecz gdy wrzawa nie ustawała, owszem co chwila bardziéj stawała się głuszącą, powstał z swego stołka, cokolwiek nieukontentowany podeszły już wieśniak, i zwróciwszy się w stronę, gdzie owi krzykacze siedzieli: „moi panowie, rzekł, każdy gość ma swoje przywileje, ależ nie można wymagać, żeby wszyscy mieli cierpiéć dla kilku. Wy moi panowie. krzyczycie i śpiéwacie, bez urazy waszéj, tak nielitościwie, że my przy naszym stole własnych słów nie możemy słyszéć. Tym czasem między zwyczajnemi tutejszemi gośćmi, ten jest zwyczaj, że o godzinie dziewiątéj kiedy się już na sen zbiérać zaczyna, jeden z towarzystwa opowiada innym rozmaite powieści. Ale jeżeli panowie, nie przestaniecie bawić się na swój

sposób, to my niebędziemy mogli zacząć, bo by jednemu płuca a drugiemu uszy nie wystarczyły.“

Te z dobroduszném nieukontentowaniem wymówione słowa, niechybiły swego celu, bo ci do których zostały wymierzone, weseli byli ale dobrze wychowani i spokojni młodzieńcy i najstarszy z nich odpowiedział przyjacielskim głosem: „Kiedy idzie o zajmujące powieści, to i nam miło będzie ich posłuchać, dla tego jeźli wola, zrobcie nam miejsce przy waszym stole, żebyśmy mogli lepiéj słyszéć opowiadającego.“

Wniosek został przyjęty, bo umysły i uszy gości średniego stołu, niczego bardziéj nie pragnęły jak spokojności; zsunięto krzesło, i czterej muz zwolennicy, zasiedli pomiędzy tłumem furmanów i wieśniaków. Wszyscy ciekawie zwrócili oczy na starego mówcę, który tak pożądany pokój wyjednał, a on przybrawszy poważną postać tak mówić zaczął:

Wiecie, mili bracia, że niéma w całym świecie tak mało znaczącego zakątka, żeby o nim coś godnego uwagi powiedziéć nie było można. Dla tego i nasza wioska może być przedmiotem mojéj mowy na dzisiaj. Pominąwszy bowiem inne ciekawe szczegóły, kościołek nasz godzien jest z wielu względów wspomnienia. Jest on wprawdzie mały i niepozorny; zaledwie obiąć może mieszkańców naszéj gminy; ale nie zawsze on był taki.

Przed nieszczęśliwą trzydziesto-letnią wojną, wcale tu inaczéj wyglądało. Wspaniały obszerny kościoł wznosił się na tém miejscu, gdzie teraz mały kościołek stoi, i co niedzielę napełniali go liczni mieszkańcy bogatéj gminy, wznosząc modły do Boga, który też pracom ich błogosławił. Przybycie Jenerała Holke, który był z urodzenia Duńczyk, i twardego serca człowiek, zmieniło postać rzeczy zupełnie. Domy nasze zostały popalone, spichrze zrabowane, bydło uprowadzone. Wybuchła późniéj zaraza, zabrała to co jeszcze pozostało; uderzyła ona ślepo na przyjaciół i nieprzyjaciół; porywała naszych ojców i żołnierzy którzy ich uciskali, nakoniec, było to w roku 1633, i samego Jenerała Holke, który pomimo wyznaczonéj wysokiéj nagrody sześciuset talarów, nie mógł znaleść kapłana, który by go w ostatniéj jego godzinie na śmierć przygotował; bo całe duchowieństwo, przed rozhukaném żołnierstwem schroniło się do pobliskich lasów. Nasi ojcowie mniemali że już najcięższą dolę przecierpieli, ale niestety, prawdziwe zniszczenie rozpoczęło się dopiero, kiedy naszą okolicę zaleli Szwedzi, dla tego dotąd u nas pozostało w użyciu ile razy jakie nieszczęście przewidujemy, mówić: dzieci módlcie się bo Szwedzi nadchodzą. Nasz piękny kościół został jednéj nocy przez pijanych Szwedów podpalony.

Po zawarciu pokoju zwolna zaczęli się podnosić zniszczeni mieszkańcy; uprawiono stratowane pola,

ponaprawiano uszkodzone chaty, nowo pobudowano w miejscu spalonych, zgromadzono szczęśliwym przypadkiem ocaloną część bydła, i wszyscy wzięli się ochoczo do pracy. Wtedy pobożniéjsi pomyśleli o odbudowaniu przybytku pańskiego. Uprzątniono gruzy, przy czém kobiety nawet i dzieci pracowały. Poczernione od płomieni kamienie ociosano, i wkrótce z ruin dźwignął się nowy kościołek, w prawdzie mniéjszy i uboższy, jednakże P. Bogu i ludziom miły. Ponieważ dla braku materjałów budowa musiała być zmniéjszoną, ta więc część która stanowiła lewe kaplice kościoła, pozostała teraz zewnątrz i została połączoną z cmentarzem. W tém to miejscu był familijny grób dziedzica; zrównano go z ziemią, otoczono żelazną kratą i położono nagrobki które dawniéj w podziemiu umieszczone były. Właściciele uczynili to najprzód z tego powodu, że z ubożeli przez wojnę i nie byli wstanie łożyć wdatków na rozprzestrzenienie nowéj budowy, powtóre i dla tego, że wczasie zarazy wiele rozmaitych trupów pochowano w owém podziemiu, i tym sposobem wartość rodzinnego grobu znikła. Szczególniéj wielu oficerów nieprzyjacielskich zmarłych w czasie zarazy, samowolnie pochowano w owym grobie. Przy wznoszeniu nowéj budowy, przeglądano o ile się to dało usunić wszystkie trumny i te, które nieprzyjacielska ręka tam umieściła, wyniosłszy pogrzebano w odleglejszéj stronie cmentarza.

Otóż tedy, powiadają, że jednemu trupowi, który przez pożar kościoła na mumję prawie został wysuszony, nie podobało się miejsce które mu teraz wyznaczono, i nazajutrz znaleziono go znowu w kościele na dawném jego miejscu. Mniemając że to był figiel którego z robotników przeniesiono trupa na cmętarz, ale następnego dnia znaleziono go znowu w kościele. Ta zmiana miejsca kilkanaście razy powtarzała się, aż nakoniec trwożni mieszkańcy, nie wiedząc jak sobie poradzić, umieścili owego upartego trupa w jednym ciemnym kąciku kościoła i zasłonili go firanką.

— A gdzież on teraz się podział? zawołało razem kilka innych głosów.

— Gdzieżby miał się podziać? odrzekł opowiadający nakładając swoję fajkę... Stoi jeszcze w tém samém miejscu, tylko że owa zasłona więcéj jak raz zapewne od owego czasu odmienianą była, i wygląda teraz prawie jak nowa.

— Niepodobna! zawołali znowu niektórzy z wyrazem podziwienia, ale starzy wieśniacy, których głos w tym względzie musiał być stanowczym, potwierdzili słowa opowiadacza.

— No i jakiż to związek ma z rzeczą? czyjże jest ten trup? zapytali niektórzy słuchacze, a między niemi, niebardzo łatwowierni muz synowie.

— Słuchajcie daléj, rzekł opowiadacz, z uśmiechem wewnętrznego zadowolenia, bo te wykrzykniki dowodziły mu, że powieści jego słuchanc

z zajęciem. Tego dziwnego trupa, który zresztą kontent był z przeznaczonego m miejsca i zachował się odtąd zupełnie spokojnie i przykładnie, od chwili postawienia go w tém miejscu, nikt już się nie tknął, wyjąwszy nieustraszonéj ręki czasu. Ta wszystko niszcząca dłoń, z owego i tak przez ogień wysuszonego trupa, zrobiła zupełny skielet, tak dalece, że byłby się zupełnie rozsypał, gdyby nasz zakrystjan, który połubił tego trupa za jego spokojne zachowanie się i przez wzgląd, że to była nawet dla obcych zwiedzających nasz kościół, zajmująca osobliwość, i dla tego powiązał mające rozsypać się kości za pomocą drutów, i tym sposobem trwałość im zapewnił. Wkrótce potem, kilku junaków, podchmieliwszy sobie porządnie, ukradli ów skielet pewnego wieczora, i przynieśli do téj izby, w któréj teraz siedziemy, posadzili go na ławce i spełniali po kilkakrotnie za jego zdrowie, tak, że nakoniec około północy pozasypiali. Ale jakież ich zadziwienie było, kiedy przebudziwszy się i przetarłszy oczy, nie znaleźli już na ławie owego skieletu. Pobiegli do kościoła, ujrzeli go na jego dawném miejscu, i z przestrachu ciężko zachorowali. Dwóch z nich umarło, a inni długo niemogli odzyskać zdrowia. Od tego czasu, bardzo wzrosło uszanowanie dla owego skieletu. Owczesny tutejszy dziedzic, człowiek małéj wiary, żartował z łatwowierności mieszkańców, a jednak

nie miał odwagi własną swoją osobą dowieść fałszywości ich mniemania. Aby wszakże coś przecie uczynić, nienarażając siebie, przeznaczył pięćdziesiąt talarów temu, ktoby ów skielet raz jeszcze z ulubionego mu miejsca wyniosł i u siebie zachował, pod tak pilną strażą, iżby nikt go napowrót do kościoła zanieść nie mógł, spodziewając się, że tym sposobem zniszczy zabobon mieszkańców. Pomimo jednak przyrzeczonéj nagrody najodważniéjsi nawet ludzie nie śmieli tak niebezpiecznéj sprawy przedsięwziąść.

Ale podówczas żyła w naszéj wiosce, młoda, piękna i odważna dziewczyna. Jéj ojciec biédny komornik, umarł kiedy jeszcze była dzieckiem, a wkrótce po nim i żona jego przeniosła się do wieczności. Ona sama, uboga, przymuszona służyć, kochała dzielnego chłopaka, równego jéj co do przystojnéj powierzchowności i poczciwego sposobu myślenia, ale równie jak ona biédnego. Podług utrzymującéj się między tutéjszemi mieszkańcami powieści, tylko przez kobietę mógł być ów skielet uspokojonym; ale w jaki sposób tego niewiedziano. Owa dziewczyna, była jakem już wspomniał odważną, a prócz tego pięćdziesiąt talarów były skarbem dla takiego ubogiego stworzenia. Za te pieniądze mogła wynająć sobie chatkę z polem, kupić krowę, słowem małe gospodarstwo zaprowadzić, i tym sposobem przyspieszyć połączenie się z kochanym swoim Jankiem. Udała się

do dziedzica, który przyrzekł jéj nawet powiększyć przeznaczoną nagrodę, jeśliby jéj przedsięwzięcie udało się. Poszła więc do kościoła, wzięła skielet i zaniosła do swego mieszkania. W nocy przebudziwszy się ujrzała że skielet znikł, a pomimo, że drzwi jéj izby były zamknięte, domyślając się, że go ktoś żyjący wyniósł, wstała natychmiast, i udała się do kościoła, od którego drzwi zakrystjan wręczył jéj poprzednio klucz z rozkazu dziedzica. Noc była ciemna i burzliwa, wiatr trząsł staremi kratami cmentarza, jakby ktoś gwałtem wejść do niego albo wyjść usiłował. Nawet odważna Joanna zadrżała, ale wkrótce uzbroiła się nowém męstwem, otworzyła drzwi i pociemku, szła ku dobrze znanemu miejscu. Zapuszczona firanka, którą odsłonioną zostawiła, przekonywa ją, że jéj zbieg istotnie już się tam napowrót znajduje. Wtedy gniew zajął miejsce trwogi; pomyślała sobie, że w takim stanie rzeczy, straciłaby przyrzeczoną nagrodę, a razem nadzieją zaślubienia Janka, obróciwszy się więc gniewnie do skieletu rzekła: „Przeklęte widmo! czyliż istotnie nie można cię ztąd wygnać? Chcesz mi złośliwie wydrzéć tego kogo kocham? Zobaczemy kto też przemoże!“ Po tych słowach ujęła silnie skielet i włożyła go na barki, chcąc go znowu do domu zanieść. Ale, o trwogo! czuje, że ją ktoś silnie przytrzymał, i nie może ani na krok postąpić. Przerażona chce zrzucić z siebie zaklęty ciężar i uciec,

ale kościane ręce silnie obejmują jéj szyję, i słyszy za sobą głos, który mówi: „Joanno, nie puszczę cię.“ — „Boże zlituj się nademną!“ westchnęła nieszczęśliwa, i zbiérając całą przytomność, zapytała: „Czegóż odemnie żądasz?“ — „Jeden jest tylko sposób, odpowiedział ten sam głos, ocalenia twego życia; udaj się do pod-ziemia po lewéj stronie głównego wejścia; znajdziesz tam kobietę, błagaj ją aby mi przebaczyła.“ — „Dobrze!“ zawołała Joanna, i w mgnieniu oka uczuła, że kościane ręce puściły ją. Jakby cudowną natchniona odwagą, idzie do wskazanego pod-ziemia, i przy świetle lampy postrzega piękną, bladą kobietę, z któréj piersi ciemny strumień krwi wypływał. Rzuca się na kolana, błaga o przebaczenie dla skieletu, ale skrwawiona niewiasta lekkiém skinieniem głowy odmawia.

Joanna wybiega; ale przy wyjściu ta sama ręka zatrzymuje ją, i znajomy głos rzecze do niéj: „Zatrzymaj się! Idzie o twoje życie! wróć się, i błagaj jeszcze raz o przebaczenie dla mnie.“ Przestraszona Joanna wraca się, i tkliwszym jeszcze głosem prosi skrwawionéj kobiety: „Ulituj się, przebacz skieletowi, przez wzgląd na mnie!“ Ale niebłagana postać, zwolna i lekko, jak pierwéj skinęła głową odmównie. Znowu Joanna odchodzi ku drzwiom, ale czuje się znowu, i silniéj jak pierwéj zatrzymaną i ten sam glos tylko bardziéj ponuro i groźnie, odzywa się: „Joanno, błagaj raz

jeszcze, błagaj o twoje życie, bo jeśli teraz odmówi, to ta chwila będzie chwilą twego zgonu!“ Drząca, przerażona dziewczyna, po trzeci raz wraca, i błaga, ale na jéj prośby głuchą jest skrwawiona niewiasta. W rozpaczy Joanna rzuca się jéj do nóg i jęczącym głosem woła: „Okrutna, zlituj się przynajmniéj nad moją młodością! Przebacz skieletowi, bo inaczéj ja umrzéć muszę!“ Skrwawiona postać spojrzała łagodnie na biedną, drżącą dziewczynę boleśnie ściśnięte usta otworzyły się, jakby dla wyrzeczenia słów przebaczających wtém, zegar kościelny wybił pierwszą, i w mgnieniu oka wszystko znikło, a Joanna znalazła się przy wyjściu z pod-ziemia i bez przeszkody pobiegła do domu.

To zakończenie powieści, niepodobało się owemu gościowi co zamyślony siedział przy osobnym stole, i z niedowierzaniem, ale razem nie bez zajęcia przysłuchiwał się opowiadaniu. Skończywszy swoją czarkę ponczu, wstał, zawołał na posługacza aby mu poświecił, i poszedł do swego pokoju, gdzie oczekiwał nań jego służący.

— No, jakże twój ból głowy Fryderyku? zapytał wchodzący łagodnie.

Służący, człowiek około lat trzydziestu kilku, wyglądał bardzo zdrowo, i zdawało się że gwałt sobie czyni przybiérając wyraz twarzy cierpiący i skarżąc się na ciągle nieznośny ból głowy.

— To mię bardzo martwi, rzekł pan. Żal mi i ciebie ze cierpisz, i prócz tego radbym był jutro ze świtem stąd odjechać.

— Nie podobna, łaskawy panie, szybko odpowiedział służący, potém dodał zwolna i żałośnie: czuję się tak słabym że nie byłbym w stanie udać się jutro w dalszą drogę.

Jakkolwiek słowa te wymówione były z uszanowaniem, można jednak było łatwo poznać, że Fryderyk wiedział ile pan ma dla niego względu, i znał dobrze o ile na umysł jego wpływ wywierać może, co nie jest wcale nadzwyczajném u wiernych sług długo jednemu panu służących; jest to skutek przywyknienia.

— Słuchajno, uśmiechając się rzekł pan; zaledwie bym nie pomyślał, że ciebie co innego tu zatrzymuje, że tak nie masz ochoty stąd się wyruszyć.

— A mój Boże, jak też pan mógł to pomyśléć, rzekł Fryderyk nie bez niejakiego pomięszania; ale widząc że pan uczynił tę uwagę bez żadnego dalszego znaczenia, dodał śmiałym już głosem: — Cóż by mię tu mogło zatrzymać, łaskawy panie? czy te cienkie rosołki, albo przyjemna wymowa któréj trudno zrozumiéć? Albo tutejsze dziewczęta, które wprawdzie nie są brzydkie, ale cóż z tego kiedy się z niemi rozmówić nie mogę? Nie, łaskawy panie, żaden uboczny wzgląd tu mię nie zatrzymuje — Tu spojrzał badawczo w oczy pana,

czy nie widać w nich jakiego śladu niedowierzania, a uspokoiwszy się w tym względzie, rzekł dalej: Tylko mój ból głowy, i przeklęcie zła droga, na któréj pewnobyśmy karki pokręcili. Zatrzymawszy się tu przez dwa lub trzy dni, będziemy mieli lepszą drogę, bo już zaczyna wysychać błoto po ostatnich ulewach, i tym sposobem wynagrodziemy to opóźnienie prędszą jazdą.

— No, zobaczemy jak się da urządzić, odpowiedział pan. Znudziłem się też porządnie dziś w wieczór jakąś bajką o duchach, którą opowiadano w gościnnéj izbie.

— Bajka o duchach! Ach łaskawy panie czemuż ja tam niebyłem! ja tak namiętnie lubię tego rodzaju powieści.

— Opowiem ci ją rzekł uśmiechając się pan jego, i po krótce powtórzył mu to co słyszał w gospodzie.

— Ale dla czegóż ta kobieta niechce mu przebaczyć? cóż ten skielet mógł jéj tak złego uczynić? zapytał służący po skończoném opowiadaniu.

— Tego ci już nie powiem, śmiejąc się odpowiedział pan; nie czekałem wyjaśnienia rzeczy. I teraz gniewam się w części za to na siebie, dodał, jakby szczególną myślą uderzony, nie dlatego żeby osnowa była bardzo zajmującą, ale ponieważ ja i ten skielet, jednakowy los mamy, a nawet jednakowe nosimy nazwisko.

— Jednakowe nazwisko, powtórzył Fryderyk z podziwieniem, a zatem wiesz pan kto był i jak się nazywał ów duch?

— To nie, ale wspominałem ci podobno, że kiedym poznał miss Annę, byłem wtenczas bardzo szczupły. Stąd Anna w przyjacielskiéj rozmowie, nazywała mię zawsze *swoim kochanym skieletem*. Ten przydomek pozostał mi i nadal, tak nawet nazywano mię we wszelkich towarzystwach do których uczęszczałem, szczególniéj dlatego, że moje niemieckie nazwisko trudne było do wymowienia dla anglików.

— Teraz ten przydomek, jest zupełnie niewłaściwym, rzekł Fryderyk. Od owéj pory, szczególnie podczas krótkiego pożycia z lady Anną, postać pańska znakomicie się zaokrągliła, i chociaż teraz zmartwienie i tęsknota wychudziły pana cokolwiek, jeszcze jednak niktby go nie porównał z skieletem.

— O bogdajbym się dotąd tak nazywał! smutnie zawołał pan. Któżby wówczas, kiedy mię miss Anna swoim lubym skieletem nazywała, i jak dziecko wesoło i niewinnie żartowała ze mną; któżby pomyślał, że ona teraz tak okrutnie, tak nieprzebłaganie uciekać będzie przedemną, dla jednéj chwili uniesienia, za którą tak gorzko przez tyle czasu pokutowałem. Ale ona jest angielka, stała i kochająca jak najszlachetniéjsza z ich rodu, jednak nie wolna od dziwactw im wrodzonych;

łagodna, dobra, a razem nieugięta, czuła a jednak zacięta, jak wszystkie angielki. Często w chwilach poważnego rozczulenia, które ją piękniéjszą od aniołów czyniło, mawiała mi: „Luby Rudolfie, ty jesteś mój kochany skielet, wprawdzie nieco zimny, ale stały, wierny, przynajmniéj do dalszego rozporządzenia, i uległy, o ile ci męski upór pozwala. Kocham cię Rudolfie, istotnie kocham cię, ponieważ umiesz pojąć uczucia mojego serca. Wiem ja, że w mojéj duszy jest jedna struna, twarda i niewzruszona, ale tyś tak dobry, tak tkliwy, ty mię nigdy tak ciężko nie obrazisz, żebym ci przebaczyć nie mogła.

Uważałem to wtedy za mały Epigram miłości, która jak mówią ma także swoje kolce; i istotnie pomimo mego gwałtownego temperamentu, miałem dobrą wolę, nie obrazić nigdy Anny. Nie byłoby nawet do tego nigdy przyszło, gdyby nie przeklęta żmija zazdrości, która mię piekielném żądłem swojém zraniła. Fryderyku, zazdrość jest zwodniczą, jeśli słuszna to i tak bezpożyteczna, a mordercza jeśli bezzasadna. Sama myśl o tém szaleństwie, tak mię wściekłością przejmuje, jak mię niegdyś samo to szaleństwo przejęło. O! zawsze ja jeszcze o tém myślę. Marino, był młodzieńcem nader przystojnym, cały żar południa płonął w jego czarném oku, a cały blask południowego nieba jaśniał na jego licach.

Kochał on Annę do szaleństwa, i gdyby w Londynie tak łatwo było o bandytów, jak we Włoszech, spodziewam się, że bez wielkiego zachodu byłby się mię pozbył, pierwéj jeszcze nim zostałem mężem Anny. Po długich nadaremnych zabiegach, miłość jego zamieniła się w rozpacz. Nabił pistolet i wymierzył go do swéj piersi. Broń za mocno nabita, rozerwała się i skaleczyła go tylko w ramię bez niebezpieczeństwa życia. Od owego wypadku, Anna, która już wtedy moją małżonką była, nie wspominała wcale o Marino, który dawniéj często był przedmiotem naszéj rozmowy. Jéj mowa o tym człowieku była dla mnie obojętną, teraz jéj milczenie zwróciło moją uwagę. Włoch prędko wyzdrowiał z swojéj lekkiéj rany, cierpienia, jakie poniósł, napełniły go nadzieją, jakby przez nie nabrał prawa do Anny. Zaczął on prześladować moją żonę z większem zuchwalstwem, jak przed jéj zaślubieniem. Dowiedziałem się, że jego zabiegi naraziły ją kilkakrotnie w towarzystwach na bardzo przykre położenie, unikała ona, staranniéj jak przed tém okazywać się w świecie bezemnie, ale jéj milczenie względem natrętnego włocha trwało ciągle, nawet wtedy, gdym przypadkiem lub rozmyślnie zaczął o nim mówić. To powiększało moję niespokojność, nie dałem jednak tego dostrzedz. Chciałem przekonać się, i pod róznemi pozorami często zostawiałem Annę samą. Marino, wkrótce sta-

rał się z tego korzystać. Jego usiłowania zbliżenia się do Anny stały się natarczywemi, a ja nie starałem się temu zapobiedz, nie myśląc, że przez to wystawiam Annę na obmowę. Jakoż wkrótce świat zaczął mniemać, że podobne jawne zabiegi muszą być tajemnie wspierane przez moją żonę, kilku przyjaciół bez ogródki wspominało mi o tém, przez co moje podejrzenia zwiększały się. Anna od niejakiego czasu stała się dla mnie oziębléjszą, i to nowym było pokarmem dla wściekłéj zazdrości, która okropnie szarpała moje serce. Mieszkaliśmy wtenczas, dla pięknéj pory, w domku wiejskim pod Londynem. Przez cały dzień nie byłem w domu, dowiedziałem się kilka szczegółów względem postępowania przeklętego Marino, i z piekłem w sercu, wracałem do mieszkania wcześniéj niż zwykle. Przesycony trucizną zazdrości i podejrzeń, niebardzo zdziwiłem się, ujrzawszy z jednego okna mojego mieszkania, zwieszoną sznurową drabinę, i szybko wstępującego po niéj człowieka, w którym p[illegible] [illegible]o ciemności, z łatwością poznałem mego ryw[illegible]; a jednak na kilka chwil krew ścięła się lodem we wszystkich żyłach moich, ale nagle puściłem się tą samą drogą co uwodziciel mojéj żony, wpadłem jak piorun do jéj pokoju, i znalazłem Włocha, u nóg jéj klęczącego. Gdy mię ujrzał, gniew i pomięszanie odebrały mu na chwilę przytomność. Miałem tylko laskę w ręku i w pierwszym zapędzie gniewu,

uderzyłem nią pomięszanego Włocha. Odskoczył, dobył sztyletu i rzucił się na mnie. Z wściekłą siłą wytrąciłem mu broń z ręki, i tak zapamiętale używałem mojéj laski, że Włochowi nic nie pozostało, jak sromotnie wymknąć się tym samym sposobem jak przyszedł. Spieniony stałem przed Anną. Ona spojrzała na mnie poważnie i surowo, i spokojnym zimnym głosem, zapytała: — „Cóżeś pan uczynił?“ — „Występna! krzyknąłem nie będąc już panem siebie, śmiesz mi jeszcze wyrzuty czynić! podniosłem sztylet, wytrącony Włochowi, i rzuciłem go na Annę. Widziałem jak zbladła przyłożyła rękę do piersi, ale wkrótce zebrała siły, spojrzała na mnie raz jeden, zdaje mi się, że łza błysnęła w jéj oku, i wybiegła z pokoju, powiedziawszy tylko: „Nie mamy sobie już oboje nic do powiedzenia, Sir Rudolf!“ usłyszałem, jak na klucz zamknęła swój gabinet. Moje zmysły mieszały się, okropne wzruszenie osłabiło mię, podniosłem leżący na ziemi sztylet, i wyrzuciłem go przez okno jak mogłem najdaléj, aby z nim razem zniszczyć wspomnienie tego wypadku. W tém miejscu gdzie leżał, było kilka kropel krwi na podłodze. Nie wiedziałem czy mordercze żelazo tylko zraniło Annę, czyliteż cios ten mógł być dla niéj śmiertelnym, dziś wiem że żyje, ale dlatego tylko aby uciekać przedemną. Wówczas śmiertelnie znużony i niezdolny myśléć, rzuciłem się na łóżko, i spędziłem noc w ponu.

rym snie gorączkowym, z którego mię nad ranem bolesne jęki obudziły. Przestraszony zerwałem się myśląc że to Anna, ale zawiodłem się, była to Krystyna pokojowa mojéj żony. Łzami zalana z najżywszemi oznakami żalu, upadła na kolana przed mojém łóżkiem. — „Czego żądasz Krystyno? zapytałem zdziwiony, czy przychodzisz z rozkazu twojéj pani?“ — „O nie, łaskawy panie! odpowiedziała smutnie, od mojéj pani już ja nigdy nie odbiorę rozkazu.“ — „Boże, czyżby umarła, krzyknąłem przerażony i zerwałem się z łóżka.“ — „Nie umarła, ale odjechała, odpowiedziała Krystyna, i już dla nas obojga na wieki jest straconą.“— „Więc pospieszę za jéj śladem, krzyknąłem; zapomniawszy w téj chwili o mniemanym występku Anny.“ — „Napróżno, odrzekła Krystyna. Mylady przed sześciu godzinami już odjechała i nikt nie wie w którą stronę. Natychmiast po wczorajszym wypadku, rozkazała Mylady potrzebniéjsze rzeczy zapakować, zaprządz do jéj pojazdu, i w chwilę znikła mi z oczu. „Piekło, i przekleństwo! zawołałem. Ale ona mię zwiodła, jest występną, lepiéj zatém że się już nigdy nie zobaczemy!“ — „Występną? powtórzyła Krystyna z westchnieniem. O panie, nie powtórz nigdy tego niesprawiedliwego wyrazu. Mylady jest czystą i nieskażoną jak światło słoneczne.“ Te słowa przejęły mię lodem. Rozkazałem Krystynie powstać, i opowiedzieć mi

sumiennie, wszystko coby w tym przedmiocie wiedzieć mogła.

— Młody Włoch, tak mówiła Krystyna, ścigał Mylady nieodstępnie w każdym jéj kroku, tysiące podstępów używał aby dopiąć zamierzonego celu. Mylady wzgardą mu tylko odpłacała. Od chwili zamachu, który Marino na swoje życie wykonał, zachowała zupełne milczenie o nim, nawet w tedy, gdy to mogło dla niéj stać się niebezpieczném. Jéj szlachetna duma mniemała, że cnota jéj dostateczną jest do przezwyciężenia zasadzek bezwstydnego natręta, i że niepotrzebuje żadnéj obcéj opieki, a tém mniéj męża, który niesprawiedliwą zazdrością opanowany, umyślnie nie starał się żadnéj stawić przeszkody zabiegom nieprzyjaciela, a nawet pomagał im prawie, zapewne dla doświadczenia cnoty swéj małżonki. Skoro tylko Mylady postrzegła to postępowanie pańskie, wkradło się do jéj serca nieukontentowanie, a nawet, przebacz pan ostrości tego wyrazu, brak szacunku dla męża, który szlachetną małżonkę tak mało cenić był zdolny, iż gotów był lekkomyślnie stawić ją jakby na kartę. Odtądto zaczęła obchodzić się z panem ozięble, co pan bez wątpienia mylnie sobie tłumaczyłeś. W tym samym czasie Marino odziedziczył znakomity majątek po jednym z swoich krewnych, i stał się od razu bogatym i od nikogo niezawisłym. Ponieważ on każde zdarzenie starał się obrócić na korzyść swojéj nieszczęśliwéj namiętno-

ści, spodziewał się przeto że tak świetna zmiana w jego losie, zdoła dopomódz jego zamiarom. Starał się moje zaufanie pozyskać, nieszczędził prośb i darów, aż nakoniec występna, zaślepiona blaskiem złota, którém mię obficie obdarzył, przystałam na jego żądanie, i wczoraj w wieczór, ponieważ klucze od drzwi domu, Mylady zwykle u siebie chowała, zruciłam mu z okna sznurową drabinkę. W szaloném mniemaniu, w którym go zarozumiałość jego utwierdzała, że zbliżenie się jego będzie dlań zwycięztwem, wdrapał się po drabinie, wszedł do pokoju Mylady i z uniesieniem rzucił się jéj do nóg. Na jego przybycie, Mylady zerwała się z okrzykiem przestrachu, i chciała właśnie wyjść z tego pokoju, kiedy pan wszedłeś za śladem Włocha.

Słuchałem opowiadania Krystyny, bez duszy prawie. Ona rzuciła mi się do nóg, błagała przebaczenia, chciała ażebym odebrał od niéj złoto, które jéj dał Marino, aby ulżyć swemu sumieniu wyrzeczeniem się źle zasłużonéj zapłaty. Zwróciłem jéj te pieniądze, dodałem nawet znaczną jeszcze kwotę, i przebaczyłem jéj, pod warunkiem, żeby opuściła Anglją. Przyrzekła to, i byłaby bez wątpienia dotrzymała przyrzeczenia, gdyby nie nerwowa gorączka, która jak słyszałem wkrótce po jéj wyjeździe z Londynu, dotknęła ją i o śmierć przyprawiła. Znałem dokładnie stały, może nawet zacięty umysł Anny, i czułem, że słowa,

które wymówiła wychodząc z pokoju swego w ów fatalny wieczór, rozdzielają nas z sobą na zawsze, i że ani tęsknota z jéj, ani żal i cierpienia z mojéj strony, nie zdołają ją skłonić do pojednania się ze mną, nawet w przypadku gdybym wynalazł miejsce jéj pobytu. Całe uczucie zemsty w mojém sercu zwróciło się na nikczemnego Marino. Pragnąłem mordercę mojego szczęścia zniszczyć, a potém błądzić po świecie nigdzie stałego nie obierając mieszkania; ale i tu los zniweczył moje nadzieje. Jeden z braci Anny, nazajutrz po owym wypadku wyzwał Włocha, i w pierwszém starciu, zadał mu cios śmiertelny tak, że zbrodniarz bez jęku ducha wyzionął.

Fryderyk w części tylko słuchał długiego opowiadania swego pana; naprzód, ponieważ dokładnie znał szczegóły tego zdarzenia, powtóre, ponieważ w téj chwili rozmaite myśli krzyżowały się w jego głowie.

Niektórych jednak miejsc słuchał z uwagą, jakby chciał porównać je z swojemi postrzeżeniami, a kiedy pan jego przestał mówić, Fryderyk odezwał się: Istotnie łaskawy panie, los tego skieletu, który tak upornie trzyma się swego miejsca, musiał pana żywo zająć. Pominąwszy, że przez żart jesteś pan jego imiennikiem, godném uwagi jest podobieństwo niektórych okoliczności w przeznaczeniu pańskiém i tego skieletu, które w czasach zabobonniéjszych mogłoby podać przedmiot do śmiesznych mnie-

mań. J tu, i tam młoda piekna zraniona niewiasta, zacięcie wzbrania się przebaczyć temu, który ją obraził i powodem jest jego niepokoju. Żeby można dowiedzieć się końca téj powieści, założył bym się że i tamten skielet zgrzeszył przez niesprawiedliwą zazdrość.

— Bardzo być może! odpowiedział pan bez myśli, ale toby mi się na nic nie przydało.

— Chociażby i tak! mówił Fryderyk, nieznacznie spoglądając na pana, Okaż się pan wspaniałomyślnym dla swego kościanego towarzysza nieszczęścia! możeby on był już szczęśliwym po owych odwiedzinach odważnéj Joanny, gdyby nie uderzenie pierwszéj godziny, możeby zakrwawiona niewiasta przebaczyła mu, i wróciła mu pokój wieczny. Może ona teraz nie jest już tyle zaciętą i zapewnie podobna próba lepiéjby się teraz udała. Teraz jest godzina dziewiąta; do pierwszéj godziny, która jest dla duchów godziną spoczynku, mamy jeszcze dość czasu. Gdybyś też pan, jak niegdyś ów dziedzic, poświęcił cokolwiek pieniędzy dla zachęcenia kogo, aby raz jeszcze skielet ów z miejsca jego poruszył, i poszedł prosić krwawéj niewiasty o przebaczenie dla niego?

— Smieszny jesteś dziwak, mój Fryderyku, gdybym cię od tylu lat nie znał za uczciwego i przywiązanego do mnie człowieka, twoje żądanie mogłoby mię na jaką nienajpochlebniéjszą myśl naprowadzić.

— Łaskawy panie, odpowiedział Fryderyk spokojnie, chociaż rumieniec nieukontentowania pokrył twarz jego; chojność pańska dla mnie, która mię już bogatszym nad mój stan i potrzeby uczyniła, powinnaby mię zasłonić od tego rodzaju podejrzeń, jeśli moje postępowanie nie było dotychczas zdolne zasłużyć sobie na pańskie zaufanie.

— No, no, bądź dobréj myśli, wszakże powiedziałem, że przekonany jestem o twojéj poczciwości. Dla saméj osobliwości przystaję na twe żądanie. Oto masz tu sakiewkę w któréj jest sto Frydrychsdorów, zobaczemy co się też da uczynić za pomocą tych pieniędzy, dla szczęścia mego kościanego towarzysza niedoli.“

— Dziękuję panu za ten dowód zaufania, zawołał rozczulony Fryderyk i z zapałem ucałował rękę pana. To złoto skuteczniéjszém będzie jak wszystko; wkrótce dowiesz się pan więcéj.“

Wybiegł szybko i pędem przebył wschody, ale ny dole zwolnił kroku i wszedł z obojętną twarzą do gościnnéj izby.

Tu, od czasu oddalenia się jego pana, żadna ważna zmiana nie zaszła. Wieśniacy przy końcu powieści, po kilku: „hm! hm!, zaczęli się wzajemnie przysuwać do siebie jakby dla dania sobie otuchy, a zwolennicy muz śmieli się głośno albo odzywali się z uszczypliwemi uwagami niedowiarstwa.

To rozdwojenie zdań nie było korzystném dla opowiadającego, zamilkł więc na chwilę, aby dać czas umysłom do zbliżenia się w zdaniu, i właśnie chciał rozpocząć dalszy ciąg swéj powieści, kiedy został wywołanym przez parobka swego, i musiał na chwilę oddalić się z gospody, z przyrzeczeniem że wkrótce powróci. Słuchaczom nie było miłém jego odejście; pałali oni niecierpliwą ciekawością dowiedzenia się od niego dalszych jeszcze szczegółów tego wypadku, i tymczasowo wysilali się na rozmaite domysły. W takiém usposobieniu znajdowało się towarzystwo gospodnéj izby, w chwili kiedy Fryderyk wszedł do niéj. Miał on tę korzyść z chwilowego oddalenia się opowiadającego, że nie stracił nic z ciągu powieści, któréj początek pan jego mu opowiedział. Dla dopełnienia jego pociechy, ów opowiadacz wszedł zaraz po nim, i z wielką radością wszystkich ciekawych, zajął swoje miejsce przy wielkim stole. Natychmiast, ze wszech stron obarczony został pytaniami, co się stało z Joanną po owéj okropnéj nocy? — Mili przyjaciele, odpowiedział zapytany; podanie ludu jest to bardzo niewdzięczne stworzenie, dopóty ono tylko troszcze się o swoich bohaterów, dopóki ich potrzebuje. Skoro tylko rola którego z nich ukończy się, zostaje jak stary sprzęt odrzuconym i zapomnianym. Dlatego to, nie wiele mogę wam opowiedzieć o dalszym losie odważnéj Joanny. Powiadają, że doniosła o ca-

łém zdarzeniu dziedzicowi, który jéj opisem i widocznemi śladami przestrachu jakiego doświadczyła, tak był wzruszony, iż pomimo bezskuteczności jéj postępku, kazał jéj wyliczyć przyrzeczone pięćdziesiąt talarów. Poszła ona za swojego Janka, ale od owéj okropnéj nocy postradała wrodzoną swoję wesołość i nigdy jéj już nie odzyskała.

— Czy przykład Joanny nie znalazł późniéj naśladowców? zapytał z uśmiechem, zapalając swoją fajkę jeden z podróżujących uczni.

— O ile mi wiadomo, nikt już nie chciał się narażać na niebezpieczeństwo postradania życia, gdyby skrwawiona niewiasta, okazała się nie ubłaganą. Tém bardziéj że jak to już wspomniałem, tylko kobieta i to młoda, może być wybawicielką tego skieletu. Prócz tego żaden z właścicieli tutéjszéj wioski, niechciał tracić pieniędzy dla zbawienia skieletu, który jak mówiłem zachowuje się zupełnie spokojnie i nikomu nic złego nie czyni. Ale posłuchajcie daléj! Przed dwoma laty, przybyła tu nieznajoma piękna kobiéta. Postać jéj i ubiór oznaczały obcą, znakomitą osobę. Kupiła wiejski domek nad wielkim stawem, w którym dotąd mieszka, ale nie pokazuje się nigdy i nieprzestępuje granic swego gęsto zarosłego i wysoko oparkanionego ogródka. Nikt do niéj wstępu nie znajduje, nawet tutéjsi żebracy, którzy ją uwielbiają jako swoję hojną dobrodziéjkę, otrzymują

od niéj jałmużnę za pośrednictwem jéj służącéj, równie jak ona bladéj i milczącéj; która także zaopatruje się co tydzień w potrzebną ilość pożywienia.

Ta pełna tajemnicy osoby obudziła wkrótce ciekawość całéj wsi, i zabobonne stare kobiety utrzymują, że ta kobieta nie jest żyjącą istotą, ale oddawna zmarłą i tylko jako widmo błąkającą się na naszéj ziemi. Przypadek, posłużył do utwierdzenia wielu w tém mniemaniu. Jeden śmiały parobek z naszéj wsi, który koniecznie chciał się przekonać, czy owa nieznajoma jest tylko duchem czy też istotą z ciała i krwi złożoną; znalazł sposobność zakraść się pewnego wieczora do jéj ogrodu, i ukrył się w gęstwinie niedaleko od jednéj altanki nad wodą. Wkrótce okazała się oczękiwana nieznajoma, i usiadła w téj saméj altance, przez co ukryty parobek mógł usłyszéć każde jéj słowo. Długo siedziała w milczeniu niekiedy tylko wzdychała, albo krótkie, ucinane wyrazy w niezrozumiałym dla podsłuchującego języku wymawiała. Nagle zerwała się i wprawdzie po Niemiecku ale obcym akcentem zawołała: „Nie, nigdy mu nie przebaczę!“ a potem dodała łagodniéj: biedny skielet! a jednak, nie mogę mu przebaczyć! Nie trzeba było więcéj owemu śmiałkowi; jak mógł najspieszniéj wyniosł się z ogrodu, i nazajutrz cała wioska, o tém tylko mówiła, że już zagadka rozwiazana, że ta nie znajoma

jest ową skrwawioną niewiastą napróżno błagana przez Joannę o przebaczenie skieletowi; własne jéj słowa, przytoczone przez parobka który ją podsłuchał potwierdziły to mniemanie, którego z swojéj strony nieznajoma nie stara się obalić.

— Szkoda, że tylko kobiety mogą się przydać w tym przypadku, zawołali śmiejąc się zwolennicy muz.

— Ale, zapytał jeden z nich, obracając się do opowiadającego: nie powiedzieliście nam jeszcze, czém ów skielet obraził tak ciężko owę piękną skrwawioną niewiastę? Jakie jest jego przewinienie?

— Zamilczałem tylko o tém czego sam nie wiem, odpowiedział zapytany. W ogóle niewiadomo zupełnie, przez jaki występek zasłużył nasz skielet na gniew pięknéj nieznajoméj.

Fryderyk aż dotąd siedział spokojnie, z uwagą słuchając opowiadania, i popijał sobie szklanką wina. Teraz powstał, zbliżył się do wielkiego stołu, i rzekł:

— Mości panowie, darujcie mi że się mięszam do waszéj rozmowy; czynię to jedynie, ponieważ mogę cokolwiek jeszcze dodać do powieści, którą słyszeliście przed chwilą. Z powodów, które na stan téj rzeczy nie wpływają, przez kilka dni pobytu mego w téj wiosce, nie żałowałem czasu, trudu i pieniędzy, aby cokolwiek przynajmniéj

wyjaśnić to zawikłane podanie. Ale owoc poszukiwań moich jest bardzo nieznaczy, ogranicza się bowiem na niektórych szczegółach względem winy skieletu.

— Ach! udziel nam ich pan! zawołało jakby jednym głosem całe towarzystwo.

— Skielet ten, mówił Fryderyk, który prawdopodobnie jest pozostałością po którym z nieprzyjacielskich oficerów, zamieszkałych tu podczas trzydziestoletniéj wojny, dręczył swoję cnotliwą i piękną małżonkę, niesprawiedliwą zazdrością; boleśnie zranił jéj miłość własną, i razu pewnego w przystępie zaślepionéj wściekłości, rzucił za nią sztyletem, i skaleczył ją. Mówią, że wkrótce żałował tego postępku, ale umarł nie otrzymawszy przebaczenia od swéj małżonki, która oddaliła się od niego zaraz po nierozważném jego względem niéj kroku, i żyła w téj wiosce w ukryciu. To jest wszystko co słyszałem.

— Dość mało! odezwało się kilku z towarzystwa, których to objaśnienie nie zaspokoiło.

— Istotnie bardzo mało, rzekł daléj Fryderyk, a jednak mię to dużo pieniędzy kosztowało, to jest z ręki mojego pana, który koniecznie postanowił wyjaśnić ten szczególny wypadek. Możecie sobie panowie wystawić jak mocno pan mój tém się zajmuje gdy oto przed chwilą dał mi sto frydrychsdorów, (to mówiąc, położył na stole sakiewkę z pieniędzmi) które mają być nagrodą dla téj

kobiety, która odważy się jak niegdyś owa Joanna, skielet z jego miejsca zabrać, i w przypadku, gdyby zobaczyła tę bladą skrwawioną niewiastę, prosić ją o przebaczenie dla biednego jéj męża.

Brzęk złota, obudził podziwienie w całém towarzystwie; wszyscy wielkiemi oczami spojrzeli na Fryderyka. Obecny tam handlarz zboża, spojrzał niedowierzającym wzrokiem na pieniądze leżące na stole, ale po chwili poważnie kiwnąwszy głową, rzekł: — „Istotnie; śliczne, ważne frydrychsdory, czyste jak słońce.

— Czyby nie można w dzień, wynieść z kościoła ten skielet? zapytał smiejąc się jeden z uczni.

— Trudno, odpowiedział sucho Fryderyk. Było by to w prawdzie mniéj niebezpiecznie; ale tu idzie o wyzwolenie biednego skieletu, do czego koniecznie potrzebném jest przebaczenie skrwawionéj niewiasty. Ponieważ zaś damy z krajów nadpowietrznych i podziemnych, o północy tylko udzielają posłuchania, trzeba zatém koniecznie o dwunastéj godzinie w nocy do niéj się udać.

— Szkoda! odezwało się kilku wieśniaków, w takim przypadku, żadna pewno z naszych kobiet nie pokusi się o te piękne pieniądze.

— Niech mię gromy biją! dodał jeden z uczni; nie jestem kobietą, i taka sumka bardzo by mi się przydała, ale, przyznam się że nawet za dwa razy tyle niechciałbym narażać się na tę nocną wy-

prawę. Kilka jeszcze uwag uczyniono w tym przedmiocie, i Fryderyk zaczął się już niecierpliwić.

Tymczasem, owa ładna dziewczyna która przez cały wieczór jakby w letargiczném uśpieniu siedziała w kącie za piecem, powstała i prawie niepostrzeżona zbliżyła się do stołu; spojrzała na uśmiechające się do niej złoto i nagle odezwała się mocnym głosem. „Ja podejmuję się tego!“

Towarzystwo całe spojrzało się z podziwieniem na małą bohaterkę. Ucieszony Fryderyk, wziął ją uprzejmie za rękę i rzekł: — Lube dziewcze chcesz że istotnie na ten śmiały krok się odważyć?

Tak jest! odpowiedziało dziewcze z spuszczonemi oczyma ale pewnym głosem, chcę zarobić te pieniądze, aby je zanieść mojemu słabemu ojcu, którego musiałam odstąpić, aby dostać gdzie służbę i zarobić na chleb dla niego.

— Dostaniesz je, dobre dziecko i wrócisz do twego ojca, rzekł wzruszony Fryderyk; odprowadził ją na stronę, i coś jéj z cicha szepnął do ucha. Tylko się nie lękaj, dodał głośno; daję ci moje słowo, że skielet nic ci złego nie uczyni, i skrwawiona kobiéta nie długo każe ci się prosić.

— Ah! rzekła dziewczyna, gdyby to było prawdą, że ta piękna blada pani, mieszkająca nad stawem, jest tą samą skrwawioną niewiastą, którą mam prosić o przebaczenie dla biednego skieletu,

spodziewam się, że to nie byłoby mi bardzo trudném. Przechodziłam dziś po południu około jéj ogrodu, raz tylko na nią spojrzałam i widok jéj pięknego, łagodnego oblicza, takiém mię ku niéj zaufaniem przejął, że śmiało, chociażby ona duchem była, poszłabym z nią rozmawiać.

— Właśnie do niéj się udasz, rzekł Fryderyk, i upewniam cię, że ci się nic złego nie stanie. Hola, panie gospodarzu!

Oberżysta jednym skokiem stanął przy stole.

— Te sto frydrychsdorów, zachowasz pan tymczasowo u siebie. Należą one do téj dziewczyny, skoro tylko wypełni to co przyrzekła uczynić. Panowie wszyscy jesteście świadkami. Teraz jeszcze słówko moje dziecię. Ja pójdę poczynić potrzebne przygotowania, a mianowicie dostać klucz do drzwi kościelnych od zakrystjana. Teraz jest jedynasta. O saméj dwunastéj bądź u drzwi cmętarza. Nikt z nas towarzyszyć ci nie może, bo to jest jeden z najważniéjszych warunków, potrzebnych do szczęśliwego skutku twego przedsięwzięcia. Dla tego wszyscy będziemy tu czekać twego powrotu. Swiatło także nie miłe jest duchom, dlatego radziłbym ci pójść bez latarni. Miejsce, gdzie biedny skielet stoi, z łatwością pociemku znajdziesz. Panie gospodarzu! na mój rachunek, parę waz ponczu! tyle żeby wszystkim tu zgromadzonym gościom wystarczyło do rana. Moi panowie! za-

praszam każdego z was na kilka szklanek ponczu!

Wesołe podziękowanie zabrzmiało ze wszystkich stron po tych słowach.

— A teraz, mówił daléj Fryderyk, do prędkiego zobaczenia się znowu; za chwilę wrócę. Lube dziecię, nie zapomnij dwunastéj godziny! za kilka minut to złoto będzie twojém i tym sposobem stan twój i twego starego ojca zostanie polepszonym.

Po tych słowach wyszedł z izby gościnnéj. Pobiegł na górę, do pokoju swego pana, i wchodząc rzekł wesoło:

— Łaskawy panie, ślicznie rozrządziłem pańskiemi pieniędzmi, już znalazły właściciela.

— Czy tak? zapytał obojętnie obcy.

— Skielet, to jest pański imiennik, jeszcze téj nocy otrzyma przebaczenie.

— Głupiś!

— Ale nie, proszę pana, ja nie żartuję wcale. Młoda, ładna dziewczyna podjęła się wypełnić wszystko co do tego jest potrzebne. Za pańskie sto frydrychsdorów, możesz pan być świadkiem skutku jéj przedsięwzięcia.

— Daj mi pokój! pieniądze dałem, ale do reszty, nie chcę się mieszać.

— To pan tego bardzo pożałujesz, rzekł Fryderyk tajemniczo.

— Istotnie, zaczynam być ciekawym; wreszcie kiedy nie żałowałem pieniędzy, mogę i godzinę snu poświęcić. Kiedyż i gdzie mam się udać?

— O trzy kwadranse na dwunastą przyjdę tu po pana, i dopiéro panu wyjaśnię, co pan masz czynić; ale zarazem muszę pana prosić o najdokładniéjsze wypełnienie moich przepisów, bo inaczéj całe przedsięwzięcie za nic, a pan na tém najwięcéj stracisz.

No, no, znajdziesz mię zupełnie posłusznym, śmiejąc się odpowiedział pan jego, i zapalił cygaro.

— To bardzo dobrze łaskawy panie, nicpożałujesz pan tego.

Fryderyk wyszedł po tych słowach, i pobiegł na wieś. Zatrzymał się przy słupie milowym niedaleko od domku nad stawem, klasnął w ręce, i niecierpliwie spoglądał w około. Wkrótce zbliżyła się do słupa postać kobieca, którą Fryderyk powitał z widoczną radością, i zaczęli z wielkiém zajęciem rozmawiać.

— A więc mogę się zupełnie spuścić na ciebie? rzekł Fryderyk przy końcu rozmowy.

— Przysięgam na moje życie, że znajdziesz wszystko tak jak się umówiliśmy, odpowiedziała postać niewieścia.

Rozeszli się spiesznie, i każde poszło w swoją stronę.

* * *

Pozostali w gospodnéj izbie goście, z niecierpliwém oczekiwaniem spoglądali na ścienny zegar, i ścigali wzrokiem powolny ruch wskazówki. Mało kto pił przez ten czas, i mało mówiono i to przytłumionym głosem. Młoda dziewczyna, będąca środkowym punktem wszystkich spojrzeń i myśli, siedziała w milczeniu, ale z widną na twarzy spokojnością, i tylko niekiedy spoglądała na zegar. Gdy już tylko dziesięć minut do północy brakowało, powstała ona, zarzuciła na szyję chustkę i rzekła:

— Już czas! nie powoduje mną lekkomyślne junactwo idzie tu o wydzwignienie z nędzy mojego ojca. Żegnam was, Niebo będzie mię prowadzić.

Wyszła, a gdy dwunasta biła na kościelnéj wieży, pomimo ciemności postrzegła przed sobą bramę cmętarza. Po chwili uczuła się lekko ujętą za rękę, i zarazem odezwał się przyjazny głos. Ręka która ją zatrzymała nie wydawała jéj się martwą, owszem była ciepłą i delikatna, głos zaś mówił cicho ale łagodnie: — Nie lękaj się, lube dziecię; wiem że przychodzisz dla wybawienia mię, chcę ci dopomódz, wskazując sposób jakim możesz dopiąć twego celu. Idź do domku nad stawem, gdzie mieszka ta piękną bladą niewiasta, którą w ogrodzie widziałaś. Zapukaj do drzwi, otworzy ci je służąca, powiedz jéj że odemnie przychodzisz. Zaprowadzi cię do swojéj pani; tę proś jak naj-

tkliwiéj żeby przebaczyła skieletowi. Teraz idź' bądź rostropną; pamiętaj na twego chorego ojca.

Młoda dziewczyna ochłonęła z trwogi na tak uprzejme obejście się z nią widma. Pięknéj niewiasty, do któréj teraz miała się udać, nie lękała się wcale, a prócz tego odwagę jéj utrzymywało wspomnienie na ojca, którego starość zabespieczyć będzie mogła zapomocą pieniędzy, które miała otrzymać w nagrodę swego śmiałego postępku. W kilka chwil doszła do wskazanego domu, zapukała, i drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Kobiéta z zasłonioną twarzą wyszła z nich, i zapytała przytłumionym głosem, czego żąda.

— Jestem posłanką skieletu odpowiedziało dziewczę.

Zasłoniona kobiéta, kazała jéj zatrzymać się nieco; po chwili jednak wróciła, poprowadziła ją po wschodach i kazała jéj wejść do pokoju.

Tu siedziała przed małym stolikiem piękna blada niewiasta, z głową w dłonie ukrytą i z rozpuszczonemi jak złote strumienie włosami. Na pierwszy rzut oka zdawało się młodéj dziewczynie, że pierś bladéj niewiasty była skrwawioną, ale wpatrzywszy się dostrzegła, że to jest koniec małego pąsowego szalika, który pod kołnierzem białéj sukni ukryty, widzialnym był tylko na piersiach.

Na tak niespodziane wejście młodéj dziewczyny, powstała blada niewiasta, zadziwiona i prawie

gniewna; ale widząc pokorną postawę proszącéj, zapytała łagodnie: — „Co cię tu sprowadza o téj porze, moje dziecię, i kto jesteś.

— Łaskawa pani, rzekła dziewczyna, nieśmiało ale bez trwogi, jestem posłanką skieletu.

Jak błyskawica, przebiegł po twarzy nieznajoméj niewiasty wyraz zadziwienia i silnego wewnętrznego wzruszenia, a potem okrył ją lekki rumieniec jak szkarłat wschodzącego słońca odbity od śniegu. „Czy podobna, rzekła do siebie półgłosem, ona posłanką j e g o? Ale nie, jesteśmy rozłączeni na wieki; nie mogę mu przebaczyć! Zadzwoniła, i ta sama kobiéta która wpuściła młodą dziewczynę weszła do pokoju.

— Jakie porozumienie masz z tą dziewczyną? zapytała pani z niejaką niechęcią, a służąca usprawiedliwiała się, że dziewczyna ta przyszła przed chwilą do drzwi domu, i ze łzami błagała, żeby mogła z panią mówić.

— Któż cię więc przysłał, moje dziecię, zapytała blada dama raz jeszcze.

— Skielet, łaskawa pani, odpowiedziała zapytana z pomięszaniem. Błaga on cię przezemnie o przebaczenie. Ulituj się pani, daruj mu winę!

— Gdzie go widziałaś? zapytała znowu nieznajoma nieco wzruszonym głosem.

— Kogo? łaskawa pani.

— Tego, który cię posłał do mnie.

— Aa... ten skielet. Nie widziałam go w ciemności, ale mówiłam z nim na cmętarzu w tém miejscu gdzie już więcéj niż od stu lat oczekuje naprózno twego przebaczenia. O przebacz mu, łaskawa pani! przebacz mu przez wzgląd na mnie! idzie tu o moje życie; jeśli pani nie raczysz prosb moich wysłuchać, pozbawisz mojego starego ojca jedynéj podpory, i pieniędzy, które są mi przyrzeczone jeśli otrzymam przebaczenie dla skieletu.

Nieznajoma, chociaż jéj zadziwienie coraz wzrastało, musiała jednak uśmiechnąć się na te niewinne słowa dziewczy. Służąca która dotąd stała w oddaleniu, zbliżyła się i rzekła:

— Zdaje mi się, łaskawa pani, że ktoś zażartował z téj dziewczyny. Ona mówi o tym skielecie który jest przedmiotem powieści gminnéj w téj wiosce, podług któréj zbawionym tylko być może przez kobietę.

— Masz słuszność! odrzekła nieznajoma, a odwracając się do klęczącéj przed nią dziewczyny dodała: Biedne dziecko, zażartowano z ciebie. Idź w imie Boże i powiedz tym którzy cię tu przysłali, że mogliby na co lepszego użyć czasu.

— O nie, szlachetna pani, odpowiedziała dziewczyna mocnym głosem, nie odejdę ztąd póki nie przebaczysz skieletowi; choćby mię to życie kosztować miało! Muszę wybawić skielet, i wydźwignąć ojca mego z nędzy. Jeśli pani nie przebaczysz mu, mój ojciec i ja będziemy zgubieni!

Nieznajoma uśmiechnęła się z łatwowierności dziewczyny. — Jeśli ci tak wiele na tém zależy, rzekła, muszę więc zadość uczynić twéj prośbie. Ponieważ jedno słowo z ust moich, ma tobie i twemu ojcu szczęście zapewnić, dobrze więc; idź i powiedz tym którzy cię tu przysłali, że z całéj duszy przebaczam skieletowi.

— Mam twoje słowo! krzyknął radośnie jakiś głos w przyległym pokoju, drzwi się szybko otworzyły, i obcy upadł do nóg nieznajoméj.

— Rudolf! zawołała nieznajoma wpół radośnie w pół smutno. Przez chwilę wachała się w niepewności i pomięszaniu, potém dodała: Odejdź, Rudolfie, jesteśmy na wieki rozłączeni! i chciała oddalić się.

Ale obcy nie miał ochoty tak łatwo ustąpić z pola bitwy. Objął, klęcząc ciągle, kibić nieznajoméj, z najżywszém uniesieniem miłości i czule zawołał: — To sprzeciwiało by się twoim własnym słowem; przed chwilą powiedziałaś téj dziewczynie że przebaczasz z całéj duszy skieletowi który ją do ciebie przysłał. Ja to mówiłem znią na cmętarzu; w prawdzie nie sto lat jeszcze czekam na twoje przebaczenie, jak mój imiennik prawdziwy skielet, ale przysięgam ci Anno, że czas twojego gniewu wydaje mi się więcéj jak wiekiem. Przebacz twemu skieletowi, on bardzo ciężko za swoją winę odpokutował!

— Niedobry, podejrzliwy człowieku! rzekła Anna i rzuciła się w jego objęcia.

* * *

Nie potrzebuje prawie wyjaśnienia, że Krystyna służąca Anny, która przez swoję lekkomyślność stała się powodem jéj rozłączenia z mężem, nie umarła, dla słusznych jednak powodów rozgłosiła wieść o swojéj śmierci. Przez nieustanne starania, odkryła ona szczęśliwie miejsce pobytu swéj pani, otrzymała jéj przebaczenie, i od téj chwili już jéj nie odstąpiła. Fryderyk, jéj dawny znajomy z jéj polecenia wszedł w służbę Rudolfa i nieprzerwanie porozumiewał się z nią za pomocą listów, w celu pojednania znowu dwojga małżonków. W skutek tych tajemnych porozumień, Rudolf, niewiedząc o tém, przyjechał do miejsca gdzie jego żona mieszkała. Szczęśliwym trafem powieść o skielecie podała Fryderykowi myśl dowcipną, którą tak piękny skutek uwieńczył. Przyrzeczone sto frydrychsdorów otrzymała odważna dziewczyna, która mimowolną była sprężyną szczęścia dwojga małżonków, nadto Rudolf kupił domek w téj wiosce dla jéj ojca, który szczęśliwie wkrótce został wyleczony, a Fryderyk ożenił się z wybawicielkę swego pana.

Prawdziwy skielet, dotychczas jeszcze stoi na dawném swojém miejscu, ale od owéj chwili stra-

cił wiele z swojéj powagi, nikt go się już nie lęka, i nie troszcze się o przebłaganie skrwawionéj kobiéty, dla powrócenia mu wiecznego pokoju.

DOM RODZINY LARNER,

W AMERYCE.

Często bardzo, kiedy mię noc zaskoczyła, przyrzekałem sobie tylko w dzień przebywać lasy, bo nawet w południe, cichy, ciemny las, dla największego lubownika samotności, jest smutnym, melancholicznym. Droga, którą przebywałem, była dla mnie nową, a nawet zupełnie nową, bo ją dopiero poprzedniego roku ukończono. Dwaj moi przyjaciele, którzy zwiedzali ją przeszłéj jesieni, dali mi mały jéj opis, w którym imiona nie wielu osadników i odległość ich mieszkań wyrażone były.

Z tego powodu, zwykle pierwéj oznaczałem sobie miejsca, w których miałem się zatrzymać, je-

żeliby jaka okoliczność nie przeszkodziła mi dojść do oznaczonego punktu.

Dotąd nic nie psuło moich planów, i właśnie gdy wieczorne cienie zaczęły zapadać w dolinę, u stóp wysokich i dzikich gór Pochono, zbliżałem się do odosobnionego domu, który na mojéj podróżnéj karcie jako miejsce wypoczynku na tę noc był naznaczony. Chociaż nigdy pierwéj nie byłem w téj stronie kraju, budowa, którą widziałem przed sobą, wzniesiona z pni ciosanych czworościennie, była dla mnie z pewnego względu starą znajomością, ponieważ mimo swojéj prostoty, samotności i ubóstwa sławną jest w dziejach téj części kraju. Jéj drewniane ściany czernione były burzami, więcéj niż przez pół wieku, a podanie o niéj umie na pamięć każde dziecię z najodległéjszéj osady.

Człowiek pewien nazwiskiem Larner, osiadł tu, wtedy jeszcze, kiedy żadna z dolin wschodniéj części tego kraju, niebyła zamieszkaną przez białych. Trudno odgadnąć co mogło tego człowieka spowodować, do zakopania się z młodą żoną i dziećmi w takiéj pustyni, i tak daleko od osad *bladych ludzi*, tak bowiem wtedy Indjanie nazywali Europejczyków. Nim tutaj doszedł, przejść musiał wiele dolin których ziemia była żyzniéjsza i klima weselsze; dla przyczyn jednak które na zawsze zostaną tajemnicą, Larner wybudował ten dom na ostatnim krańcu dzikiéj doliny, i osiadł

w nim z żoną, czworgiem dzieci, i młodszym swoim bratem. Wielu mniemało, że bliskość gór i lasów, była mu głównym powodem do obrania tego miejsca, ponieważ on był namiętnym myśliwcem. W istocie, więcéj tam znajdowało się wilków i panter, niż w któréj bądź stronie kraju, nie licząc jeleni, lisów, i mnóstwa drobnéj zwierzyny. Widać jednak, że nie poświęcali się wyłącznie polowaniu, bo w przeciągu dziesięciu pierwszych lat swego tam pobytu, wykarczowali i uprawili tyle pola, że zbiory zboża zasiewanego na niém, wystarczały dla całéj rodziny.

Około tego czasu właśnie, przybyli tam dwaj Indyjscy wojownicy, ostrzegając rodzinę Larnera aby wyniosła się jak najspieszniéj z tego miejsca, jeśli jéj życie jest miłe. Na tę przestrogę, niewiele uważano, ponieważ dotąd, przechodzący tamtędy Indjanie, nie okazywali żadnych złych względem osady zamiarów, i prócz tego, rodzina Larnera, mogła w przypadku napaści stawić niejaki opór. Pewnego dnia wkrótce po odwiedzinach dwóch wojowników, młodszy brat wróciwszy z wycieczki w góry, przyniosł cokolwiek niepokojącą wiadomość, że w drodze napotkał ślady wielkiego tłumu Indjan. Opowiadał następnie, ze z wierzchołka pobliskiéj góry przejrzał starannie przyległy las, nie widział jednak żadnego śladu dymu na zielonych liściach, (było to lato), coby wskazywało ognie myśliwców, i przez cały dzień niesłyszał żadnego

wystrzału. Dla tych którzy znali przebiegłość Indjan, wiadomość ta nie była pocieszającą, i cała rodzina postanowiła zachować największą ostrożność w swoich wszystkich postępkach, Broń ich składała się z trzech strzelb, dwóch z nich używali dwaj bracia, trzeciéj zaś najstarszy syn Larnera, silny dziewietnastoletni młodzieniec. Postanowiono w nocy naprzemian czuwać, i zagaszono ogień, jeszcze nim wieczór zapadł.

W kilka godzin po północy, właśnie kiedy sam naczelnik rodziny straż odbywał, zdawało mu się że widzi zbliżający się wzdłuż wązkiego wąwozu jasny promień, a nastepnie rozpoznał postać nagiego Indjanina. Nie wątpił że zamiarem jego było podpalić dom, a ponieważ skwarne Lipcowe słońce niezmiernie wysuszyło jego ściany, niewątpliwie za tém za podłożeniem ognia cała budowa w kilka chwil w perzynę zostałaby obróconą. Larner znajdował się na gorném piętrze w otworze na samym rogu domu, ale Indjanin doszedłszy bliżéj, zwrócił się, jak by miał zamiar nie z przodu ale pod tylną ścianą ogień podłożyć. Larner przez chwilę w najokropniéjszéj był trwodze. Gdyby dopuścił Indjanina na tył domu, gdzie żadnego okna nie było w kilka chwil zostali by otoczeni płomieniami, i od dzikich Indjan którzy bez wątpienia w niewielkiéj odległości zatrzymali się nielitościwie wymordowani. Gdyby zaś zabił podpalacza, mógł być pewnym zemsty ze strony jego współ braci, i w każ-

dym przypadku cała rodzina na pewną wystawiona była zgubę. Nakoniec postanowił strzelić, i nim jeszcze echa gór odbiły odgłos wystrzału, Indjanin upadł bez duszy. Hak obudził całą rodzinę, i ojciec opowiedział co się stało. Niemożna było pewnym być, czy Indjanie jeszcze w nocy rozpoczną napad, albo też odłożą go aż do dnia. Istotnie wstrzymali się, i dopiero razem ze świtem, zaczęli strzelać do okien domu, aby dosięgnąć jego mieszkańców.

Ten sposób jednak nieokazał się bardzo skutecznym; jedno tylko z dzieci śmiertelnie zostało zranioném, reszta jednak była nienaruszoną. Jak już poprzednio wspomniałem, w tylnéj ścianie domu nie było żadnego okna. Skoro Indjanie postrzegli, że na niewiele im się przydało strzelanie do okien, powzięli zamiar obejść dom dokoła, i napaść z strony bezbronnéj. Tego jednak domyślili się Larnerowie, skoro tylko Indjanie zaprzestali strzelać. Dwaj bracia bez wielkiego trudu wybili dwie dziury w dachu gontowym, i gdy Indjanie wyszedłszy z lasu, zbliżyli się do domu z téj strony, dwaj najpierwsi zostali przywitani śmiertelnemi postrzałami. I najstarszy syn nie pozostał bezczynnym; wychyliwszy się bowiem z narożnego okna domu, strzelał do zbliżających się Indjan. Mimo to, napastnicy nie dali się ustraszyć, i już około dwudziestu doszło do samego domu. Wprawdzie oblężeni nie napróżno strzela-

li, ale cóż znaczył upadek kilkunastu, kiedy reszta tłumu zapalczywie popierała napad. Już podłożono ogień, i bracia Larner postanowili szukać ostatniego sposobu ocalenia w lasach. Ale ten zamiar stał się zgubą prawie całéj rodziny, zanim bowiem przez wąwóz dostąli się do lasu, obadwaj bracia i troje dzieci, upadli aby więcéj już nie powstać. Najstarszy syn, ścigany był przez olbrzymiego indjanina. Obadwaj byli uzbrojeni w strzelby, żaden jednak nie zatrzymywał się, aby strzelić. Młody Larner, widząc, że już prawie dogania go przeciwnik, udał się do podstępu. Kilku Indjan strzelało jeszcze za uciekającemi, i młody Larner upadł w wysokie zboże jakby ugodzony strzałem. Indjanin obawiając się zdrady zatrzymał się, a tymczasem młodzieniec nabił strzelbę i trupem go położył. Nie zatrzymując się pomimo bólu jaki mu sprawiał lekki postrzał w kolano, pobiegł daléj ku lasowi, który już był w niewielkiéj odległości. Dopiéro wdrapawszy się na gęsto zarosłe drzewo, nabił strzelbę i obejrzał się dokoła chcąc się przekonać, czy zupełnie uszedł niebezpieczeństwa. Już go nie ścigano, kilku z Indjan zajęło się obdarciem z ubioru jego ojca, stryja, młodszego brata i dwóch małych siostr; inni zaś ścigali jego matkę i najstarszą siostrę, które do lasu uciekły.

Przez dwie noce błąkał się w lesie, a w dzień ukrywał się w wydrążéniach drzew. Nakoniec

głodny i bez silny dostał się do osady nad rzeką Delawae, któréj mieszkańcy uzbroili się natychmiast i wyruszyli na miejsce rzezi. Znaleziono trupy dwunastu Indjan, obu Larnerów, i trojga dzieci starszego; nie można zaś było powziąść wiadomości o jego żonie i córce. Indjanie musieli je z sobą uprowadzić, gdyż ciał ich nigdzie nieznaleziono.

Od tego czasu, miejsce to przez długi czas nie było zamieszkane, aż dopiero młody Larner ożeniwszy się osiadł w niém znowu. Pokolenie napastnicze Indjan, wyszło zupełnie z téj okolicy, nie było więc już powodu obawiania się nowego napadu.

Dwadzieścia lat przeminęło, a nic nie można było dowiedzieć się o losie matki i siostry teraźniéjszego właściciela. Dopiéro osadnicy którzy przenieśli się w tę okolicę uchodząc przed tém samém pokoleniem Indjan które tak okrutnie obeszło się z rodziną Larnerów, opowiedzieli to co słyszeli od kilku Indjan którzy ranieni i niezdolni do pochodu, zostali na drodze opuszczonemi przez swoich towarzyszy, i wpadli w ręce białych.

Podług nich dwie niewiasty, które uciekły do lasu, zostały w krótce schwytane, i gwałtem uprowadzone; gdy jednak w czasie jednego nocnego odpoczynku w górach Moose, chcąc uciec zamordowały spiącego przy nich Indjanina, zwołano

na nie sąd, i ukarano śmiercią. Syn i brat tych nieszczęśliwych udał się na wskazane miejsce i znalazł istotnie zwłoki dwojga niewiast. Zabrał je, i złożył w tym samym grobie w którym reszta jego rodziny spoczywała.

Kiedy zatrzymałem się w tym domu, właściciel jego był już sędziwy, mimo to jednak nie przestawał wychodzić z strzelbą na polowanie do lasu. I on już był ojcem liczněj rodziny, wszyscy jego synowie byli już żonaci, a córki wyjąwszy najmłodszéj miały mężów. Prawie wszyscy mieszkali w pobliskości, dwóch tylko przeniosło się w stronę wschodnią. Wszyscy z uszanowaniem spoglądali na głowę téj rodziny, a starzec opowiadał smutne przygody swego ojca i krewnych, każdemu podróżnikowi, który się u niego zatrzymał.

KŁAMSTWO.

I.

— Czy widziano kiedy takiego głupca! zawołał stary Bankier Derville, rzucając z gniewem list, który w ręku trzymał. Mój brat także mógł coś lepszego uczynić, jak umrzéć w Lisbonie, i mnie taki kłopot zostawiać.

Po tém dziwném wykrzyknieniu, młody, przystojny, rosły mężczyzna, który na drugim końcu pokoju pracował, spojrzał z podziwieniem na P. Derville.

— Rozumiesz to Teodorze? mówił daléj bankier przechodząc się wzdłuż i w sersz pokoju,... czytaj.

Podał mu list, a młodzieniec przebiegłszy go okiem zbladł. List był z Portugalji. Po obszernym opisie okropnego trzęsienia ziemi, które Lisbonę w stos gruzów zmieniło, donosił korrespondent P. Derville, że brat tegoż został przywalony murami swego domu, i tylko Marja, najstarsza jego córka uszła zguby. Pisał daléj, że wziął sierotę do swego domu, lecz że zdrowie jéj zostało zachwiane skutkiem okropności, których o mało

nie padła ofiarą, i że ona niecierpliwie wzdycha do chwili, w któréj będzie mogła zobaczyć jednego jeszcze pozostałego jéj krewnego... Sądził więc że powinien odesłać do pana Derville jego synowicę, i donosił że w kilka dni po odebraniu przez P. Derville tego listu, już ona będzie się znajdować w Bordeaux.

— I cóż wuju? zapytał Teodor wzruszonym głosem, przeczytawszy ten list.

— Mój biedny brat!...

I łza zabłysła w oku bankiera.

— Tak nędznie, zdala od swego kraju umrzéć! Dwadzieścia dwa lat jak go niewidziałem, i nie mam go już wcale widziéć! Ale, mówił daléj, drugi raz już zmieniając ton mowy, pojmujesz tego półgłówka Goffard, który mi przysyła dziewczynę, jakby jaką pakę towarów.

— Twoją synowicę, wuju?

— No tak, moją synowicę; ale ja jéj nigdy w życiu nie widziałem. Brat mój ożenił się tam, nic mi nawet nie doniosłszy o tém, i teraz dopiéro dowiaduję się, że miał więcéj jak tę jedną córkę.

— Ma ona lat szesnaście.

— Tém gorzéj. To właśnie mię martwi; biedne dziecię! zapewne jest piękna.

— I to cię martwi? wuju?

— A moja żona, Teodorze, moja żona! Czyliż jéj nie znasz? Czyliż będzie chciała dobrze ją

przyjąć, i pozwoli jéj błyszczeć obok siebie? Młoda dziewczyna!... i jeszcze moja krewna! Już to będę musiał wytrzymać nie jednę burzę.

Młodzieniec spuścił głowę jakby już słyszał szum téj burzy. Pani Derville z podupadłéj szlachetnéj rodziny, zniżyła się aż do oddania ręki bogatemu Bankierowi, i sądziła, że mu przez to nieoceniony zaszczyt i łaskę czyni. Była ona męczarnią dla swego męża, zwolna usunęła z jego domu wszystkich krewnych jego, których nazywała prostakami, i tylko cierpiała jeszcze obecność Teodora dla jego pięknéj powierzchowności i miłego obejścia. Derville zatem nie bez powodu, przewidywał burzę za przybyciem swéj siostrzenicy.

— Nie mogę inaczéj, rzekł nakoniec Derville, wmawiając w siebie odwagę,... mnie niepodobną wyjechać z Paryża; ty jesteś jéj kuzynem, Teodorze, udasz się do Bordeaux, i przywieziesz tu moją synowicę. Tymczasem ja tu przygotuję żonę.

W dwa dni późniéj, Teodor był na drodze do Bordeaux.

II.

Zamiast jednéj, Teodor znalazł dwie...

Jedna z przyjaciołek Marji, straciła także wszystkich swoich krewnych, w czasie trzęsienia któ-

re spustoszyło Lisbonę. Emilja Debray została więc sama bez opieki i pomocy tylko z dość znaczną summą pieniędzy, którą jéj oddał uczciwy jeden dłużnik jéj ojca — uczciwy mówię, bo biedna sierota nic nie wiedziała o téj należności, i niebyłaby się nigdy o nią upominała. Aby wyrwać się z kraju, w którym wszystko przypominało jéj okropne wypadki, które ją pozbawiły rodziców, Emilja przyłączyła sie do swéj przyjaciołki, nie pomyślawszy o dalszych skutkach tego kroku. Wolna od trosk jak każda ośmnastoletnia portugalka, postanowiła p. Derville poprosić aby jéj pozwolił przy swéj rodzinie mieszkać, bo nieznając go, kochała go już jako stryja jedynéj przyjaciołki która jéj pozostałą.

Jak Goffard poprzednio doniosł, zdrowie Marji bardzo było osłabione, i Teodor musiał stryjowi donieść, że nie może udać się z jego synowicą w podróż do Paryża, stan jéj zdrowia bowiem wymaga aby przez niejaki czas odpoczęła.

Tu starał się rozrywać ją, ale napróżno. Ani on ani jéj przyjaciołka Emilja nie mogli pokonać jéj melancholji. Codziennie stawała się słabszą, zdawała się przewidywać swoję zbliżającą się śmierć, i każdą pieszczotę przyjaciołki przyjmowała tak jakby każda miała już być ostatnią. Wkrótce ścisła przyjaźń połączyła tych troje młodych ludzi, Emilja nazywała Teodora swoim kuzynkiem, i nie rumieniła się kiedy on ująwszy jéj i Marji ręce pocieszał je nadzieją szczęśliwéj przyszłości!

„To jest tylko przyjaźń, mówiła Emilja do siebie, i wdzięczność za to że on tak przychylnym jest Marji którą nad życie kocham.“

Teodor znowu, często mówił sam sobie: — Biédna Emilja, tak młoda, tak piękna, bez rodziców i krewnych! Któżby mógł być nieczułym na jéj los nieszczęśliwy?

Kiedy dwudziesto-pięcio-letni mężczyzna czułym jest na los ośmnasto-letniéj panienki, to już mu nie wiele brak do miłości.

Pewnego wieczora, Marja zdawała się bardziéj jak zwykle dręczoną smutnemi przeczuciami. Była cierpiącą i chciała cokolwiek odetchnąć świeżém powietrzem. Oparta na ramieniu swego kuzyna, siedziała na balkonie domu, jéj oczy łzami zasłonione miłośnie i smutnie spoglądały na Emilję.

— Biédna przyjaciołko, rzekła nakoniec, obejmujac jéj szyję; cóż ty sama poczniesz na téj ziemi? Teraz już nie masz krewnych ani przyjaciół.

— Ty Marjo, zastępujesz mi wszystko.

— Teraz,... ale w krótce?

— Czyliż obie panie zapominacie o mnie? przerwał Teodor, nie jestżem waszym kuzynem?

— Teodorze! mówiła daléj Marja, z żywością, jakiéj u niéj nigdy jeszcze nie widział, pamiętaj na to, coś w téj chwili nam powiedział. Przysięgnij mi, że będziesz jéj obrońcą, jéj bratem jéj podporą, i że jéj nigdy nie opuścisz.

— Przysięgam!

— Ach, rzekła biedna chora, tobie więc jestem winna jedyną chwilę radości jaką jeszcze mogłam mieć na téj ziemi.... i obejmując szyję Teodora drugą ręką, dodała: O gdyby moje ręce, które was teraz łączą, mogły stać się węzłem pokrewieństwa między wami, kiedy mnie już nie będzie.

— Porzuć te smutne myśli, piękna kuzynko, jeszcze pani długo będziesz żyć dla twojéj przyjaciołki i twego kuzyna. Marja potrząsła głową, wzniosła oczy ku niebu i rzekła z smutnym uśmiechem:

— Zdaje mi się, że tam wysoko, widzę mego ojca i moją matkę, oni mię wołają do siebie.... spieszę do nich.

To mówiąc, pochyliła się bez zmysłów na łono swéj przyjaciołki.

Emilja wydała krzyk rozdzierający serce, objęła rękami przyjaciołkę, i starała się pieszczotami swemi przywrócić ją do życia. — Już było zapóźno. — Marja z trudnością raz jeszcze otworzyła błędne oczy, a wzrok jéj mgłą śmierci pokryty, spoczął na młodzieńcu który ją wspierał.

— Pamiętaj! wyjąkała, bo jéj usta zaledwie mogły się otworzyć.... — na twoją przysięgę!... Emiljo!...

Podniosła zwolna chłodne już ręce, ujęła jedną dłoń Teodora, a drugą otoczyła szyję swéj pła-

czącéj przyjaciołki, wymówiła jeszcze kilka nie zrozumiałych zgłosek, raz jeszcze ku niebu wzniosła oczy i zamknęła je na wieki.

Musiano Emilję gwałtem oderwać od zwłok Marji, i Teodor zaniósł ją bez zmysłów do jéj pokoju.

III.

Wystawić boleść Emilji, to nie podobna. Dwa dni spędziła w okropnéj rozpaczy. Teodor tymczasem zajął się pochowaniem nieszczęśliwéj swojéj kuzynki, odprawił jéj służących, i gotował się do wyjazdu. Gdy wszystko było załatwione; udał się do Emilji.

Siedziała ona przy stoliku, oparłszy na dłoni ociężałą troskami głowę. Cała jéj postać zdradzała rozpacz i wszelką utratę nadziei. Niesłyszała wchodzącego Teodora, który długo spoglądał na nią w milczeniu.

— Kuzynko Emiljo, zaczął nareszcie.

— Zadrzała, potém spojrzała bolesnym wzrokiem na Teodora.

— Ach!.. pan sądzisz że mówisz do biednéj Marji, rzekła a łzy zrosiły jéj zaczerwienione od płaczu oczy.

— Nie, nie omyliłem się; żywo odpowiedział Teodor, tobie pani należy od téj chwili to imie,

Przysiągłem to aniołowi, który nas opuścił, i dotrzymam mojéj przysięgi.

— Ach! jedyna przyjaciołka, która mi pozostała na świecie, w moich objęciach skonała!

— A ja, czyliż niczém jestem dla pani? Emiljo, przysiągłem poświęcić ci moje życie, i od téj chwili już ono do mnie nie należy. Znajdziesz pani we mnie przyjaciela, brata.

Emilja podała mu rękę, którą on z uniesieniem do ust przycisnął.

— Ufam ci, rzekła dziewica. Ostatnie słowa Marji brzmią jeszcze w mojém sercu. Ona oddała mię twojéj opiece; będę słuchać ślepo rad twoich.

— A więc pozwól mi pani nazywać cię moją kuzynką. To słowo już mię szczęśliwym uczyni.

— Ale cóż mam czynić?

— Nic, tylko nie wydawać mego kłamstwa.

— Jakto?

— Będziesz pani moją kuzynką, będę cię nazywał Marją, a pani odpowiadać mi będziesz jakbyś była Marją.

— A potem?

— To samo czynić będziesz z moim wujem!

— Ależ przez to oszukiwałabym go.

— Oszukiwać go? oh, nie! On chciał mieć synowicę, a ja przywiozę mu piękniéjszą jak ta, którą utracił. Znajdzie on w nas dwoje posłusznych, kochających go dzieci; będziemy szanować

jego siwe włosy, a on błogosławić nas będzie za to, że będziemy pociechą jego starości.

— Nie, na to nie mogę przystać.

— A więc chcesz pani rozstać się ze mną, okrutna? Od chwili gdy się ujrzałem, czyliż mógłbym żyć nie widząc cię zawsze? Muszę bardzo być dla pani nienawistnym, kiedy mi tak małéj łaski odmawiasz. Emiljo! tego nie spodziewałem się po pani. Jestem bardzo nieszczęśliwy!

— Teodorze, odpowiedziała Emilja wzruszonym głosem, jesteś niesprawiedliwym; cóż powiedziałam z czego byś mógł wnosić, że jesteś mi nienawistnym? Oh! musiałabym bardzo być niewdzięczną,. gdybym tak miała odpłacać twoje dla mnie poświęcenia.

— A więc nie odmawiaj mi pani jedynéj nagrody o którą błagam. Emiljo! zaklinam cię! gdybym cię miał utracić, nie zniosę życia. Pozwól mi być zawsze przy tobie!

— I cóż mam czynić?

— Usłuchaj pani mojéj rady, przyjmij imie utraconéj przyjaciołki. Ona sama tego chciała, kiedy cię prosiła żebyś mię uważała za brata. Przysiągłem wtedy, że będę cię kochać jak moją siostrę, i teraz powtarzam tę przysięgę u nóg twoich. Emiljo! byłażbyś nieubłaganą?

— Dobrze więc, uczynię jak żądasz.

— A więc jutro wyjeżdżamy.

IV.

Pocztowy powóz zajechał na dziedziéniec domu pana Derville, i poczciwy starzec szybko zbiegł ze wschodów.

— Jak się macie dzieci! zawołał, gdy otworzono drzwiczki powozu. Pójdźcie w moje objęcia! Wydajecie się cóś pomięszani. Pójdź kochana Marjo!

Emilja zmięszała się na te słowa, a Teodor spojrzeniem napominał ją, aby nie traciła odwagi.

— Ale, mówił daléj stary bankier, ktoby po tej rumianéj twarzyczce poznał że niedawno była słabą. Nieledwiebym się gniewał Teodorze, żeś mię tak twoim listem zmartwił, bo musiałeś przesadzić opis jéj słabości. Pisałeś że blada i wychudła, a ona świeższa jak róża. Co za żywe oczki? Istotnie nie było jeszcze takich w naszéj rodzinie. Muszę raz jeszcze ucałować główkę mego Aniołka!

Podczas tych wykrzykników, weszli do pokoju; Derville nie mógł oderwać oczu od Emilji.

— To bardziéj jeszcze zwiększało jéj pomięszanie, każde słowo starca było karą dla niéj i dla Teodora, który trwożnie patrzył na łzy kręcące się w jéj oczach, i czekał tylko kiedy Emilja zdradzi wspólną tajemnicę.

— Gdzież Ciotka? zapytał chcąc zmienić przedmiot rozmowy.

— Nie ma jéj Bogu dzięki, wyjechała na wieś; nie uwiadomiłem jéj o waszém przybyciu, żebyśmy mieli czas poznać się pierwéj wzajemnie. — Lube dziecię! — Niewiem istotnie, jak moja pani żona przyjmie piękną synowicę. — Jesteś nadto piękna, kochana Marjo. Każda stryjenka obawia się podobnéj synowicy.

Stary Bankier był bardzo prędkim we wszystkiém i w téj chwili zapomniał dawnego swego nieukontentowania, i myślał tylko o radości z posiądania tak pięknéj synowicy. Emilja była coraz bardziéj pomięszaną.

— Staraj się skończyć tę scenę szepnęła nakoniec Teodorowi. Nie mogę jéj znieść dłużéj i za nic nie ręczę.

— Co ona chce? zapytał Dorville, jakby zazdrosnym był o każde słowo, które jego synowica do kogo innego przemówi.

— Skarży się że jest znużoną, chciałaby jeźli wujaszek pozwoli odejść do swego pokoju.

— Biedne dziecię! Zadzwoń no prędko Teodorze na pokojówkę... Nie pomyślałem o tém. A więc do jutra moja miła.

I wycisnął ojcowskie pocałowanie na czole Emilji.

V.

Nazajutrz zrana poszedł Teodor do Emilji i wymawiał jéj wczorajsze jéj postępowanie. — Chcesz pani żeby nas rozłączono, widzę to, rzekł. A ja tego nie przeżyję.

— Nie mów tak Teodorze, zaklinam cię. Mój Boże, czyliż mało jeszcze dla ciebie uczyniłam!

— Niedobrze postąpiłaś pani. Porzuć tę bojaźliwość z jaką przyjmujesz pieszczoty twego stryja. Czyliż nie widzisz jak szczęśliwym jest pan Derville, że ciebie ma za siostrzenicę. Dlaczegóż zatruwać mu to szczęście?

— Ach! nie mów o tém, odnawiasz moje zgryzoty sumienia.

— Zgryzoty sumienia! czyliż nie ja sam jestem winnym? Nie lękaj się pani. Znam mojego wuja, on mię kocha, i wiem z któréj strony zajść go mogę. Odkryję mu wszystko, kiedy tego będzie potrzeba. Usłuchaj pani rady mojéj, ja ręczę za wszystko!

— Czyliż teraz mogę co innego uczynić, jak słuchać twojéj rady?

Teodor ujął jéj rękę, którą słabo tylko cofała. Wtém wszedł Derville do pokoju.

— Co?... zawołał śmiejąc się; niekiedy dobrze jest posłuchać rady Teodora, moja miła, ale we wszystkiém trzeba być ostrożnym. Cieszy

mię to, że się oboje kochacie, moje dzieci... ale pragnę posiadać wasze zaufanie. O czemże mówiliście?

— Usiłowałem, odpowiedział bez zająknienia Teodor, namówić kuzynkę, żeby starała się pozbyć téj bojaźliwości, i zapewniałem ją, że wujaszek nadto ją kochasz, żebyś miał kiedykolwiek życzeniom jéj opór stawiać.

— Bezwątpienia, bezwątpienia, uważam się za najszczęśliwszego człowieka pod słońcem, od czasu jak cię mam przy sobie. Ha, ha, uśmiechasz się, ty figlarko.

VI.

Minęło kilka dni, i Emilja nabrała odwagi. Zapowiedziany powrót stryjenki zatrwożył ją znowu i dawne obawy wróciły do jéj duszy. Prosiła, żeby mogła dopiéro nazajutrz po przyjeździe pani Derville być jéj przedstawioną, i dobry stryj zezwolił na to.

Teodor i Derville wyszli sami na jéj spotkanie, i luba jéjmość wysiadła z powozu złorzecząc złym drogom, powolności koni i pijaństwu pocztyljonów. W złości swojéj nie postrzegła nawet siostrzeńca, który jéj podał rękę przy wysiadaniu. Dopiéro zobaczywszy go późniéj, jéj zły humor inny wziął kierunek. Zapytała się jak też dawno ukrywano przed nią jego powrót, łajała męża i

Teodora że do niéj nie napisali, i obsypała ich wyrzutami. Nakoniec rozkazała, żeby ją samą zostawioną, pragnąc wypocząć po podróży, i tym razem obadwaj mężczyźni usłuchali z radością jéj rozkazu.

Nazajutrz, była zupełnie inną kobietą, i Derville sądził że powinien korzystać z pomyślnego usposobienia jéj umysłu, dla przedstawienia jéj swojéj synowicy.

— Ah! to jest ta maleńka, rzekła pogardliwie p. Derville, mierząc od stóp do głów biedną Emilję, która jak listek drżała.

— To jest moja synowica, odpowiedział żywo Derville.

— Twoja synowica! rzekła jéjmość, z przyciskiem wymawiając pierwszy wyraz, mocno mię to cieszy.

— Ale moja synowica jest także twoją!

— Czy to piękne dziecko nic nie umié mówić? zapytała p. Derville.

— Jak ma biedna mówić? Przestraszyłaś ją tak że cała drży; przemów że do niéj przyjaźnie.

W téj chwili służący doniósł pana Derville że ktoś chce się z nim widziéć.

— Zaraz wrócę. Tymczasem starajcież się z sobą lepjéj poznać; proszę cię żono, bądź względną. Widzisz jak trwożne jest to dziecię. Upewniam cię, że bardzo bym to źle uważał, gdyby ktokol-

wiek w moim domu nie obchodził się z nią tak jak jéj związki rodzinne ze mną wymagają.

Po tych ostatnich wyrazach, ogień gniewu błyszczał w oczach p. Derville, zaledwie mąż jéj drzwi za sobą zamknął, wzięła tamborek i zaczęła haftować. Emilja stała, czekając aż jéj stryjenka powie żeby usiadła. P. Derville ani raz na nią nie spojrzała.

Emilja czuła się obrażoną. Wzięła krzesło, postawiła go na drugim końcu pokoju, i usiadła. P. Derville podniosła głowę, rzuciła na nią wzgardliwe wejrzenie, i znowu zajęła się robotą. Kłębek jedwabiu spadł z jéj stolika i potoczył się aż do nóg Emilji. Młoda dziewica podniosła kłębek i położyła go na stoliku przed panią Derville.

— Już go się nie dotknę, rzekła kwaśno pani Derville i rzuciła kłębek w koszyk.

Emilja udała, że nie słyszała tych wyrazów, zbliżyła się do kominka i poprawiła gasnący ogień. Ale w téj chwili P. Derville zadzwoniła z całych sił, kazała przynieść parawanik i postawić go tak, żeby nie mogła widzieć swéj synowicy.

Emilja tymczasem wzięła z kominka książkę, usiadła i zaczęła ją czytać.

Tak znalazł je Derville.

— Co tó znaczy? zapytał gniewnie, na co ten parawan, i ten tamborek? i przewrócił parawan w jedną stronę a w drugę rzucił tamborek z całą robotą.

Czy to ci tak przykro, parę słów z moją synowicą pomówić?

— Wiesz, że nie lubię niepotrzebnie rozprawiać, odpowiedziała spokojnie pani Derville. Zdaje się, że przybycie twojéj synowicy wprowadzi w dom nasz niezgodę. Już gniewasz się za to, że ja dla niéj nie czynię poświęcenia z moich przywyknień.

— Mówisz, że nie lubisz niepotrzebnie rozprawiać, przerwał jéj Derville, bardzo byłbym zadowolony, żebyś chociaż pół tyle ileś teraz nagadała, raczyła była przemówić do mojéj synowicy... Cóż ty na to Marjo?

— Nawet tyle nie wymagałabym, odpowiedziała Emilja nie uważając na dwu-znaczność tych słów.

— Dobrze odpowiedziano, rzekł Derville.

— Panienka widzę umie sobie wszystko pozwalać, zawołała pani Derville, radzę jéj jednak żeby się raczyła powściągać; i spojrzawszy gniewnie na Emilję wyszła z pokoju.

— Kochane dziecię, przebacz popędliwemu charakterowi mojéj żony. Trochę cierpliwości, a wszystko będzie dobrze.

— Daj Boże! odpowiedziała Emilja nie mogąc łez wstrzymać.

VII.

Obszerne sale pałacu Derville jaśniały tysiącem świateł. Mnóstwo powozów, koni i ludzi, napełniało dziedziéniec, a w pokojach zebrane było świetne towarzystwo. Był to dzień urodzin pani Derville, i bogaty bankier dał bal dla uczczenia szczęśliwego małżeńskiego pożycia, które znał tylko z opisu.

W tłumie piękności, które w piórach, kwiatach i djamentach do około siedziały, jedna skromnie ubrana panienka zwracała uwagę wszystkich obecnych.

— Kto to jest, pytano ze wszech stron, ta piękna dziewica z ognistemi hiszpańskiemi oczyma?

— Jest to Marja Derville, odpowiadano, synowica gospodarza.

— Ale patrzcie, jak na nią ukośnie patrzy pani Derville.

— Dlatego, że młody książe Valdemont w niéj się zakochał. Uważajcie, że ani na chwilę jéj nie odstępuje.

Istotnie młody książe, zdawał się być oczarowany wdziękami Emilji. Starał się wszelkiemi sposobami zwrócić na siebie jéj uwagę, i nie przestawał szeptać jéj najpochlebniéjsze grzeczności, które zwykle tak silny wpływ wywiérają na serce kobiet.

Emilja z pomięszaniem odpowiadała na podobne mowy, do których nie była jeszcze przyzwyczajoną. Pomimo tłumu otaczających ją wielbicieli, widziała przed sobą tylko Teodora, który także dla niéj tylko miał oczy. Ich spojrzenia nie uszły uwagi księcia, i oddalił się nieukontentowany.

— Czy uwierzyłbyś, rzekł do hrabiego de Lourcy, że ta dziewczyna udaje niewinność?

— Smie tobie się opierać?

— To udanie!... ale zdaje mi się, że mam rywala.

— Rywala? któżby to mógł być.

— Mały kuzynek... Jakiś kupczyk! ale dopnę mego celu, albo się pomszczę!

VIII.

W kilka dni potém, Teodor spotkał na ulicy ubogiego człowieka który doń z pokorą się zbliżył. Człowiek ten służył u niego w czasie jego krótkiego pobytu w Bordeaux.

— Czegoż żądasz? zapytał Teodor.

— Przepraszam pana dobrodzieja, jestem bez zatrudnienia, szukam służby.

— Oto masz przyjacielu, rzekł Teodor dając mu wszystkie pieniądze które miał przy sobie, ale żądam od ciebie pewnéj usługi.

— Czekam na pańskie rozkazy, odrzekł ów człowiek kłaniając się nisko.

— Nie przychodź tu więcéj, i nikomu nie mów że mię znasz.

— Możesz się pan Dobrodziéj spuścić na mnie.

Ukłonił się raz jeszcze, ale odszedłszy kilka kroków obejrzał się na Teodora i ściągnął ramiona.

— Czy znasz tego młodego pana? zapytał go człowiek w bogatéj liberji.

— Dla czego?

— Jestem w służbie księcia Valdemont, mógłbym ci być użytecznym.

— Znam, jest to pan Teodor, siostrzeniec bankiera Derville.

— Czy służyłeś w tym domu?

— Nie, znam tylko pana Teodora z Bordeaux, skąd miał przywieść synowicę bankiera.

— Więc znasz tę synowicę?

— Jakto, czy znam? przecież ona umarła.

— Umarła! żartujesz. Ją przecie mam do niéj bilecik.

— Szedłem za jéj trumną w Bordeaux, wiem przecież co mówię. Pan Teodor zabrał wprawdzie z sobą inną panienkę, Emilję, ale to nie synowica pana Derville.

— I któż jest ta panienka?

— Ładna portugalka z czarnemi ognistemi oczyma.

— A owa siostrzenica?

— Była blada, i chuda, a oczy miała siwe.

— Teraz już rozumiem. Pójdź za mną, zaprowadzę cię do księcia, nie pożałujesz tego; Ha, stary Derville pozwala sobie przy żonie, trzymać młodą niby siostrzenicę.

IX.

— Jestżeś tego pewny, François? zapytał zrywając się z sofy młody książe.

— Marja nie jest synowicą bankiera?

— Przysięgam na to.

— Istotnie? to młode pozornie tak skromne tak niewinne dziecię, miałoby być... Tak to pozór zwodzi! poczciwy stryjaszek!... w istocie podług tego bardzo dobry.

— A pani Derville, która taką samowladną panią udaje, pozwala w swoim domu trzymać...

— To sławne! zawołali razem trzej młodzi przyjaciele księcia.

— O! z tego względu trzeba jéj cokolwiek dokuczyć.

— Dziewczynę, uprowadziemy; napiszę do niéj zaraz.

— Zaproś ją po prostu; ale niezaniedbaj przyrzeczeń...

— O tak chojnych przyrzeczeń! I zaczął pisać.

— François! zanieś list podług adressu, i pa-

miętaj o tym poczciwcu, co nam tak piękną udzielił wiadomość.

François ukłonił się i wyszedł.

X.

Dnia tego odebrano dwa listy w domu Derwille.

Jeden był do pani Derville, i tak brzmiał:

„Osoby które pani Derville mocno obchodzi, dziwią się żeś pani nieodkryła dotąd nikczemnego podstępu, którego jesteś igraszką. Młoda dziewczyna, która od dwóch miesięcy w domu pani mieszka, nie jest siostrzenicą jéj męża. Nazywa się Emilja P. i znaną jest z swéj lekkomyślności Marja Derville; któréj ona imie przybrała, umarła przed trzema miesiącami w Bordeaux. Jeśli nadzwyczajna przychylność męża pani dla téj młodéj awanturnicy, nie jest dostatecznym dowodem, możesz się pani zgłosić do P, nateraz w Paryżu przy ulicy Bourdonnais, w oberży pod złotym lwem a otrzymasz dalsze, najdokładniéjsze objaśnienia.“

Skutku tego listu łatwo się domyśléć.

Drugi list brzmiał tak:

„Człowiek, który panią uwielbia, składa u nóg twoich swoją miłość i majątek. Za chlubę sobie uważam wydobyć panią z domu gdzie nadużywają jéj niedoświadczenia, zamiast twoim powabom hołd należy składać. Znam piękna Emiljo, twoje nazwisko, i powód, który cię do tego domu spro-

wadził, nie mogę jednak pomyśléć żeby stary Derville mógł cię natchnąć prawdziwą miłością. Składam u nóg twoich moje serce, wspaniały pałac, najbogatsze powozy, służbę, klejnoty, słowem wszystko co miłość i bogactwo dać mogą. Jestem młody i wolny, moje szczęście od ciebie zależy. Przemów.

Książe de Valdemont."

Emilja nieśmiała oczom swoim wierzyć czytając te obrażające słowa. — Dobry Boże! zawołała, między jakiemiż to ludźmi znajduję się! I on nie wstydzi się swoje imie pod tak nikczemnemi przełożeniami podpisać. Ale ja sama winną jestem. Przyjmując imie, które niebyło mojém, powinnam była przewidzieć wszystkie skutki tego kroku. Cóż się zemną stanie, szczęście i sława zniszczone na wieki!

I nie mogła łez wstrzymać.

— Teodorze zawołała, tyś mię w przepaść wtrącił. Kogóż teraz zapytam o radę?

— Tymczasem strzelec księcia przyszedł po odpis, a Julja, pokojowa Emilji, odpowiedziała że nie ma odpisu. Ale gorliwy służalec niedał się zrazić, pokazał Julji złoto, i wkrótce zyskał ją na stronę księcia.

— Jeśli twój pan chce pomówić z panną, to niech będzie gotów; dam mu znać, skoro tylko

panna gdzie wyjdzie sama, a będę się starała jak najprędzéj ją do tego namówić.

Gdy Julja wróciła, Emilja już namyśliła się co ma uczynić. Kazała swojéj pokojowéj, żeby ją zaprowadziła do pobliskiego kościoła Notre-Dame.

Julja zaledwie miała czas uwiadomić o tém strzelca księcia Valdemont.

XI.

Już mrok zapadał, gdy Emilja z swoją pokojową wyszły z pałacu Derville.

Na rogu ulicy, Julja obejrzała się, dała znak umówiony, potem wzięła swoję panią pod rękę, i rzekła: — Spieszmy się proszę pani, zciemnia się już, a to nie dobrze w takiéj porze iść samym kobietom przez ulicę.

— Czy daleko jeszcze do Notre-Dame?

— Oto już jest.

W kościele było pusto i ciemno. Emilja nie pomyślała, że w takiéj godzinie nie znajdzie może tego kogo szuka. Stała, nie wiedząc co postanowić. Mój Boże! westchnęła, niema ani jednego duchownego.

— Czegóż potrzebujesz moje dziecię? zapytał spokojnym głosem szanowny kapłan, który w téj chwili do niéj się zbliżył.

— Pragnę wyznać błąd który mi moje sumienie wyrzuca, odpowiedziała Emilja.

— Więc pójdź za mną. I obie dziewczęta, udały się do zakrystji, w któréj paliła się lampa, i tam Emilja opowiedziała duchownemu wszystko, co się jéj od wyjazdu z Lisbony przytrafiło.

— Oskarżasz się moje dziecię, rzekł duchowny po chwili milczenia, tak surowo, że nie chcę mojemi wyrzutami powiększać goryczy twego żalu. Jesteś winną, to prawda, ale jeszcze wszystko może być dobrze. Jestżeś gotową uczynić wszystko czego po tobie będę wymagał?

— Wszystko! odpowiedziała Emilja łkając.

— Nawet gdyby trzeba było rozłączyć się na zawsze z Teodorem?

— Jestem gotową! odpowiedziała znowu Emilja.

— Trwaj w tém chlubném postanowieniu moja córko. A teraz powróć do twego mieszkania. Jutro podam ci środki naprawienia twego błędu. Jeślibyś zaś potrzebowała mię pierwéj, przyśléj po mnie kogo bądź do pałacu arcybiskupa; posłaniec niech się pyta o księdza de Beaumont.

Powstał. Emilja odeszła z rozdartém sercem, ale z uspokojoném sumieniem.

XII.

Zaledwie kilka kroków uszły, zbliżyła się do Emilji biednie ubrana kobieta, z cicha prosząc ją

o jałmużnę. Ze łzami opowiadała, że ma troje dzieci, które prawie umiérają z głodu, ponieważ ona nie może znaleść roboty. Nakoniec prosiła Emilji, którą to opowiadanie do łez wzruszyło, aby chciała wstąpić do jéj mieszkania o kilka kroków, i przekonać się o jéj biédnym stanie.

Pokojowa, która zdawała się być mocno wzruszoną, namawiała do tego Emilję, i ta nakoniec poszła za ową kobietą. Drzwi, przez które weszły, zostały za niemi zamknięte, a żebraczka prosiła Emilję aby raczyła pójść za nią ciemnemi wschodami.

Emilja poszła, a Julja udała się za nią, żałując swego postępku, i lękając się, czy już nie zapóźno będzie cofnąć się.

Na drugiém piętrze, kobiéta owa otworzyła drzwi i puściła przodem Emilję i jéj towarzyszkę. Pokoj do którego weszły, nie był wprawdzie wykwintnie ozdobiony, jednakże znajdujące się w nim sprzęty nie okazywały śladu nędzy. Emilja z podziwieniem odwróciła się do swéj przewodniczki, ale na jéj miejscu ujrzała młodego księcia Valdemont.

Przerażenie odjęło jéj mowę; niesłyszała nawet pierwszych słów księcia, ani jego usprawiedliwienia tak dziwnego sposobu, którego użył dla otrzymania jéj odpowiedzi. Okrucieństwo jéj, mówił on, przymusiło go do tego. Ale kiedy oświadczył, że ona jest w jego mocy i nie wyjdzie

stąd, dopóki mu nie przyrzecze albo milczéć, albo przyjąć jego przełożenia, oburzenie przywróciło Emilji przytomność.

— Cóż pan spodziewasz się w nagrodę tak nikczemnego postępowania uzyskać? zapytała się. Sądzisz, że moja rodzina...

— Rodzina? zapytał książe z uśmiechem. Przecież nie mówię z Marją Derville, ale z powabną Emilją...

— Mylisz się pan, nie znam go i nie rozumiem jego mowy.

Książe stał przez chwilę, zadziwiony mocą z jaką Emilja wymówiła te słowa.

— Komedja! zawołał nareszcie, Skończmy oto, moja miła.

I chciał się zbliżyć.

— Oddal się, nikczemny, albo krzyknę na pomoc.

— Nikt nie usłyszy, wszystko ja przewidziałem. Juljo, oddal się.

— O nie, panie, odpowiedziała pokojowa, zostałam okropnie oszukaną, ale będę bronić pani mojéj aż do śmierci.

Książe wachał się przed chwilę.

— Słuchaj mię moja piękna. Daję ci trzy godzin do namysłu. Kocham cię prawdziwie, ale jeśli w ciągu tego czasu nie będziesz chęciom moim powolną, przestanę cię kochać. Wiem czém jesteś, chociaż udajesz coś wielkiego i bę-

dę się z tobą stosownie do tego obchodził. Do zobaczenia.

Wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

— Trzy godziny! rzekła Emilja, jesteśmy ocalone. Juljo spiesz do pałacu arcybiskupa, i pytaj się o księdza de Beaumont; skoro go znajdziesz opowiedz mu w jaką wpadłam zasadzkę. On przyrzekł mi swoją opiekę.

Kobieta która zwabiła tu Emilję, znała Julję i pewną była, że ona należy do spisku. Wypuściła ją przeto, za przyrzeczeniem że wkrótce powróci.

XIII.

Julja jak strzała pobiegła do pałacu Arcybiskupa który był stamtąd nie daleko. Zapytała o księdza de Beaumont starego służącego, który ją do wspaniałego gabinetu zaprowadził. Tam ujrzała tego samego duchownego, któremu Emilja wyznała swoje błędy w kościele Notre-Dame. Temu opowiedziała niebezpieczeństwo swojéj pani i wymieniła imie księcia.

— O zbrodnio! zawołał starzec; ale samo niebo, moje dziecię natchnęło twoję panią myślą udania się w téj chwili do mnie. Zaczekaj cokolwiek.

Siadł i napisał następujący list.

Do księcia de Valdemont.

„Dowiaduję się w téj chwili że pan nikczemną zdradą zwabiłeś młodą osobę, która mię mocno obchodzi, rozkazuje ci więc jako twój opiekun przed ludźmi, i zwierzchnik przed Bogiem, abyś mi tę osobę natychmiast przyprowadził, obchodząc się z nią z najgłębszém uszanowaniem. Jeśli za dziesięć minut żądanie moje nie będzie spełnione, napiszę do ministra policji.

Krysztof de Beaumont.
Arcybiskup Paryzki.“

— Zostań tu rzekł do Julji. Za kilka minut zobaczysz twoję panią.

Potem napisał jeszcze jeden list do p. Derville. Jeszcze go nie odesłał, kiedy Emilja rzuciła się do nóg swego czcigodnego opiekuna.

XIV.

Teodor najpierwéj postrzegł nieobecność Emilji, nikomu jednak o tém nie wspomniał. Ale stary Derville przyzwyczaił się co wieczór widzieć przy sobie swoję synowicę i słuchać jéj miłych śpiewów.

— Teodorze, rzekł on, poproś tu mojéj synowicy.

— Twojéj synowicy! powtórzyła drwiącym i razem gniewnym głosem p. Derville.

Mąż jéj obrócił się zdziwiony.

— Tak jest mojéj synowicy.

— Wiesz ty, co ludzie mówią? mówiła daléj jéjmość, na pozór zupełnie spokojnie. Mówią że ta panna nie jest twoją synowicą, i że nadałeś jéj to imie jedynie dla tego, abyś ją mógł wygodnie umieścić w twoim domu.

Derville przez chwilę nie mógł nic odpowiedzieć.

— Czyś zmysły postradała? rzekł nakoniec, nie wiedząc jednak czy ma śmiać się czy gniewać. Skądże ci przyszła taka myśl szalona? Marja, nie ma być moją synowicą?!

— To imie nawet nie jest prawdziwém, i na ulicach Bordeaux nazywano ją Emilją.

— Mościa pani! krzyknął zrywając się w zapalczywym gniewie stary Bankier, niewiem jakie masz powody do tak nikczemnych potwarzy, ale żądam abyś ich zaprzestała jeśli nie chcesz żeby się z nami źle skończyło.

— Pani Derville zbladła.

— Mości panie....

— Milcz, krzyknął Derville.

— Czytaj więc ten list i uniewianiaj się jeśli zdołasz. Derville porwał podany papier.

— Kłamstwo, potwarz bezczelna! rzekł przebiegłszy list oczyma, Czytaj Teodorze, czy pojmujesz co z tego?

Młodzieniec usiłował ukryć pomięszanie.

— To jest podłość! zawołał, ale ja wynajdę tego bezimiennego przestrzegacza.

W téj chwili wszedł służący bankiera.

— Znowu list! zawołał tenże łamiąc pieczęć.

— Niech mój powóz zajedzie! Istotnie, nie pojmuję. Ksiądz arcybiskup, prosi żebym jak najspieszniéj przyjechał do niego razem z tobą Teodorze. Spodziewam się, że za powrotem znajdę cię uleczoną z twojéj śmiesznéj zazdrości; proszę cię szczególniéj nic o tém nie wspominaj Marji. Biedne dziecię, zmartwiłoby się tém śmiertelnie.

Wsiadł z Teodorem do powozu, i pojechał do pałacu arcybiskupa.

— Panie, rzekł czcigodny prałat, gdy Derville wszedł do jego gabinetu, wezwałem cię tu, ażeby naradzić się względem okoliczności która cię bardzo blisko dotyka. Chcę mówić o twojéj synowicy.

— Mojéj synowicy?

— Chciéj pan posłuchać, nie przerywając mi.

Tu w kilku słowach opowiedział mu rzecz całą i wymienił schronienie, które dla Emilji przeznaczył. Derville zdziwiony nie przerywał mu, i arcybiskup dawno już przestał mówić a on ciągle jeszcze milczał.

— Niegodnie mnie oszukano, zawołał nakoniec z największym gniewem.

— Najdroższy wuju! zawołał Teodor, ja sam tylko jestem winnym! Błagam cię, przebacz Emilji, a na mnie zwróć gniew twój cały.

Chciał rzucić się do nóg wuja, ale wzruszenie sił go pozbawiło, i upadł na krzesło.

— Kochany Teodorze, zawołał stary bankier, który zawsze z jednéj ostateczności wpadał w drugą. Przebaczam ci wszystko z całego serca.

Pieszczoty poczciwego starca wróciły wkrótce przytomność Teodorowi, który teraz rzucił się do nóg jego.

— Niepowinieneś pan, mówił daléj szanowny prałat uważać w tém nic więcéj, jak tylko lekkomyślość młodości. Zamiary nie były występne, ale błąd ten nadal trwać nie może. Dom pański nie jest właściwém dla Emilji schronieniem, i dla tego wybrałem Klasztor, do którego ona jutro się uda.

— Niemogę zaprzeczyć, odpowiedział Derville że bardzo pokochałem Emilję. Niewiem czybym zniósł czczość jakąby w domu moim sprawiła nieobecność mojéj mniemanéj siostrzenicy; i jest sposób nadania jéj prawnie imienia które przybrała, to jest łącząc ją z moim siostrzeńcem; bo wiem że oni się oboje kochają.

— Nie mam nic przeciwko temu, odpowiedział Arcybiskup, wymagam tylko, żeby Emilja zobaczyła pana i jego siostrzeńca, dopiéro przed ołtarzem.

Tak się też stało. Nim miesiąc upłynął Emilja przyjęła nazwisko Derville, i poczciwy bankier mógł ją już ciągle swoją synowicą nazywać, nieobawiając się popełnić kłamstwa.

GODZINA ŚMIERCI.

W pośród tych dzikich gór, które Walencją od nowéj Kastylji oddzielają, wznosi się klasztor Cienfuegos. Duchowni cofnęli się przed wchodzącemi francuzami, i opuścili spokojne swoje celki. W kościele trawa rosła, ołtarz był odarty z swoich ozdób i bogactw; i tylko postać Jezusa Chrystusa z czarnego marmuru, pozostała nietkniętą.

Pułk huzarów, w którym służył młody Albert... rozłożył obóz w bliskości klasztoru; namiot Alberta, był przed samemi słupami wielkich kościelnych drzwi rozbity.

Noc była, tysiące gwiazd błyszczało na niebie, jak błaszki złote na ciemnéj sukni jakiéj wdowy w Sewilli; księżyc coraz wyżéj wznosił się i coraz jaśniéj błyszczał.

Albert spoczywał przy zgaszoném już strażniczém ognisku, obwinąwszy się szerokim płaszczem, i położywszy pod głowę siodło. Słyszał tupanie koni i w nierównych przerwach wołania i odpowiedzi szyldwachów. Tak upływały godziny, Albert pogrążony w marzeniach środkujących mię-

dzy snem i czuwaniem, myślał o pięknéj Eleonorze z jasnemi włosami i lazurowemi oczy, którą zostawił we Francji, a któréj, ani wabiące piękności Rzymu, ani dumne mieszkanki Grenady, nie mogły z pamięci jego wydrzéć. Już głęboko zasnął, kiedy nagle powstał silny wiatr morski, ciężkie chmury i gęste powietrze pędząc ku klasztorowi. Albert zerwał się prędko, ujrzał w półotwarte drzwi kościoła i wszedł. Burza okropnie wyła zewnątrz. Kościół był ciemny i wilgotny, błyskawice tylko niekiedy przedzierając się przez malowane szyby długich i wązkich okien, oświecały marmurowe posągi rycerzy w niszach tu i owdzie stojące, i dawały dostrzedz ołtarz, z marmurowém wyobrażeniem Chrystusa. Młody wojownik, który w tém smętném miejscu sam jeden się znajdował, nie mógł przezwyciężyć zupełnie mimowolnéj trwogi, bo w podobnych zdarzeniach fantazja zawsze silniéjszą jest od rozsądku. Postąpił pod nawę kościoła, i tylko brzęk ostróg jego przerwał głęboką ciszę. Zegar bić zaczął, a Albert liczył uderzenia, była północ.

Wtém otworzyły się drzwi zakrystji, i wyszła poważna postać czarno ubranego kapłana, niosącego kielich mszalny w jednéj ręce, a krzyż w drugiéj. Obracając się do Alberta, postać skinęła na niego aby się zbliżył do ołtarza. Jakby nieznaną siłą pchnięty, zbliżył się Albert, ukląkł na marmurowych stopniach ołtarza i usłyszał jak

poważny głos kapłana zaintonował mszę żałobną. Albert prawie nie wiedząc o tém wykonywał powinność służącego do mszy. Po skończonéj mszy, kapłan wymówił ostatnie błogosławieństwo, odwracając się na pusty kościół z taką uroczystością, jakby tysiące wiernych napełniało świątynię; potém odezwał się do oficera.

— Młodzieńcze, przez usługę pobożności, którą w téj chwili wypełniłeś, uwolniłeś duszę moją z mąk okropnych. Od dwóchset lat co noc w tym kościele cierpiéć musiałem, za przestąpienie raz w życiu ostrych przepisów zakonnych, żadna dusza żyjąca prócz ciebie, nie przyszła tu aby mię uratować. Ty pierwszy kląkłeś podczas mojego nabożeństwa przed tym ołtarzem, służyłeś mi do mszy, i tym sposobem otworzyłeś duszy mojéj drogę do szczęśliwości wiecznéj w niebie. Przyjmij podziękowanie moje. Nie mogę cię złotem ani srebrem nagrodzić, jednę tylko przysługę wolno mi wyświadczyć tobie za łaskę jaką od ciebie otrzymałem, to jest odpowiedziéć na jedno twoje zapytanie, jakiekolwiek ono będzie.

Człowiek pragnie zawsze to wiedziéć, co w przyszłości jest ukryte, i nie pomyśli nigdy jak nieszczęśliwym może go uczynić taka wiadomość. Albert uczuł nieprzezwyciężoną ciekawość i zapytał:

— Szanowny ojcze, ile jesteś w stanie odpowiedziéć, chciéj mi objawić kiedy przyjdzie godzina mojéj śmierci?

— Mój synu! odpowiedział duchowny cichym głosem i z widoczném wzruszeniem, nie powinieneś o to się pytać. Grzeszysz przeciw mądrości Boskiéj, która nie chce, żeby człowiek wiedział o czasie swojéj śmierci. Ale ponieważ wymagasz tego i ja winienem przyrzeczenia mego dotrzymać, dowiedz się, że od dziś za trzy lata, kiedy pierwszy promień dnia zabłyśnie, dusza twoja z ciałem się rozłączy, i do innego świata przéjdzie.

Po tych słowach duchowny znikł.

II.

Albert wyszedł z kościoła w posępnéj melancholji, bo czyż mogło być inaczéj? Najpiękniéjsze nadzieje życia jego, były teraz zniszczone, przyszłość toczyła pierś jego jak robak zepsucia. Szedł z towarzyszami swemi z walki do walki, i wszędzie odznaczał się walecznością; która w części, była skutkiem wiary w owe przepowiedzenie, a w części, pogardy życia. Nakoniec grom dział ustał, wojna się skończyła. Powrócił do Francji, i znalazł swoją Eleonorę, ale szczęścia nie znalazł, bo znikła jego wesołość, i każdy dzień ostrym sztyletem go ranił. Eleonora była jesze piękniéjszą jak przed odjazdem jego z Francji, jeszcze bardziéj kochała go; ale jéj wdzięki, i miłość nie mogły go pocieszyć. Pomimo, że przez swoje męstwo i zdolności doszedł do stopnia pułkownika, pomimo że

majątek jego ojca przez szczęśliwy kierunek interessów znacznie się powiększył; pomimo że jego i Eleonory rodzice pragnęli połączyć ich związkiem małżeńskim, Albertowi sumienie wzbraniało zezwolić na to. Sześć miesięcy upłynęło. Nakoniec uległ prośbom nad wszystko ukochanéj matki, ale pierwéj objawił jéj przyczynę swego smutku i oporu. Wyśmiano go jako zabobonnika i wmówiono w niego, że to śniło mu się tylko, a w sny nie trzeba wierzyć. Dzień ślubu został wyznaczony. Już stali narzeczeni przed ołtarzem. Albert uczuł jak go zimno przejęło, krzyknął i zbudził się.

III.

— Wstań no kolego! czy nie słyszysz odgłosu trąb? Jak długo myślisz spać dzisiaj? Czy chcesz żeby cię jaki gierylas przebudził?

— Jeśli tylko spałem, to przykry miałem sen, i tak wyraźny że gotówbym wierzyć w jego spełnienie. Od dziś za trzy lata umrę; — duch w postaci mnicha przepowiedział mi to.

— Czyś oszalał! Dzielny żołnierz nie zważa na takie głupstwa, powinien on nie lękać się śmierci bo lada chwila spotkać się z nią może. Mogę ci przyrzec że jeszcze 60 lat żyć będziesz, i zdrugiéj strony, nie jestem wstanie zapewnić cię czy jutra doczekasz.

— Może i masz słuszność, ale sen mój bardzo mię nastraszył. — dodał Albert podniosłszy się i wkładając siodło na swego konia.

W trzy pni póżniéj stoczoną była mała potyczka, w któréj Albert nadzwyczajne męstwo okazał, i z kilkunastu towarzyszami wpadł w środek nieprzyjaciół. Trafiony kulą hiszpańskiego dragona, spadł skonia i utracił — ale tylko strzemię nie zaś życie. Był tylko lekko ranny, i w krótce ozdrowiał. Może nawet żyje do tych czas.

ŻÓŁTE DOMINO.

(*Anegdota kapitana Marryata.*)

W piękny jesienny wieczór, przechadzałem się z jednym przyjacielem, po wielkim placu w Lucce. Rozmawialiśmy o Anglii z kąd już od lat trzech wyjechałem, ażeby oddychać zdrowszém powietrzem, i w zupełności cieszyć się zachwycającém *far niente*, któremu się człowiek tak łatwo pod tém roskoszném niebem poddaje. Dawno już udzieliliśmy sobie wzajemnie wszyst-

kich nowości, przywiezionych na ostatnich statkach parowych, mówilismy już o polityce, o znamienitych ludziach naszego czasu, o kuzynach i przyjaciolach, o znajomych i nieznajomych; nakoniec rozmowa zaczęła więdnąć i pogrążyliśmy się w nieme rozważanie błękitu nieba usianego gwiazdami. Nagle mój przyjaciel wstał i zaczął się żegnać ze mną.

— Dokądże to Alfredzie?

— Zapomniałem prawie, że muszę dziś widzieć się z pewną osobą na maskaradzie u margrabiny di Cesto.

— Czyliż jeszcze ci się nie sprzykrzyły te nieskończone processje czarnych masek i różnokolorowych dominów? wszystkie te arlekiny, pajace, pierroty, zamazane mąką, które tam tylko pokazują się we właściwéj sobie odzieży, a gdzieindziéj w maskaradowych kostjumach; wszystkie te podéjrzane zakonnice i fałszywe mnichy; bezzębne Wenery i Heby, współczesne mojéj nieboszki babki?

— Wszystko to sprawiedliwie i nowo, mój kochany Herbercie, ale trzeba ci wiedzieć, że m naznaczono dosyć ważne rendez-vous i muszę się tam znajdować.

— No jeśli tak, życzę ci przynajmniéj żebyś się nie nudził jak ja się zwykle nudzę w podobnych zebraniach. Do widzenia. Chodziłem jeszcze z pół godziny, i wróciłem do domu. Tam znala-

złem zapraszający bilet Margrabiny, rzuciłem go na stronę, i wziąłem książkę. Ale turkot powozów, które bez przerwy przejeżdżały przed memi oknami nie dozwolił mi czytać. Porzuciłem książkę i wyszedłem na ganek, żeby spojrzéć na ten gmin światowy, co z takim zapałem upędza się za uciechami. Byłem w złym humorze; nigdy spleen nie męczył mię jeszcze do tego stopnia. — Co za niedorzeczność! zawołałem do siebie ze wzgardliwym uśmiechem. Jednakże będzie tam liczne towarzystwo. Dla czego to Alfredowi tak się chciało na tę maskaradę? Rozprawiałem o tém sam z sobą z dziesięć minut; tym czasem pyszne powozy snuły się pod memi nogami.

Późniéj wspomniałem ogromne bogactwa Margrabiny, jéj wspaniały pałac, w którym będzie maskarada, świetną tłuszczę która snuć się będzie w salonach i ogrodzie.

— Będzie tam książę Figuera rzekłem sam do siebie, całe miasto... Czy by nie warto i mnie pojechać?

Nakoniec sprzykrzyło mi się siedziéć samemu i zadzwoniłem na kamerdynera.

— Antonio! dostań mi żywo domino tylko pamiętaj ciemnego koloru; i powiédz Karolowi niech zaraz zaprzęga.

Powóz mój był już gotowy, a Antonio jeszcze nie wracał.

— Jestem w rospaczy, signor, rzekł do mnie Antonio tragicznym tonem: nie wiem co począć; jak mam panu powiedzieć; obiegłem wszystkie magazyny, lecz w całém mieście nie znalazłem innego domina jak tylko żółte.

— Żółte! ależ drugiego żółtego nie będzie w całéj maskaradzie. Jakże można włożyć domino tak odznaczające się! A to wszystko jedno co napisać na plecach swoje nazwisko!

— Jeśli się panu podoba żeby go niepoznano, to pan może się tak dobrze zamaskować w żółtém dominie jak i w każdém inném.

— Masz słuszność, dawaj maskę.

W pół godziny wjechałem do wspaniałéj alei, która prowadzi do willi margrabiny di Cesto. Niebędę opisywał girland i festonów, które się przeplatały przewijając się z jednego drzewa na drugie i rysowały się świetnemi kształtami na tle ciemnéj zieloności. Palazzo był podobny do jednego z tych szmaragdowych i rubinowych zamków, które w tysiąc i jednéj nocy, jenjusze tak łatwo budują skinieniem swéj czarodziéjskiéj laski. Lampa Aladyna nigdy nic nie utworzyła cudowniéjszego. Wszędzie gruppy masek przechodziły się pod strumieniami światła; osobne pary zagłębiały się w tajemnicze aleje drzew pomarańczowych.

Szedłem po marmurowych wschodach wiodących do głównéj sali. Nagle zbliża się do mnie

liljowe domino, ściska mi po przyjacielsku rękę i rzecze:

— Jakże się cieszę że tu jesteś, myślałem że już nie będziesz. Zaraz z sobą pomówimy. I liljowe domino zniknęło w tłumie. Domyśliłem się, że to był Alfred. Dziwnie jednak że mię natychmiast poznał! I znowu przyszła mi śmieszna myśl że w takiém jasném domino każdy mię odkryje. Czegóż on chce odemnie. Pewno mu się co nieprzyjemnego zdarzyło. W każdym razie gotów mu jestem pomagać.....

I znowu zacząłem postępować daléj po wschodach. Tu ktoś mię z lekka uderzył po ramieniu. Odwróciłem się: była to kobieta. Z pod półmaski widać było że jest młoda i domyśliłem się, że musi być także ładna. — Tst! powiedziała mi, kładąc palec na usta: pójdziemy. Rozumie się, żem się nie wymówił od tak miłych zaprosin.

— Spóźniłeś się pan cokolwiek, powiedziała nieznajoma, kiedyśmy się wydostali z tłumu.

— Od godziny tu jestem, alem się nawet być tu nie spodziewał.

— Bardzom się lękała żebyś pan nas nie zawiódł, ale Alfred mię uspokajał. Powiedział mi dopiéro, że już się widział z panem.

— Więc liljowe domino istotnie jest Alfred?

— A tak; ale ja nie mogę długo być z panem, papa postrzeże. Alfred zajął go tymczasem, żeby on zapomniał o mnie. Za pół godziny zno-

wu się zobaczemy. Alfred opowiedział mu co się dziś stało?

— Ani słowa.

— Zapewne nie zdołał; a teraz nie będzie czasu; on gotuje wszystko co potrzebne jest do naszego odjazdu. Jeśli się uda, ja napiszę panu słów kilka, żebyś mógł wiedzieć co było, albo przynajmniéj co masz czynić. Alem tak zmordowana, i tak się lękam! Pan nam jesteś bardzo potrzebny. Do widzenia. „Cóż jednakże to wszystko ma znaczyć! pomyślałem, kiedy się oddaliła moja tajemnicza sylfida. Alfred mówił mi, że ma naznaczone tu rendez-vous ale nic więcéj. Widać z nim dziś stało coś nadzwyczajnego. Zresztą bardzo się cieszę jeśli mogę mu bydź w czémkolwiek użytecznym.

Milcząc chodziłem czas jakiś po alei drzew pomarańczowych, które rozlewały światło i zapach w ogrodzie. Czyniłem mnóstwo domysłów o tém co zaszło z moim przyjacielem i rozmyślałem o następstwach intrygi, w téj klasycznéj krainie sztyletów i kubków zatrutych. Nakoniec liljowe domino znowu się ukazało.

— Ts!... ts... przeczytaj ten bilecik. Za godzinę bądź znowu w tém miejscu. Czy masz broń jaką przy sobie?...

— Do licha! ani szpilki!... ale...

— Z resztą może i nie będzie potrzeba. Jednakże na przypadek weź ten sztylet; czasem się przyda.

I liljowe domino jak cień zniknęło.

Chciałem zapytać Alfreda co on chce przedsięwziąść i dlaczego ze mną nie mówi po angielsku; ale potém przyszło mi na myśl, że naturalnie lepiéj jest mówić po włosku, żeby nie zwrócić uwagi.

Wszystko to jednak okropnie tajemniczo, pomyślałem. Teraz to przynajmniéj dowiem się czegokolwiek z tego biletu. Widać że to niebezpieczny zamiar kiedy on dał mi sztylet. I zacząłem rozpatrywać przy świetle lampy ostrze tego sztyletu.

— Ostrze dobre, rzekł do mnie ktoś w czarnem kostiumie, ale pamiętaj, bij w samo serce! Zdaje mi się żem ci kazał przyjść nie do téj ale do tamtéj alei; już godzinę tam ciebie czekałem. Przypnij mu do odzieży ten bilet. Tak się rozporządziłem że za godzinę niezawodnie tędy musi przechodzić. Kiedy go już odprawisz, wsuń mu w kieszeń ten pakiet. Rozumiesz? to koniecznie jest potrzebném. Wiesz że cię czeka tysiąc cekinów. Oto mój pierścień; wykupię go, skoro tylko dobrze skończysz twoje dzieło. Twoi pomocnicy zaraz przyjdą. Parol „Medyolan". Jednakże trzeba żeby mię tu nie widziano. Na coś włożył żółte domino? To się tak odznacza: trudno ci będzie skryć się potém.

I wysokie czarne domino skryło się między drzewami.

Zaiste, ja gram tu komedyą z podwójnemi intrygami, pomyśliłem. Biorą mię za kogoś innego; ale się nie wydam. Jest tu jakiś zbrodniczy zamach, który może mi się uda zniweczyć!... Nacoś włożył żółte domino? mówił on. Ja sam sobie powinienbym zrobić zapytanie: naco włożyłem żółte domino? Albo raczéj po co tu jestem?

Oddaliłem się w aleję najbardziéj odległą od zamku, i przy świetle lampy zacząłem czytać bilecik pięknéj nieznajoméj. Bilecik był pisany po włosku, i jak widać, ręką kobiety.

„Postanowiliśmy uciekać, ponieważ tu wśród sztyletów, niema dla nas ocalenia. Pewni jesteśmy że otrzymamy przebaczenie, skoro pan doręczysz Xięciu papiery, które Alfred dzisiaj tylko o-otrzymał i odda panu. Pewni jesteśmy że pan skarb nasz ocalisz, konie gotowe i za kilka godzin będziemy w miejscu bespieczném. Przez przyjaźń dla nas, pan wezmiesz do siebie nasz skarb cały: onby utrudził nam ucieczkę. Alfred zobaczy się jeszcze z panem i powie mu gdzie znajdziesz przedmiot wszystkich naszych trosk i myśli. Jedź pan za nami jak można najprędzéj w swojéj karecie, i bądź przekonany o wdzięczności.

Wioli.

P. S. piszę naprędce bo papa zaraz pyta o mnie skoro się oddalam.

Cóż to wszystko znaczy? pytałem sam siebie. Alfred ani słowa nie mówił mi o tych papierach; a jednakże one musiały przyjść z ostatnim statkiem. Wiola! Nigdym nie słyszał tego imienia. On mi powiedział przeczytaj to, a wszystkiego się dowiesz. Niech mię licho porwie jeżeli tu cokolwiek rozumiem! Jechać za niemi w mojéj karecie i to jeszcze jak najprędzéj; a ja niewiem nawet dokąd oni jadą! Zapewne ten Alfred chce uwieść jaką bogatą dziewczynę. Niech djabli porwą to żółte domino! Widać że mi przyjdzie jeszcze otrzymać jakieś papiery i potém jeszcze wieść gdzieś czyjąś kassę. Obaczmy jednakże tą kartkę, epitafię tego, kogo zapewne ja niezabiję. „Nagroda zdrajcy" krótko i węzłowato! Jednakże trzeba pójść znowu do pomarańczowéj alei bo czas już zdaje się zbliżać.

Przez drogę rozmyślałem o tém co do mnie pisała Wiola w swym bilecie: Tu wśród sztyletów niéma dla nas ocalenia! Bydź może że to mi samego Alfreda poruczono zabić. Kogokolwiek bądź, ja go ocalę.

Marzenie moje przerwał jeszcze jakiś nieznajomy który ostrożnie zbliżył się do mnie.

— To ty, powiedział on: hasło?

— Medyolan, odrzekłem po cichu.

— Dobrze Dziakomo i Tomaso tu są nie daleko wraz pójdę po nich.

W minutę przywiodł z sobą jeszcze dwóch nieznajomych.

— Teraz jesteśmy wszyscy, Filippo, rzekł półgłosem. On wktótce będzie przechodzić.

— Ts! odpowiedziałem, pokazując mu pierścień.

— Ach, przepraszam, signor, rzekł on wziąłem pana za Filippa.

— Ciszéj zawołałem w półgłosu. Wydaliśmy się. Filippo wzięty pod straż. Trzeba wam rozejść się najprędzéj. Jutro się zobaczymy.

— Corpo di Bacco! Dokądże przyjść mamy Signor? Gdzie wprzódy?

— Tak. Uciekajcie.... prędzéj!

Aha, więc widać ten pierścień daje mi władzę nad wami, łotry! rzekłem do siebie. Potém zacząłem oglądać ten prześliczny drogi soliter, i myslałem jakby go wrócić właścicielowi. Alfred znowu się ukazał.

— Niepotrzebnie pisałeś do mnie przez czarne domino, rzekł; przecież powiedziałem ci że zaraz przyjdę znowu. Ale czas drogi. Idź za mną i ani słowa!

Poszedłem za nim. Z tego wszystkiego mogłem tyle pojąc że człowiek w czarném dominie dał mu falszywy bilet dla tego, żeby on przyszedł do téj alei gdzie czekali mordercy.

Człowiek w liljowém dominie prowadził mię

kroków trzysta albo czterysta po alei, potém rzekł:

— W końcu téj wąskiej alei znajdziesz mego wiernego negra i on tobie odda nasz skarb, skoro mu tylko pokażesz mój pierścień. Weźmij go.

To mnie wprawiło w wątpliwość. Alfred nie miał nigdy ani wiernego ani niewiernego negra. Widziałem już jawnie że tu jest jakieś nieporozumienie.

— Ja się obawiam, rzekłem...

— Obawiasz się! zawołał mój nieznajomy: nigdym nie słyszał od ciebie tego słowa. Czegóż się masz obawiać ztąd do Pizy? Ty na twoich koniach we trzy godziny tam zajedziesz. Oto pakiet ktory masz oddać księciu. Teraz wiesz gdzie masz szukać mojego negra; pójdźże do pałacu, znajdź księcia, oddaj mu papiery, i poproś, żeby je zaraz przeczytał. Nie zatrzymuj się ani chwili; biegnij natychmiast do negra; ty wiesz co masz przyjąć. Gdy książe zajęty będzie czytaniem tych papierów, my z Wiolą ujedziemy.

— Ja tu nic nierozumiém, rzekłem, przyjmując papiery.

— Dowiesz się wszystkiego jak będziemy w Pizie. Teraz idź jak najprędzéj.

— Pozwól mi...

— Ani słowa więcéj jeżeli mi sprzyjasz.... Tu się przekonałem że to nie był Alfred, bo przemówił do mnie głośno.

W tém wszystkiém była jakaś tajemnica i wyraźna omyłka. Ale przypadek wprowadził mię w tę sprawę tak daleko, że uczciwość niepozwalała się cofać. Postanowiłem brnąć daléj przeklinając moje żółte domino.

Zbliżając się do pałacu, spostrzegłem czarne domino.

— Hasło? rzekł nieznajomy.

— Medjolan, odpowiedziałem.

— Czy wszystko poszło dobrze, Filippo?

— Jak najlepiéj signór.

— Gdzież on jest?

— Tam, odpowiedziałem, wskazując na pomarańczową aleję.

— A kartka i pakiet?

Kiwnąłem głową.

— No więc lepiéj uchodź ztąd. Jutro się zobaczemy.

— Tam gdzie wprzódy, signor?

— Tam, odpowiedział on, odchodząc po samotnéj ścieżce.

Wszedłszy do pałacu, ledwom mógł przebrać się przez tłuszczę i zbliżyłem się nakoniec do księcia; on trzymał pod rękę piękną pół-maskę, która rozmawiała ze mną w parku. Dopiéro przypomniałem sobie że książe ma blizką kuzynę z imienia Wiolę. Oddałem mu pakiet i prosiłem aby zaraz przeczytał. Potém ukłoniłem się z uszanowaniem i odszedłem.

— Oddałeś? rzekł ktoś do mnie kiedym schodził ze schodów.

— Oddałem.

— Dobrze, teraz do negra.

Niéma co począć, trzeba jechać do Pizy, mówiłem sam do siebie. Zabawnie, żem się mimowolnie wmieszał w kryminalną sprawę dla tego tylko, że mam żółte domino. Cóż robić, wyplątać się niepodobna. Poszedłem w wązką aleję i znalazłem tam negra, którego oczy błyszczały w ciemności jak kocie. Z trudnością mogłem dojrzeć, że przy nim stoi koszyk czy coś podobnego.

— Co pan życzy, rzekł on przelękniony, jakby ze snu.

— Przyszedłem wybawić cię z kłopotu: oto pierścień twojego pana.

Negr zaczął macać pierścień, przypatrywać mu się o ile było można w ciemności; potém ostrożnie podjął koszyk i oddał go mi. Kassa była dosyć duża; nie ciężka, ale do niesienia nie dogodna.

— Czy słyszy signor jaki hałas w pałacu? uciekaj pan, biada jeśli nas tu zastaną. I zniknął jakby wpadł pod ziemię.

Ja także puściłem się w bieg z koszykiem, nie wiedząc co w nim niosę. Widziałem że komedja zbliża się do rozwiązania. Ze wszystkich stron rozlegały się krzyki. Domyślałem się że mię ści-

gają. W pośpiechu zawadziłem o kamień; skarb mój upadł, i krzyknął!

Pospieszyłem podjąć biedną dziecinę; lękam się czy się nie uszkodziła; na szczęście pulchniutki herubinek tylko się ocknął i przeląkł.

Zapomniałem o niebezpieczném mojém położeniu i najspokojniéj usiadłszy w mojém żółtém dominie, zacząłem pieścić i utulać dziecinę, nagle ciężka ręka spadła mi na ramię i gruby głos zawołał:

— Imieniem księcia aresztuję pana.

— Za cóż to, moi panowie, powiedziałem, sam prawie nie wiedząc co mówię.

— Książe rozkazał pana aresztować.

— Ależ zmiłuj się, signor, ja jestem Anglikiem!

— A nam co do tego! książę rozkazał aresztować wszystkie żółte domina.

Niech czarci porwą te żółte domino! mówiłem sam do siebie przynajmniéj już raz dwudziesty. Dobrze, signor, rzekłem głośno; idę z wami, ale pozwólcie mi wprzódy uspokoić to biedne dziecię.

— Dziwna rzecz! rzekł ktoś, jeden uwiózł signorę Wiolę, a ten unosi dziecię.

— Istotnie dziwna rzecz! powiedziałem, a co dziwniéjsza, że ja sam nie lepiéj od was wiem co się tu stało. Teraz gotów jestem iść z wami. Tylko bądźcie łaskawi, panowie, weźcie pusty

koszyk bo dziecko już ja nikomu nie oddam.

Przyszliśmy do pałacu; tłum rozstępował się przed nami. Oto on! oto on! ze wszech stron wołano. I patrzcie u niego na ręku dziecię. Ach jakież ono ładne! Bambino bellissimo! Nakoniec stawiają mię przed księciem, który się zdawał bardzo rozgniewanym, Ja byłem jak wprzódy w masce. Wiadomo, że we Włoszech szanują to incognito i tylko w nadzwyczajnem zdarzeniu można przymusić kogo do zdjęcia maski.

— Otóż to samo właśnie domino! zawołał książe. Proszę się przyznać! przed kilku minutami oddałeś mi pakiet papierów,

— Tak jest, signor, odpowiedziałem, pieszcząc dziecię które znowu zaczęło płakać.

— Kto je panu oddał?

— Przepraszam, Jąśnie Oświecony książe ja sam niewiem.

— Co to za dziecię?

— Przepraszam JO. książe ja sam niewiem.

— Zkądżeś go pan wziął?

— Z tego koszyka, signor.

— Ale któż mu dał ten koszyk?

— Tego JO książe ja sam niewiem.

— Pan się zdajesz żartować ze mnie? zrewidować go!

— Jeżeli Wasza książęca mość pozwoli ja sam to uczynię, jeśli tylko która z dam zechce wziąść na

chwilę dziecię. „Otrzymałem dziś wiele podarunków i będę miał zaszczyt przedstawiwić je Waszéj K. Mości.

Jakaś piękna signora zbliżyła się do dziecka i ono zaraz wyciągnęło do niéj rączki: dzieci przez instynkt, zawsze gotowe oddać się opiece kobiet, dla tego że one są tkliwsze i przyjemniéjsze niż mężczyźni.

Potém wyjąłem z kieszeni jeden pierścień i dając go księciu, rzekłem:

— Naprzód JO. książę, otrzymałem dziś wieczorem ten pierścień.

— Od kogo? zapytał książe, który, zdawało się, że poznał pierścień podany.

— Nie wiem. Jeszcze otrzymałem i ten pierścień.

— A ten od kogo? zapytał książe poznając także pierścień czarnego domina.

— Także nie wiem. Oto dali mi jeszcze sztylet a kto mi go dał, niewiem. Nakoniec oto pakiet: kazano mi wsunąć go w kieszeń człowieka, którego polecono mi zabić.

— I pan pewno nie wiesz od kogoś otrzymał ten pakiet?

Zupełnie nie wiem, signor. Oto jeszcze karteczka, którą mi kazano przypiąć na sukni nieboszczyka.

— Pan zawsze jednak nic nie wiesz?

— Na to powinienem powiedzieć W. X. M. to samo com już opowiedział na wszystkie inne pytania.

— Może nawet pan nie wiesz kto jesteś, rzekł książe z uśmiechem nieukontentowania.

— O, na to pytanie łatwo mi odpowiedzieć! rzekłem, zdéjmując maskę. Jestem anglik, i spodziewam się, żem postępkami mojemi nie poniżył dostojeństwa dżentlemena. Nazywam się Herbert M... i nieraz miałem zaszczyt objadować u W. K. Mości.

— Istotnie, poznaję pana, signor, rzekł książę, zostawcie nas samych. Muszę pomówić z tym cavaliero.

Kiedyśmy zostali sami, opowiedziałem wszystkie moje tajemnicze przypadki, i książe sam mi je objaśnił.

On życzył, żeby kuzyna jego, Wiola, poszła za Rudolfa, hrabiego Istrji, lecz nie chciał jéj przymuszać. Wiola z swojéj strony, kochała Alfreda margrabiego Salerno, o którym książe i słuchać nie chciał. Hrabia Rudolf dowiedział się, kto jest jego rywalem, i nieraz starał się uwolnić od niego morderstwem. Nakoniec markiz i Wiola tajemnie się zaślubili, i w rok Wiola wyjechała na wieś: tam ona została matką ślicznego dziecięcia, o czém książe nie wiedział, i niemowlę udali za syna jednéj dworskiéj damy, która wiedziała o wszystkiém.

W tym właśnie czasie, tajne towarzystwa, a mianowicie karbonarów, zbyt się rozszerzyły i władze włoskie wszystkiemi siłami starały się je wytępić. Hrabia Rudolf przyjął tytuł reprezentanta jednego z tych niebezpiecznych związków, dla tego żeby wzmocnić swoją potęgę i mieć pod ręką klewretów, którychby można było użyć przeciw markiza Salerno. Markiz odkrył to wszystko, i dawno już zbierał dowody występnych zamysłów Hrabiego. Nakoniec udało mu się dowiedzić i o-tém, że na balu u markizy przygotowany jest zamach na jego życie. Postanowił więc odkryć księciu wszystko, nawet swoje ożenienie, i wyjechać do Pizy, nim pierwszy gniew jego przeminie. Markiz spodziewał się, że książe, dowiedziawszy się o występkach Hrabiego Rudolfa, pozbawi go swéj łaski. Maskarada podawała przyjazną zręczność uwiezienia swojéj żony, co inaczéj, w pałacu, wśród straży, byłoby trudno dokonać.

Ale Wiola w żaden sposób nie chciała jechać bez dziecięcia: a jakże z niém jechać konno? Markiz Alfred prosił więc dobrego swego swego przyjaciela Hrabiego Ossoro, ażeby przyjechał na maskaradę w żółtem dominie, żeby go łatwiéj można było rozpoznać, Lecz Hrabia Ossoro, jakeśmy się potém dowiedzieli, wyjechał w ten dzień od rana na polowanie, powróeił na maskaradę, kiedy już ucieczka Wioli z markizem Salerno stała się głośną. Nie tracąc ani chwili popędził za niemi do Pizy.

Teraz wiadomo, dla czego markiz Alfred i jego miła małżonka udawali się zawsze do żółtego domina. Co się tycze Hrabiego Rudolfa, on mię wziął za naczelnika swoich karbonarów dla tego tylko żem oglądał przy świetle lampy klingę sztyletu. Papiery które mi dał ściągały się do tajnych towarzystw. Miał on zamiar za ich pomocą, udać margrabiego za karbonara, a przez kartkę którą mi kazano przypiąć do sukni nieboszczyka Rudolf chciał pokazać że Alfred zabity przez swych wspólników za zdradę.

Po tych wszystkich objaśnieniach, prosiłem ażeby mi wolno było wypełnić przyjęty na siebie obowiązek odwiezienia dziecięcia do matki; tém bardziéj prągnąłem to uczynić, że opoźnienie wtrąciło by ją w okropną niespokojność. Dodałem że książe niebędzie się zapewne gniewał za to czego już niemożna powrócić i dozwoli mnie samemu udzielić tę radosną nowina signorze Wioli i jéj mężowi.

Książe zaczął chodzić wielkiemi krokami po pokoju i nakoniec rzekł:

— Signor Herbert, samo przez się rozumie się, że po nikczemnym postępku Hrabiego Rudolfa, on nieotrzymałby ręki n éj krewnéj, chociażby jeszcze Wiola była wolną. Rozkażę zeby go we dwadzieścia cztery godzin nie było w mojém państwie. Pan ocaliłeś życie męża mojéj siostrzenicy i za to winien mu jestem wiele wdzięczności.

Rozproszywszy złoczyńców wporę, okazałeś pan zadziwiającą przytomność umysłu i rzadką przenikliwość. Jedź pan jeśli mu się podoba do Wioli i jéj męża, lecz proszę im powiedzieć, że syna zostawiam u siebie, jako zakład ich prędkiego powrotu.

O świcie byłem już w Pizie i zastałem nieszczęśliwych małżonków w najokropniéjszéj rozpaczy. Z objaśnienia hrabiego Ossoro postrzegli oni, że się powierzyli nieznajomemu, który widocznie ich zdradził.

Nie podejmuję się opisywać radości jaką uczuli, gdym rosproszył tę przelotną chmurę niedoli. Nosili mię na rękach jak przyjaciela, jak dobroczyńcę, nazywając aniołem stróżem; i przez cały czas pobytu mego w Lucce ani razu nieprzyszło mi pożałować, że znajdowałem się na balu u Margrabiny w żółtém dominie.

HENRYK I KAROL.

(*przez C. W. Koch.*)

I.

Około południa w przeszłym roku, zajechał kurzem okryty powóz na dziedziéniec hotelu noszącego nazwę arcy-księcia Karola, przy ulicy Kärntner w Wiedniu. Wysiedli z niego dwaj młodzi ludzie, doktorowie z Heidelberga, i udali się wprost do zamówionych dla nich pokojów.

— Nie pójdę dziś jeszcze do ciotki Seebald, rzekł Henryk, zruciwszy podróżne ubranie. Gdybym tak niespodzianie przedstawił się mojéj niecierpliwie oczekującéj narzeczonéj, mogłoby się stać co złego. Lepiéj dam cioci *rendez-vous* w Prater, i ostrożnie wybadam ją względem ślicznéj Marji i jéj gustu.

Po co tyle zachodu? zapytał Karól. Mój ojciec, który jako twój opiekun szczerze się twemi sprawami zajmował, ułożył już wszystko względem połączenia twego z Marją. Ciotka zezwala,

a listy twéj narzeczonéj jasno przemawiają, że nie ma wstrętu do tych związków. Czegóż chcesz więcéj?

— Cokolwiek więcéj piękności, odpowiedział Henryk, wskazując na twarz swoją z mocnemi śladami zostawionemi przez ospę; i którą bez wahania można było nazwać szpetną. Słuchaj, mówił daléj żartobliwie, gdybym w ten sposób wszedł do mojéj narzeczonéj (postąpił krok naprzód), cóżby powiedziało to biédne dziecko, które w swojéj wyobraźni, utworzyło sobie mój obraz cokolwiek przynajmniéj podobny do Apollina Musagetes? Osądziłaby zapewne, że jéj chcę bajkę o strachach powiedzieć, i jéj małżeństwo z kuzynkiem Ezopem., może by istotnie zostało tylko bajką.

— Dziwak jesteś, przerwał mu Karól, teraz panny nie troszczą się o twarz męża, jeżeli ma pieniądzę i w dodatku tak piękne jak ty przymioty.

— Istotnie? zapytał żartobliwie Henryk, chcesz mię przekonać, że naszym dziewczętom, dla saméj osobliwości milszym jest mąż takiego jak ja kroju, a niżeli inny. Nie, nie, kochany Karolu, niepodobna, aby młoda ładna panna wybrała mię za męża. Czeka mię kosz, którego wolałbym uniknąć. Dlatego ciocia musi mię pierwej zobaczyć, i dopiéro całą sprawę poprowadzić jak jéj się będzie zdawało; bo przekonany jestem, że we wszy-

stkich rozmowach o mnie z Marją, pewnie nic o mojéj twarzy nie wspomniała. Jako *garçon*, nie martwię się temi kilkunastu znakami które mi ospa zostawiła, mam pieniądze, jestem aż nadto wesoły i potrafię jeszcze znaleść *pour un amour de quinze jours*, taką, która nie będzie na twarz moję patrzéć, ale jako narzeczony, to zupełnie co innego, za żadną cénę nie chciałbym, żeby moją żonę z mojéj przyczyny wyśmiewano, i posądzano o brak gustu. Równie także jestem nieprzyjacielem pewnych głównych rzeczy, a zdaje mi się, że mógłbym się ich spodziewać, gdyby żona moja, bez miłości, jedynie dla pieniędzy poszła za mnie. Bardzo jestem wdzięczny za podobną litość i dla tego stanie się jak powiedziałem: — matka Marji, jest rozsądną kobiétą, oceni ona moje powody, i poda mi sposobność okazania się Marji jakby przypadkowo. Bez poprzedniego rozpoznania pola bitwy, w żaden sposób nie przedstawię się jako narzeczony.

Karol słuchał z uśmiechem. Wiedział on że Henryk miał w części słuszność, ale przywiązanie do niego niepozwalało mu przyznać tego i popierać jego obawy. On sam był młodzieńcem bardzo przystojnym, i nieraz widział jak miłemi oczkami spoglądały nań młode dziewczęta.

W domu jego ojca, professora Hiller w Hejdelbergu, który po śmierci ojca Henryka, sprowadził go do siebie z Wiednia, rozwinęły się pierwsze

zarody ich przyjaźni; która z każdym dniem wzrastała i stawała się tkliwszą. Przed dwoma laty po ukończeniu nauk w Hejdelbergu, Karol jeździł do ciotki Seebald mieszkającéj w Wiedniu; poznał jéj starszą siostrę Emilję, i serce jéj wkrótce pozyskał. Marja młodsza córka, znajdowała się jeszcze wtedy na pensji, i nie widziała wcale pięknego kuzyna. Pani von Seebald wiedziała o wzajemnéj skłonności Karola i Emilji, i zezwoliła na ich związek, zapragnęła przytém połączyć Marję z Henrykiem, którego lubiła bardzo kiedy jeszcze był dzieckiem, ponieważ widziała w tym związku szczęście swojéj córki. Stary Hiller chętnie przychylił się do tego układu, i skłonił Henryka do napisania w tym przedmiocie listu do Marji, pani Seebald ze swéj strony *pozwoliła* Marji odpisać, w krótce listy między temi dwoma młodemi ludźmi stały się coraz częstszemi, i widać w nich było wzajemną obojga skłonność.

Popołudniu zeszło bardzo prędko. Przyjaciele pojechali wnajętym powozie do Prater, dokąd Henryk zaprosił ciotkę potajemnym listem. Przebaczysz mi pani, tak kończył się list jego, to małe dziwactwo, że moje powitanie jest listowne, i nadto jeszcze *rendez vous*, ale przekonasz się pani, że słusznie czynię, chcąc mojéj narzeczonéj oszczędzić niespodziewanego zadziwienia, któreby mogło zupełnie zepsuć moją sprawę.

Pani Seebald z podziwieniem przyjęła szczególne zaprosiny kuzyna, ale to podziwienie nadzwyczajnie powiększyło się, kiedy go nakoniec ujrzała. Wystawiała ona sobie Henryka zupełnie inaczéj, i naprózno usiłowała znaleść w twarzy jego chociaż jeden z tych rysów, ktoremi go jéj dobroć z przypomnień jego dziecinnego oblicza, tak szczodrze w wyobraźni swéj obdarzyła. Podziwienie to jednak nikło, im bardziéj Henryk rozwijał swoje skarby umysłowe w obejściu i rozmowie, i szpetność jego tém więcéj stawała się dla niéj obojętną im więcéj poznawała wewnętrzną jego wartość. Nagłe zapytanie Henryka: Nieprawdaż ciociu, tak brzydkim nie wystawiałaś sobie twego siostrzeńca? pomięszało ją cokolwiek; ale poczciwy Henryk pospieszył jéj zaraz na pomoc dodając żartobliwie: Los słusznie sobie postąpił, że mojéj zarozumiałości cokolwiek lejce ukrócił, bo gdybym przy moim majątku był tak pięknym jak Karól, Bóg wie co by się działo. Rozmowa stała się coraz weselszą, coraz bardziej Henryk zyskiwał przychylność ciotki, zastępując umysłowemi powabami brak wdzięków powierzchownych. Zwolna przyszła kolej na rozmowę o Marji. Wprawdzie ciotka wmawiła w Henryka że niesłuszne są jego wątpliwości i obawy: pewną bowiem była, że Marja po pół-godzinnéj z nim rozmowie, znajdzie go tak godnym kochania jak sobie wystawiała. Jednakże Henryk potrafił ją skłonić do swego zamiaru.

— Jutro wieczór, rzekła nareszcie po długim oporze, jest wielka zabawa pod „Gruszką“ na gościńcu, tam zobaczysz twoją narzeczonę, a Henryk z radością przyjął ten plan; bo w miejscu publiczném, mógł niepoznany zbliżyć się do Marji, i uważać jakie na niéj wrażenie widok jego uczyni.

— Wystroję się starannie, rzekł, i zobaczysz ciociu, że potrafię nadać sobie cokolwiek tego, co nazywają gracją. Czy na tę zabawę można wejść w masce?

— Nie.

— To szkoda, tym razem maskarada bardzoby się przydała, bo możebym prędzéj podobał się Marji pod maską, jak z tą twarzą, która zdaje się być ideałem szpetności.

Wpośród żartów i śmiéchów rozeszli się nakoniec, każdy innemi przepełniony uczuciami; Henryk w obawie i niepewności, Karól zmartwiony, widząc przyjaciela tak zwątpiałym, a ciotka Seebald cokolwiek niespokojna, myśląc o guście młodszéj swojéj córki. Tego nie mogła zaprzeczyć, że powierzchowność Henryka, daleką była od uczynienia na młodéj panience takiego wrażenia, jakie listy Henryka uczyniły na sercu Marji, a jednak takiego jak on męża nie wypadało odrzucać. Jego majątek zapewniał Marji życie nader przyjemne.

równie jak jego piękny charakter i ujmujące przymioty duszy.

II.

Król walców, Straus, który tyle już bukietów swojéj trzy-ćwierciowéj muzy, wesołym wiedeńczykom ofiarował, właśnie nie jednéj panny serce do prędkiego bicia przymuszał, w jasno-oświeconéj sali „pod Gruszką.“ Obszerny ogród podobny był zaczarowanemu gajowi, pstro-kolorowe lampy rozlewały swoje magiczne promienie, szczególniéj w głównéj alei umieszczone w kształcie arkady, malowniczy przedstawiały widok. Wszędzie cisnęły się tłumy strojnie ubranych kobiét i mężczyzn, a pomiędzy stołami przy których także liczni siedzieli goście, biegały usłużne kelnery, jakby ich z procy rzucano. Przezorne matki, którym niebo dało jednę albo dwie córki na wydaniu, zasiadły z swemi kwiatkami pełnemi nadziei, jaknajbliżéj głównych chodników. Niejedna panna, która już przeszła lata, jakie wolno mieć pannie, przechadzała się w towarzystwie staréj albo przybranéj kuzynki, która z lorynetką i wachlarzem, starała się wynaleść między wąsatemi i brodatemi rycerzami, takiego, któryby się dał oczarować cokolwiek już przekwitłemi powabami jéj towarzyszki. Młodzież rozprawiała głośno, rozbierała powaby ciała i ubioru kobiet, pukała korkami od szampana

albo *Luftbier*, kilkudziesięciu poważnych gości, młynkując wielkiemi palcami, rozprawiało o karlistach i krystynistach, z taką pewnością wróżąc o przyszłych wypadkach, jakby po dziesięć lat przynajmniéj pisali adressy na kopertach w biórze bogini przeznaczenia; słowem, był to obraz nieprzymuszonéj wesołości, który w téj chwili przy trzasku i blasku zapalonych sztucznych ogni, nagle nową przybrał postać. Nacisk podwoił się, każdy opuszczał swoje miejsce aby ile możności zbliska przypatrywać się młynkom, wieńcom, racom i innym cudom ogniomistrzowskiéj sztuki.

Henryk i Karol znajdowali się także w tłumie, upatrując nadaremnie przy świetle brylantowego ognia, ciotki Seebald z córkami; i nakoniec postanowili rozłączyć się i szukać ich w różnych stronach ogrodu.

— Ziemia! zawołał, jak majtek siedzący w koszu masztowym, szczęśliwszy od swego przyjaciela Karol, postrzegłszy ciotkę Seebald i Marję w towarzystwie jakiegoś podeszłego jegomości, i chociaż zdziwiony nieobecnością Emilji zbliżył się do rozmawiających. Marja, która uprzedzoną już była przez matkę, że tego wieczora zobaczy swego nieznajomego, zbladła słysząc poufałe przywitanie Karóla, ale wkrótce rozweseliło się jéj lice, bo powierzchowność młodzieńca zupełnie odpowiadała wyobrażeniu jakie sobie o nim w myśli utworzyła. Ciotka powitała przybyłego bardzo

przyjaźnie i przedstawiła go córce jako jéj kuzyna. Marja uśmiechając się radośnie podała mu rękę i rzekła: — A więc nakoniec moje życzenia zostały spełnione, nie mogłam się prawie doczekać chwili widzenia pana. A potém z tkliwém wejrzeniem i lekko rumieniąc się dodała: Ale po cóż to imie Pan, wszak już od roku w listach naszych używamy tak miłego „Ty", dlaczegóżbyśmy teraz nie mogli wzajemnie tak się nazywać?

Spuściła oczy po tych słowach, i niedostrzegła pomięszania wszystkich.

Karol nie wiedział co powiedzieć, podeszły jegomość, daleki powinowaty, wyglądał jak żyjący znak zapytania, a ciotka jakby jéj usta się zrosły. pierwszy raz w życiu, nie mogła znaleźć wyrazów, aby wywieść córkę z błędu. Przypadek, że Karol pierwéj je znalazł, popsuł zupełnie szyki poczciwéj kobiety. Było to okropne *qui pro quo*, którego skutki nie zdawały się być pomyślne dla Henryka; bo jakże Marja, która narzeczonego swéj siostry, za swojego wzięła, i w swéj pomyłce tak się szczęśliwą czuła, na niezbyt ujmujący widok Henryka, zniesie to przekonanie, że powabny Karol jest dla niéj na zawsze straconym. Wkrótce jednak pani Seebald zebrała zmysły, i prędko rzekła:

— Jak widzę, ty jesteś...

— Cokolwiek za śmiałą? przerwała Marja. Kochana matko po cóż między nami grzeczności?

Wszakże Henryk jest moim narzeczonym. Nie prawdaż że milszém ci jest moje „Ty“ — to się tkliwiéj i serdeczniéj wymawia.

— Ale tu nie oto idzie, odpowiedziała matka. Tylko chciałam ci powiedzieć że....

Zabrzmiała w sali introdukcja walca. Wszyscy powstali od stołów; młody człowiek z którym Marja przyrzekła pierwszego walca tańczyć, zbliżył się z uszanowaniem i ponowił swoją prośbę. Nie podobna było zostawić go na koszu, gdyby nawet Marja nie tak bardzo lubiła taniec. Przyrzekła więc mniemanemu Henrykowi, że z nim już tylko odtąd będzie tańczyć, i podała rękę swemu tancerzowi.

— Piękne nieporozumienie, zaczął Karol, gdy już zostali sami.

— Musiemy je zaraz wyjaśnić, jak tylko Marja powróci; odpowiedziała matka, podczas gdy znak zapytania wypróżnił swoją szklankę.

— Gdzież jest Emilja? mówił daléj Karol, jéj obecność byłaby temu wszystkiemu zapobiegła.

— Bez wątpienia z jéj powitania, byłaby Marja całą rzecz zrozumiała. Ból głowy zatrzymał ją w domu.

Tymczasem przybył i Henryk i na cały głos rozśmiał się, dowiedziawszy się co zaszło w jego niebytności. Przypadek, rzekł on, który często głupstwa robi, tym razem bardzo pięknie się spi-

sał, oszczędzając mi zawstydzenia, bo pewno moja narzeczona, nie byłaby mię tak jak ciebie przyjęła. Dla tego, mówił po krótkim namyśle, nie trzeba jéj dziś wywodzić z błędu. Zostaniesz więc Henrykiem, a ja wystąpię pod twojém imieniem.

— Ale co powie moja Emilja, jak się jutro o téj zmianie dowie? zapytał niespokojnie Karol.

— To biorę na siebie, poproszę jéj pięknie, żeby ci na parę dni pozwoliła grać moją rolę. Nie odmówi mi niewątpliwie, szczególniéj kiedy się dowie, że mnie ma przez ten czas za swego narzeczonego uważać.

— Ale doczegóż doprowadzi ta komedja? zapytała ciotka.

— Do dobrego rozwiązania odpowiedział Henryk. Moja narzeczona przyzwyczai się tym czasem do mojéj osoby, i przynajmniéj niespadnie z krzesła dowiedziawszy się kto ja jestem istotnie; może też przez ten czas, jakim bądź sposobem uda mi się podobać się Marji, dodał poważniéj, i odkrycie prawdy stanie się dla niéj mniéj bolesném.

Ten układ podobał się ciotce. Pewną była że przyjemne obejście Henryka w prędce zatrze nie miłe wrażenie jakie twarz jego mogła uczynić na Marji i dla tego wszelkiemi siłami starała się skłonić Karola do przyjęcia roli, która przy tak pięknéj jak Marja dziewicy, niebyła by mu nieprzyjemną, gdyby tylko nie potrzebował odgrywać jéj

w obec prawdziwéj swojéj narzeczonéj. Musiał jednak zgodzić się, nie mogąc się oprzéć prośbom ciotki i przyjaciela.

Utwierdziwszy tkliwém uściśnieniem zaczepne i odporne przymierze, pobiegli dwaj przyjaciele do sali tańca; Henryk pałał niecierpliwością zobaczenia dziewicy, którą mu los drogą doplomatyczną za narzeczonę wybrał. Położenie jego było istotnie dziwne i jedyne w swoim rodzaju, a chwila poznania koniecznie musiała ważne za sobą pociągnąć skutki. Że go Marja kocha, tego miał pismienne dowody, bo jéj listy wyrażały tęskne uczucia, któremi psotna miłość serca napełniać zwykła.

Był więc święcie przekonany, że Marja jest zakochaną, ale w własnych marzeniach o kochanku, w obrazie urojonym który on suchą rzeczywistością miał zniszczyć. Jak go sobie wystawiała, to wiedział już w téj chwili, i z bolesném sercem przyklaskiwał jéj gustowi, kiedy Karola osądziła swoim narzeczonym. Ale i jego czekało niespodziane zadziwienie. Bardzo prędko znalazł Karol Marją czyli raczéj ona jego. Oświecona wiosennym promieniem pierwszéj miłości, jaśniała jak róża, która się dopiero z pączka wywinęła, i Henryk pierwszy raz uczuł się zranionym, bo gdyby tego anioła z powodu szpetności swojéj miał utracić, czuł to że musiałby żalić się na przyrodzenie, które go tak skąpo pod względem powierzchowności uposażyło.

— Wszakże nie gniewasz się, że cię w chwili pierwszego spotkania odstąpiłam? zapytała Marja mniemanego narzeczonego, zatrzymawszy się w bliskości obu przyjacioł.

— O bynajmniéj, odpowiedział Karol, spoglądając niespokojnie na Henryka, który choć przekonany o zaszłém nieporozumieniu, nie mógł jednak oprzéć się chwilowemu uczuciu zazdrości. W krótce jednak przezwyciężył się, i z wesołą twarzą przedstawił się jako drugi kuzyn a razem narzeczony Emilji.

Marja zwróciła oczy od mniemanego Henryka ku prawdziwemu, i we wszystkich jéj rysach malowało się podziwienie, że Emilja mogła pokochać tego ostatniego pomimo jego szpetności. Spojrzenia jéj tak były znaczące i powtarzane, że biedny Henryk już naprzód wiedział swój wyrok.

— Nie ma wątpliwości, że mnie nie osądziła adonisem, szepnął do ucha Karolowi, gdy Marja wróciła do tańca. Ale ja widzę w niéj Anioła, i ledwie nie pęknę z zazdrości, że ona ciebie za mnie wzięła.

— Ale też Marja była prawdziwie Aniołem. Jéj powietrzna postać tak lekko unosiła się na falach walca, jak wychodząca z morza Afrodyta; piękne oko tak słodko tak tkliwie spoczywało na tym którego uważała za swego narzeczonego, jéj lica takim płonęły szkarłatem, jak obłoki poranka lekko zarumienione budzącém się z łoża wód słoń-

cem; mogłaby o pierwszeństwo walczyć z Pafijską boginią. Henryk oczarowany, zamienił sie zupełnie w spojrzenie, niekiedy tylko jeszcze usta jego odzywały się; Otóż to! niech kto powie że w Wiedniu niéma piękności! co za urok, ach! to jest Anioł, więcéj niż Anioł!

Marja znowu się zbliżyła. Zdawało się że już niemoże doczekać się końca walca, i że niéma oczu i czasu tylko dla szczęśliwego kuzynka. Nakoniec uderzyła godzina wybawienia. Walec się skończył, Marja uprzejmie podziękowała swemu tancerzowi, który zgadując jéj myśli, odprowadził ją do jéj przyjaciół.

Podała rękę Karolowi i przechadzała się z nim po sali, niepostrzegając prawie Henryka, który smutny szedł z drugiéj strony, i rozmawiała ciągle tylko o tkliwych listach i wierszach które otrzymała, tak że Karol niemało się zadziwił nad mnóstwem przysiąg miłosnych i sonetów, które niby on napisał i naprawdę zaczął być niespokojnym o Henryka którego nigdy nie sądził tak ognistym i zakochanym.

I Henrykowi dziwno było gdy słyszał jak Marja przypominała Karolowi słowa, które piękniéjsze serce jak twarz Henryka podawało mu w listach jego, i czuł że ciężar jakiś spadł z jego duszy kiedy szczebiocząca para postanowiła nakoniec poszukać ciotki w ogrodzie. Przy wieczerzy szampan rozweselił umysły. Henryk rozwinął skarby swojéj

wymowy, i Marja z każdą chwilą musiała go więcéj cenić, bo w każdém jego słowie błyszczał rozsądek połączony z tą ujmującą wesołością, i delikatnym dowcipem, które tylko własnością pięknych dusz być mogą. Nakoniec wybiła godzina powrotu do domu. Pani Seebald z córką i dwoma kuzynkami pojechała w wygodnym poczwórnym fiakrze na *Jägerzeile*, a dawno już drzémiący stary znak zapytania kazał się drugiemu fjakrowi zawieść do swojéj rezydencyi na *Josephstadt*.

Aż dotąd Henryk pozwalał Karolowi używać wszelkich korzyści jakieby jemu rzeczywiście się należały, ale wsiadając do powozu, lekki oddech zazdrości natchnął go myślą zajęcia miejsca naprzeciw Marji, zostawiając Karolowi przeciwne ciotce siedzenie.

O jakże czuł się szczęśliwym, kiedy uczuł różany oddech anielskiéj dziewicy; tajemna tęskność wzdymała jego piersi, nie mógł pomyśléć, że może stracić tego anioła, i gdyby rozsądek równie był słabym jak jego serce, w téj chwili jeszcze rozdarłby był zasłonę, która jego prawa w tak niekorzystny sposób ukrywała. Ale rozstropność nakazała mu panowanie nad sobą, a nadzieja pokrzepiła biédne serce, drżące w obawie i niespokojności. Radby wieki tak blisko Maryi znajdując się przynajmniéj roskosznie marzyć, ale, naprzekór jemu droga ich niebyła daleką i w kilka chwil stanęli u celu.

Myśl o pożegnaniu zachmurzyła znów jego czoło i nie bezzasadnie, bo Marja okazała się w téj chwili tak czułą, tak zajętą Karolem, że Henryk iedwo nie urwał dzwonka, chcąc jak najprędzéj zbudzić ospałego odźwiernego i tym sposobem koniec położyć rozdzierającéj serce jego scenie. Przyrzekając przybyć jutro na obiad, pożegnali się obadwaj kuzynkowie z ciotką i Marją, wrócili oba do hotelu, oba zamyśleni, chociaż każdy z innego powodu; i położyli się spać. Karól późno dopiéro uspokoił się, a Henryk wcale nie mógł zasnąć.

III.

Jeszcze słodkie sny otaczały łoże Marji, pieszcząc jéj duszę pięknemi fantastycznemi obrazami. Matka jéj wcześnie wstała, aby Emilję uwiadomić o wypadkach wczorajszego wieczora, i przygotować ją do jéj roli. Długo nie mogła pojąć tego Emilja, jak można udawać miłość dla kogo innego szczególniéj w obecności prawdziwego kochanka; a może też nie chciała tego pojąć.

— A jak też Karól na prawdę się w Marji zakocha, rzekła nakoniec nie mogąc dłużéj utaić rzetelnego powodu swojéj niepojętności, to ta komedja smutnie się dla mnie skończy.

— Zazdrosną jesteś, odpowiedziała matka, inaczéj nie tworzyłabyś sobie tak bezzasadnych trosków.

— Zazdrosną nie jestem, ale uważ kochana mamo, że mężczyźni nie są już teraz takiemi jak za twoich czasów. Dlatego, ostrożność zawsze się przyda, bo żarcik podobny w naszym wieku, może być bardzo niebezpiecznym, szczególniéj ponieważ Marja daleko jest piękniéjszą odemnie.

— Ależ widzisz, że niepodobna tak nagle wywieść Marją z błędu.

— No, dla jéj miłości odważę się, byleby nie na długo. I to jeszcze waruję sobie, że skoroby obawy moje zaczęły się potwierdzać, zrzucam się natychmiast z mojéj roli.

Matka jak mogła uspokoiła ją pod tym względem i oddaliła się pełna nadziei.

O godzinie dwunastéj przybyli kuzynkowie. Emilja mogłaby była wszystko popsuć, witając się z Karolem, bo w chwili gdy go zobaczyła, zapomniała zupełnie swojéj roli, ale uprzedziła ją Marja. Pobiegła ona naprzeciw mniemanego swego oblubieńca; jéj tkliwość w powitaniu go, przypomniała Emilji przyrzeczenie, które uczyniła matce, a Henryk dopomógł jéj witając się z nią serdecznie i poufale jakby się już od dziesięciu lat z sobą kochali. Wszystko poszło tak szczęśliwie, że nawet ktokolwiek więcéj uważny jak Ma-

rja niemógłby powziąść najmniéjszego podejrzenia w jakimbądź względzie.

Wkrótce rozmowa stała się ogólnie żywą, Emilja mściła się cokolwiek za tkliwe wyrazy, których Karól nie szczędził dla jéj siostry. Czuła ona oceniając wewnętrzne przymioty Henryka, że ta, która jego żoną będzie, może być bardzo szczęśliwą, nie mogła jednak oprzeć się zazdrości, widząc poufałe postępowanie Marji z Karolem.

Marja podała myśl przechadzki do Bastaj. Karol nie mógł odmówić, bo położenie jego nakazywało mu uprzedzać we wszystkiém życzenia mniemanéj narzeczonéj. Marja pragnęła popisać się z swoim mniemanym Henrykiem; i prosiła Emilji i jéj narzeczonego, żeby im towarzyszyli. Ale Emilja wymawiała się słabością, usiłowała nawet odwieść Marją od tego zamiaru, bo niepokoiła ją myśl zostawienia z nią samego Karola. To jednak było nadaremném. Marja pobiegła do swego pokoju ubrać się i zostawiła sprzysiężonym czas do narady. Teraz zachodziło wielkie pytanie, jakby to nieszczęśliwe *qui pro quo*, które coraz stawało się niebezpieczniéjszém, w najrozsądniéjszy sposób wyjaśnić. Gwałtownie niepodobna było nic uczynić, to pojmowali wszyscy, trzeba więc było zdradą dopjąć celu. Zdrada ta musiała na tém zależeć żeby nie dać wzrastać skłonności Marji do Karola, a przeciągać ją na stronę Henryka, i przekonać ją, że sama piękność nie jest dostatecz-

ną do szczęścia w małżeńskich związkach. W ten sposób tylko wyjaśnienie prawdy mogło stać się dla niéj nie tyle bolesném a może i przyjemném. Dowcip Henryka wkrótce wynalazł sposób.

— W twoje ręce mój miły rywalu mimo woli, składam rozwiązanie tego prologu do naszéj małżeńskiéj dramy, rzekł do Karola, który już oddawna z swoją Emilją tkliwe zamieniał wyrazy. Ale, dodał figlarnie, wróć się kochanie do twojéj roli, bobyś moję tymczasową narzeczonę, podał w podejrzenie u Marji, gdyby nagle teraz tu weszła.

Karól smutnie odstąpił od Emilji, która w milczeniu wzdychała do jak najprędszego końca téj komedji, która jéj niepozwalała otwarcie oddać się szczęściu z pobytu Karola.

— Na tobie teraz polega wszystko, mówił daléj Henryk, ty jeden możesz Marją usposobić do zniesienia téj myśli, że ja jestem dla niéj przeznaczoną.

— Ale na miłość Boską, jakże ja to zdołam uczynić.

— Musisz się starać, żeby twoje postępowanie nie podobało się Marji. Umizgaj się do każdéj dziewczyny, biegaj za każdym fartuszkiem — i...

— O przeciwko temu, to ja z całéj siły głosuję, zawołała Emilja. Wy panowie to łatwo przyzwyczajacie się do podobnego postępowania, i memu Karolowi mogłoby to wejść w nałóg.

Henryk zaklinał o spokojność.

— Nie unoście się, mówił on z cicha, gdyby Marja zeszła nas wpośród takich sporów parlamentowych, wszystkie nasze plany zostałyby zniszczone. Otóż tedy Karolu, od dzisiaj, pomimo twego doktorskiego kapelusza, jesteś najroztrzepańszym z Heidelberskich burszów. Należysz do wszystkich figlów, jakie młodzież przedsiębierze, kochasz się we wszystkich dziewczętach, które tylko spotkasz, a żeby dobra Emilja nie bardzo nudziła się przez ten czas, kiedy musi być moją narzeczoną, pozwalam ci i w niéj kochać.

— Tak, odezwał się wpół-smutnie Karol, to nakoniec i Emilja przestanie mię kochać.

— Ale gdzież zaś. Nieprawdaż kochana kuzynko, że to mu w twojém sercu nie zaszkodzi, wszakże wiesz, że to będzie wszystko udanie; nakoniec to jest kara na jaką zasłużyłaś sobie luba Emiljo, dodał pieszcząc się z jéj białemi rączkami, bo twoja nieobecność na wczorajszym wieczorze, przyczyną jest tego całego zamięszania.

— Ale możeby znalazł się inny jeszcze sposób.... odezwała się Emilja, którą trwożyła niebespieczna rola jaką Karol miał przyjąć na siebie.

— Jest, i bardzo prosty, odpowiedział Henryk jeszcze prawie żartując. Powiedzieć Marji jak tu przyjdzie, że ja jestem przeznaczonym jéj mężem. Ale jeśli wstydząc się tego co już zaszło i drząc przed tém co ma nastąpić zemdleje, a co gorsza

zachoruje, to ja za nic nie odpowiadam — wyjąwszy że zażyję ołowianą pigułkę.

Karol i Emilja musieli przystać, tém bardziéj że i kochali go oboje i winni mu byli niejaką wdzięczność, niedawno bowiem ofiarował im jako podarunek weselny 20,000 talarów, co w ich położeniu znaczną stanowiło różnicę. Prócz tego szło tu o szczęście drogiéj siostry i przyjaciela.

Marja weszła do pokoju. Do zachwycenia była piękną w skromnym stroju, który wybrała na przechadzkę, i Karol ochoczo podał jéj rękę, spojrzawszy jednak mowiącym wzrokiem na swoję prawdziwą kochankę. Lekka jak nimfa, szła albo raczéj biegła Marja obok swego narzeczonego; każde jéj poruszenie okazywało radość, rozmawiała przez całą drogę tak czule tak słodko; cieszyła się na widok tłumów przechadzających się, między któremi błyszczéć będzie z swoim towarzyszem. Ale wpół godziny stała się milczącą i smutną, bo jéj narzeczony okazał się jéj zupełnie innym jak dotąd. Zamiast nią jedynie i wyłącznie się zająć, tak jak ona, która na nikogo prócz niego nie uważała, więcéj zajmował się przechodzącemi koło nich damami. Przyglądał się przez lornetkę każdéj, która chociaż cokolwiel przystojną była, i prawie nie słuchał rozmowy Marji, która co raz stawała się smutniéjszą. Szczególniéj zdawał się być zajętym dwoma młodemi kobietami, które na jego spojrzenia widocznie przyjaźnie odpowiadały, a

w innych męszczyznach nie zdawały się wzbudzać szacunku. Odpowiadał ciągle jedno-zgłoskowemi wyrazami i z rostargnieniem, tak dalece że nie uważał nawet kiedy puścił rękę Marji. Biedna dziewica boleśnie zraniona, żądała wrócić do domu, ale Karol namawiał ją żeby jeszcze cokolwiek zatrzymali się i dopiero skłonił się do odejścia, kiedy Marja przypomniała że czekają na nich z obiadem.

Wszyscy zadziwili się widząc ich wchodzących, bo Marja niemogła ukryć swego wzruszenia; jéj twarz zawsze dotąd wesołą pokryły chmurki smutku i nieukontentowania, a Henryk cieszył się w milczeniu, bo widział że pierwsze doświadczenie Karola udało się.

Ale wesołość Marji w krótce wróciła, przy stole Karol nie miał na kogo spoglądać i piękna narzeczona zapomniała o smutkach poranku.

Obiad wkrótce się skończył. Prawdziwy Henryk błyszczał świetnym swojm dowcipem i z tymczasową swoją narzeczoną tak był czułym, tak uprzedzającym, że Marją musiało to dziwić; ponieważ jéj kochanek cały zajęty był swoim talerzem i albo krótko odpowiadał na jej wyrazy albo z ciotką o obojętnych przedmiotach rozmawiał, przytém pił ciągle wino nawet zupełnie bez wody, Henryk zaś tylko wody używał, i wszystko co mówił, zdawał się mowić i czynić tylko dla Emilji, nie zapominając jednak o reszcie towarzystwa.

Po obiedzie Karol przełożył plan zabawy na resztę dnia. Najprzód pójdziemy, rzekł on, do Hietzing, a wieczorem wstąpimy do jakiego ogródka na przedmieściu; w takich miejscach bywa czasem piękna muzyka, i piękny świat nie napróżno tam się zjeżdża.

Marja zezwoliła na przejażdżkę, ale o ogródku niechciała ani słuchać, bo jéj się zaraz przypominała ranna przechadzka w Bastaj.

Dwa najęte pojazdy, zawiozły całą rodzinę na przeznaczone miejsce. Na różanym pagórku przed Hietzing, zastawiono stół i podano kawę, Córka tamtejszego gospodarza, żywa świeża dziewczyna, z ognistemi czarnemi oczyma, nie bez zajęcia spoglądała na mniemanego Henryka. Za pierwszą sposobnością opuścił on towarzystwo, i gdy go niecierpliwa Marja poszła szukać, znalazła go żartującego wesoło z wiejską pięknością. To niepokoiło obie siostry, już bowiem zazdrość zaczęła zapuszczać żądło swoje w ich serce, i omało Emilja nie zdradziła się, tak jéj się niepodobało zbyt naturalne odgrywanie roli którą Karol na siebie przyjął. Obiedwie bardzo się ucieszyły, kiedy matka wspomniała że czas już wracać do miasta. Mała karawana ruszyła z wolna, ale wkrótce pokazało się że woźnice tak ochoczo bawili się w Hietzing, iż prawie spiący zajechali do domu p. Seebald. Napróżno Karol namawiał żeby jeszcze wieczorem pojechać do jakiego ogódka, obie

siostry były bardzo zniechęcone, a ciotka udała znużenie. Niezmordowany w wynajdywaniu zabaw, w których o swoją tylko dbał rozrywkę, zapowiedział Karól na dzień następny wycieczkę do *Wasserglacis*, a wieczorem widowisko w teatrze Leopoldstadt.

Długo po odéjściu obu kuzynków, matka i dwie siostry z nieukontentowaniem rozmawiały o upłynionym dniu. Pożegnanie Karola z Marją wyraźnie okazywało, że cokolwiek zanadto wina wypił; z ciotką zaś zupełnie się nie żegnał, słodkie i przyjemne obejście się Henryka jeszcze bardziéj raniło Marję.

IV.

Ośm dni w ten sposób upłynęło. Marja znalazła Karola zupełnie nie takim, jakim go sobie z listów jego wystawiała. Szukał on tylko ciągléj i coraz innéj rozrywki, a podarunki, które jéj niekiedy przynosił, nie mogły jéj wynagrodzić zupełnego prawie z innéj strony zapomnienia. Okazywał się upartym i popędliwym, całe dnie trawił z młodemi przyjaciołmi z Heidelberga, Jeny i Lipska, kilku nawet z nich wprowadził do domu ciotki. Jeżli odważył się przepędzić wieczór obok swojéj niby narzeczonéj, łatwo można było zgadnąć na czém dzień strawił, a kilka słów, które niechcący czasem wymówił, jeszcze bardziéj

niepokoiły Marję i Emilję, niż jego skłonność do zbyt wesołych biesiad.

Często płakała Marja, kiedy jéj nikt nie uważał, wspomniawszy na swoje marzenia, tak boleśnie przez rzeczywistość zawiedzione. Ona swego narzeczonego tak tkliwie kochała, tak niecierpliwie pragnęła ujrzéć go, mniemała, że on dla niéj tylko żyć będzie, ale niestety, wszystko inaczéj się okazało. Nie mogła w nim znaleźć ani jednego z tych rysów, które nadawała mu jéj wyobraźnia, sądząc po jego listach; obrazy szczęścia domowego, pogodnéj przyszłości, nikły z każdym dniem w jéj duszy. Przeciwnie Henryk, którego pierwszy widok tak nieprzychylne dlań uczynił na Marji wrażenie, zupełnie jéj się teraz wydawał inaczéj. Co za tkliwość, co za skromność w całéj jego istocie, co za rozsądek, jak ustalony charakter wydawało jego podbijające serca obejście? Henryk śpiewał pięknie i z czuciem, tak, że słuchając go, niepodobna było pamiętać o jego powierzchowności. Emilja była przedmiotem ciągłego jego zajęcia; nie odstępował jéj ani na chwilę, w domu czytał jéj piękne dzieła poetów niemieckich i francuzkich, albo towarzyszł jéj głosowi w dwuśpiewach z ulubionych oper, a za domem musiał i przy Marji zastępować miejsce Karola, który albo zajmował się rozmową z młodemi przyjaciołmi albo żartował z kawiarkami. W teatrze Henryk zwracał uwagę obu siostr na szczególnie piękne miejsca

dzieł przedstawianych, a Karól, ledwie doprowadziwszy je do loży spieszył do bufetu albo na parter, i nie wracał aż po skończeniu widowiska.

Widocznie więdła biedna Marja, coraz bardziéj znikał z jéj lic szkarłat żywości i zdrowia, coraz opieszaléj zajmowała się przysposobieniami do zaręczyn, które niegdyś tak pożądane, teraz zdawały się zanadto spiesznie przybliżać. Oddana cichemu smutkowi, szukała najsamotniejszych miejsc w ogrodzie domu, i często wracała z zaczerwienionemi oczymą, kiedy tymczasem Emilja i jéj brzydki narzeczony zdawali się żyć tylko dla siebie, i nieprzerwanéj kosztować roskoszy.

Ale serce Marji nie zniosło jeszcze najcięższéj próby. Dnia pewnego udała się w najodleglejszą stronę ogrodu, aby bez przeszkody oddać się boleści i rozmyślaniom o swojéj smutnéj przyszłości. Zadumana zbliża się do altanki, w któréj jéj siostra zwykle z robotą siadała; półgłośna rozmowa obudza jéj uwagę; już chce się oddalić, aby nie mieszać szczęścia siostry i jéj narzeczonego, ale głos mężczyzny chociaż przytłumiony, nie zdawał jéj się głosem mniemanego Karola, słucha, odsuwa gałęzie, i postrzega — okropny dla niéj obraz jéj przyszłego męża w objęciach Emilji, tak poufale, tak tkliwie z nią się pieszczącego, jak nigdy z Marją się nie pieścił. Skamieniała, wszystka krew spłynęła z jéj lic i ścisnęła się około serca. Nakoniec przeminęło osłupienie i zalana łzami biedna

Marja oddaliła się od tego nieszczęśliwego miejsca!

Karol i Emilja sądzili, że Marja wyszła z domu, i nagradzając sobie długie chwile przymusu i gwałtu, jaki sercom swoim czynili, oddali się najtkliwszemu wylaniu namiętnych uczuć. Przypadek sprowadził tam Marję i zbliżył rozwiązanie tak przykréj dla wszystkich dramy.

Już półgodziny przechadzała się biedna Marja po ogrodzie z ciężko zranioném sercem, gdy wtém postrzegła Henryka zbierającego kwiaty na bukiet. Zapominając własnéj boleści, z politowaniem patrzała na spokojnego kochanka, który niezważając na upał, przebiegał ogród, aby z najpiękniéjszych kwiatów uwić bukiet dla téj, która go w téj chwili tak nikczemnie zdradzała. Chciała uniknąć spotkania z nim, obawiając się, żeby z jéj zapłakanych oczu nie domyślił się jéj cierpień, ale już było za późno. Henryk przybiegł do niéj i przyjaznie witając przypiął jéj u łona najpiękniéjszą różę z całego swego zbioru, z takim wdziękiem i delikatnością, że Marja po pierwszy raz spojrzała nań uważnie, i wtedy nie zdawał jéj się tak brzydkim jak pierwéj sądziła.

— Gdzież tak sama idziesz, piękna Marjo? zapytał Henryk. Gdzież jest twój Henryk?

Głębokie westchnienie było odpowiedzią Marji. Zapytanie Henryka obudziło znowu wszystkie jéj cierpienia. Z początku nie chciała ona wstydzić

swojéj siostry, którą mniemała niewinną, i dla tego nie weszła do altanki. Teraz wznowiła się jéj boleść, i głośno łkając biedna upadła na ławkę.

— Co ci jest droga Marjo? powiedz, niespokojnym mię czynisz! wołał Henryk, uważając tę godzinę za najszczęśliwszą w swojém życiu, bo coś ważnego, może stanowszego zajść musiało, co Marję w taki smutek wprawiło. Nakoniec udręczona dziewica zebrała siły.

— Dobry mój kuzynie, rzekła drżącym głosem, posiadasz zaufanie matki mojéj, i zasłużyłeś na nie, nie mogę ci mojego odmawiać, bo twoje postępowanie do tego mię skłania. Dla tego do ciebie udaję się w mojém nieszczęściu, tobie chcę powierzyć wszystkie boleści, które moje niedoświadczone serce rozrywają.

— Czy podobna! zawołał Henryk. Ty nieszczęśliwa, ty, która zdajesz się zrodzoną do szczęścia? powiedz Marjo, któż przyczyną twoich cierpień?

— Henryk! zawołała Marja głosem, który łkania tłumiły.

— Henryk, twój narzeczony? zapytał Henryk z udaném zadziwieniem.

— Tak jest, on, odpowiedziała Marja. Jest on bogaty i piękny, ale te przymioty, które mię tak cieszyły z razu, są teraz powodem moich cierpień.

— Jakto? ciekawie pytał Henryk.

— Jestem oszukaną, haniebnie oszukaną, łkając mówiła Marja, oszukaną przez istotę, którą po mojéj matce najbardziéj kochałam.

— Niepodobna! zawołał Henryk, ale potém dodał: Istotnie, miłość tak łatwo przestępuje granice, on jest piękny, a piękności mało kto zdoła się oprzéć.

— To okropnie! zawołała uciśniona Marja. Tym sposobem nigdy nie mogę być szczęśliwą z Henrykiem, nigdy żyć nie będę spokojnie. Będę musiała po ślubie zerwać z wszystkiemi memi przyjaciołkami.

— To nic nie szkodzi, odrzekł Henryk z powagą. Przynajmniéj musisz się otoczyć staremi, brzydkiemi pokrewnemi, i to nie bez ostrożności, bo miłość bywa niekiedy ślepą, zupełnie ślepą.

— Dopiero dwadzieścia dni bawi tutaj, i już tyle.....

— To wszystko dla tego że taki piękny, uniewinniał Henryk. On w istocie nie jest temu winien. Wszystkie serca gonią za nim, i w jednym dniu więcéj zwycięztw mógłby odnieść, niż ja w dziesięciu latach. Nieraz już zazdrościłem mu, ale potém namyśliwszy się przestałem zazdrościć, owszem cieszyłem się, że mię kochana matka natura tak zaniedbała co do powierzchowności. Z moją twarzą wolny jestem od pokus, ona jest stróżem, który mię wszędzie pilnuje. Mężowie tacy jak ja, — nie sądź pani żebym chciał się chwalić, — są zawsze

najpierwszemi, ponieważ muszą się ciągle obawiać, żeby *pewnego* dobra dla niepewnego nie postradali. Prócz tego muszą starać się wynagrodzić postępowaniem swojém niedostatek powabów powierzchownych. Człowiek przystojny, a tém bardziéj piękny, który skoro się tylko pokaże natychmiast się podoba, nie stara się o żadne inne przymioty, bo pewnym jest zwycięztwa.

— O tak, nieraz już o tém myślałam, rzekła Marja z tkliwością. Ty jesteś tak uprzejmy, tak uprzedzający, starasz się odgadnąć myśli twojéj narzeczonéj, każde jéj życzenie jest dla ciebie rozkazem. Nie szukasz żadnéj rozrywki, szczęście domowe jest dla ciebie niebem, a jednak odpłacają ci taką niewdzięcznością!

— Co mówisz Marjo? zapytał Henryk.

— Nie chciałam ci nic mówić, drogi kuzynie, odpowiedziała Marja. Ale nie mogę ścierpieć, żeby tak szlachetne serce oszukiwaném było.

— Ja oszukiwany? zapytał Henryk z udaném podziwieniem.

— Tak, i to przez istotę, którą ubóstwiasz, przez moją siostrę.

— Przez Emilję! zawołał Henryk i rzucił się na ławkę obok Marji.

Nastąpiła długa przerwa — nakoniec Marja usiłowała pocieszyć biednego, chociaż sama potrzebowała pociechy. Ujęła rękę jego i mówiła z po-

rywającą wymową. Henryk poniósł jéj dłoń do ust swoich, i westchnął:

— O Boże! dla czegóż nie przeznaczyłeś mi tego anioła za dozgonną towarzyszkę? Połowę mojéj istności oddałbym dla posiadania jéj. Ale teraz już za pozno, nic mi nie pozostaje, jak tylko daleko z tąd szukać zapomnienia téj chwili.

Marja starała się go uspokoić, błagała go, aby nie chciał nierozmyślnie postępować, pocieszała go nadzieją, że wszystko jeszcze może się zmienić, i nawet usiłowała w swojéj nieskończonéj dobroci oskarżenie swoje wątpliwém uczynić.

— Dobrze więc, nie chcę tracić nadziei, odpowiedział Henryk. Nie tyle martwi mię moje jak twoje cierpienie. Ty jesteś gwiazdą, która mi świeci pośród nocy udręczenia, tyś duchem nadziei, który mię ma prowadzić w błędnych drogach życia. Dla ciebie wszystko zniosę; dziś jeszcze pomówię z Henrykiem!

Marja stała zadziwiona. Nigdy nie słyszała go mówiącego z takim zapałem. Każde jego słowo przypominało jéj listy jéj narzeczonego; tak, zupełnie tak, pisał on z Heidelberga, jak Henryk mówił w téj chwili.

Mimowolnie przycisnęła rękę jego do serca; uczucie, którego nie umiała nazwać, napełniało jéj duszę, i przyrzekła mu pomówić także z Emilją, bo jéj szczęście nie byłoby niczém dla niéj, gdyby jego nieszczęśliwym widziała.

Wpośród podobnych rozmów, które coraz stawały się tkliwszemi i namiętniejszemi, przeszli kilkakrotnie ogród. Marja starała się z daleka omijać nieszczęśliwą altankę, tak słodko jéj było przy boku Henryka, że zapomniała prawie powodu łez swoich. Czuła niezmierną różnicę pomiędzy dwoma przyjaciołmi, i coraz bardziéj przekonywała się, że zimna piękność musi ustąpić pełnéj uczuć i ognia szpetności, i że człowiek piękny, skłonny do uwielbiania wdzięków jakie tylko napotka, nie może zapewnić szczęścia swojéj żonie.

Wieczór nadszedł, a oni tego nie postrzegli. Marja drżała na myśl, że ma się jeszcze spotkać tego dnia z swoim narzeczonym, i nakoniec postanowiła, nie widziéć go aż nazajutrz, bo jéj zrażone serce potrzebowało spoczynku.

Z radością dowiedziała się, że Henryk z kilku przyjaciołmi pojechał do Tivoli, i wróci dopiéro nazajutrz na uroczystość zaręczyn.

— Zaręczyny! już jutro? zapytała, a łzy zakręciły się w jéj oczach. Godzina któréj niegdyś tak niecierpliwie oczekiwała, przejmowała ją teraz trwogą. Chciałaby tę stanowczą chwilę, choć na rok jeszcze odwlec, tak okropne wrażenie uczyczyniła na niéj scena w altance.

V.

W domu P. Seebald wszyscy domownicy byli następnego dnia niezmiernie zajęci. Wszystkie

pokoje były przystrojone, w kuchni ogień tak wielki płonął, jakby miano wyprawiać ucztę dla całego Wiednia; niezliczone ofiary padały pod nożami spokojnych kucharek, nad któremi najwyższą władzą miała Emilja, starając się, aby najsmaczniéjsze kąski na ucztę zaręczyn przygotowane były.

Prawdziwy Henryk, w rozmowie wczorajszéj z Marją znalazł dość powodów do przyspieszenia uroczystości zaręczyn, i rozwiązania dotychczasowych węzłów. Nie chciał dłużéj dręczyć Marji, która niezmiernie cierpiała podczas téj komedji, dla tego pragnął ją zakończyć. Zbyt ona teraz cierpi, niepodobna, żeby to, czego ma się dowiedzieć boleśniéjszém było dla niéj, odpowiadał on ciotce, która przestrzegła go, że nie powinien ufać postanowieniu młodéj dziewczyny, w chwili kiedy nią zazdrość i gniew powoduje, i milcząc przygotowania czynił do wspaniałéj uroczystości. Z Karolem naradził się tajemnie, i w skutku tej narady odjechał tenże nie pożegnawszy się z Marją.

Marja posępna siedziała w swoim pokoju, wybierając dla siebie ubiór. Tym razem nie czynił ją strój ozdobny, który podwyższyć miał jéj zachwycające wdzięki. Była ona igraszką niepewności, tysiące wątpliwości napełniało jéj serce.

Chciała zrzec się Henryka, napisała już list do niego, który jednak pieczętując podarła. Pierw-

sze wrażenie, jakie na niéj uczyniły wdzięki młodzieńca, nie zupełnie znikło. Ale mimowolnie myślała o narzeczonym swojéj siostry, i łzy spływały po jéj licach. Ubolewała ona nad Emilją, że uległa sile powierzchownych wdzięków mniemanego Henryka, ale zarazem żałowała, że o tém uwiadomiła tkliwego biednego przyjaciéla. Zniszczyła tym sposobem pokój duszy człowieka z którym natura już i tak nieprzyjaznie się obeszła. Ale każde natężenie umysłu ma swoje granice, burza w sercu Marji zwolna uspokoiła się, a nadzieja zwycięzko skinęła czarowną laską.

Uspokoiła się, bo wierzyła jeszcze, że Henryk może się zmienić, dla tego chciała z nim pomówić względem ważnego czynu, który w dniu tym spełnić mieli, i z jego słów osądzić czego ma spodziewać się na przyszłość.

Lecz jakże zdziwiła się, gdy jéj powiedziano, że Henryk jeszcze nie wrócił. Już była godzina obiadowa, ale i popołudnie przeszło, a jego nie było jeszcze. Zaręczyny odbyć się miały o ósméj wieczorem, już siódmą zegary wybiły, a oczekiwany jeszcze się nie zjawił. Nie opisana tęsknota opanowała serce Marji. Czyliż mogła inaczéj pomyśleć, jak że Henryk zapomniawszy wpośród ciągłych zabaw o przeznaczéj uroczystości, nie wróci wcale i okryje ją wstydem w oczach zaproszonych gości. Myślała o siostrze, któréj nie widziała dotąd, tylko przy obiedzie, i w serce jéj

cisnęła się okropna myśl, że może ona przyczyną jest tego przykrego wypadku. Teraz okazał się mniemany Karól, był on cokolwiek smntny, ale starał się to ukryć. Widocznie jednak unikał rozmowy z Marją o powodach jéj niespokojności, i raz tylko odezwał się, że Henryk zapewnie o przeznaczonéj godzinie przybędzie. Marja uspokoiła się nieco, i nie mogła odwrócić od niego oczu, kiedy usiadł do fortepjanu, i w namiętnéj fantazji wylał wszystkie uczucia serca swojego. Klawisze zdawaly się przemawiać pod jego palcami, i Marję tak przejęła tkliwa muzyka, że jéj piersi wznosiły się wzburzone jakiemś nowem nieznaném jéj uczuciem. Nakoniec Henryk zaśpiewał jednę z swoich piosnek, któréj każda zwrotka kończyła się następującemi wyrazami:

Weź kij pielgrzymi, świat szeroki,
Twój żal wśród innych ukryj stron,
Gdziekolwiek błędne zwrócisz kroki,
U kresu..... znadziesz zgon.

Marja była aż do głębi duszy wzruszoną, spojrzała na spiewaka wzrokiem, w którym przemawiało jéj serce, bo jego śpiew był dla niéj pieśnią łabędzia. O jakże chętnie byłaby poszła szukać wpośród szerokiego świata, téj spokojności, którą jedno spojrzenie na zawszę może zniszczyło.

Matka, która weszła w téj chwili, nie mało zdziwiła się widząc Marję w codzienném jéj ubraniu, i przypomniała jéj, żeby spieszyła się z ubiorem, Henryka zaś prosiła aby zabawił przez chwilę gości, którzy już się schodzić zaczęli.

Nakoniec wybiła godzina ósma, powóz zajechał przed dom, i narzeczony wbiegł po wschodach z trzema swojemi przyjaciołmi. Prawie nie witając zebranego już towarzystwa, zapytał się o Marję, i dowiedziawszy się, że się ubiera, pobiegł do jéj pokoju.

— Otoż jestem! rzekł głosem, po którym poznać można było ile butelek szampana wypróżnił. Wprawdzie dałem na siebie czekać cokolwiek, ale to nic nie szkodzi. Ty mi przebaczysz, wiedziałem o tem z góry, a o resztę nie dbam wcale.

Marja osłupiała, ale nie zważając na to, mniemany Henryk mówił daléj:

— Wystaw sobie, byłem z kilku dobremi przyjaciołmi w Sperla, jedliśmy doskonale, a jeszcze doskonaléj piliśmy.

— Widzę to, odezwała się Marja drżącym głosem.

— Było nas ośmiu, mówił daléj narzeczony. Ośmiu *bons vivants*, w całem znaczeniu tego wyrazu, wypiliśmy nie wiecéj, jak trzydzieści butelek Moit, i spiewaliśmy prześliczne piosnki. Zapłaciłem za wszystko, bo pomyślałem sobie, dzisiejszy wieczór jest dla ciebie tak radosnym, powinieneś

starać się o przyjemny dzień dla twoich przyjociół. Ale, moja miła, coś kwaśno wyglądasz, może cię to gniewa? Zważ tylko, nie mogłem inaczéj, proszą, cóż czynić? prócz tego trzeba mieć wzgląd....

— Wzgląd? zapytała Marja. Masz go dla wszystkich tylko nie dla mnie. Wszystko oczekuje, nakoniec przybywasz, ale w jakimże stanie.

— Żadnych wyrzutów, rzekł gniewnie narzeczony, albo... odwrócił się ku drzwiom.

Marja zatrzymała go. Henryku! rzekła łagodnie, przebaczyłabym ci wszystko, nawet stan w którym się znajdujesz, ale że mię oszukujesz, i nie oszczędzasz mię nawet przy boku mojęj siostry to jest gorzko.

— Co u licha, któż znowu o tém jéj wypłotł? mruknął Karol do siebie, tak jednak, żeby Marja mogła słyszeć. Nie bądź dzieckiem, mówił po chwili, kto inny na mojém miejscu takżeby cię oszukał, ale ostrożniéj jak ja. Cóż ja poradzę, kiedy kobiety szaleją za mną; niepodobna się opierać pokusie!

— Niegodziwy człowieku! śmiesz mi to tak otwarcie mówić! zawołała Marja.

— Czemuż by nie? Szczerość jest główną moją cnotą. Upewniam cię, że zawsze ci powiem, ile razy zdarzy mi się stać ci się niewiernym.

Nigdy! zawołała Marja. To zwierzenie się zabiłoby mnie.

— Tak ci się zdaje teraz! śmiejąc się rzekł Karól; ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Powoli oswoisz się z tém, i będziesz szczęśliwą. Wierz mi, moje kochanie, ja to znam z doświadczenia. I ja także mniemałem, że nie zniósłbym niestałości moich kochanek, które mi z przed nosa za mąż wychodziły, albo co gorsza, to samo z innemi czyniły co ze mną; ale teraz tak się przyzwyczaiłem do tego, że najbardziéj lubię romansować z temi, które nie mogąc się doczekać mego oświadczenia, idą za mąż za kogo innego. Dla tego nie martw się, ja nie przestanę cię ubóstwiać, choćbym dwudziestu innym hołdował.

— Oddal się! zawołała rozgniewana Marja; nigdy nie powierzę szczęścia całego mego życia, podobnemu tobie człowiekowi.

— I owszem, rzekł Karol prawie żartując. Zgaduję ja twoje życzenia, mały pokoik, serce, dusza, najwięcéj taka jak u naszego kuzyna. Nie prawdaż? to byłby mąż podług twojéj chęci.

— O, gdybyś mu był podobnym, odpowiedziała Marja płacząc, nie byłabym przymuszoną, przestać cię kochać a nawet szanować. Cóż mi z tych zalet któremi błyszczysz? Obok męża kochającego wiernie i tkliwie, można obéjść się bez zwodnéj piękności, która nie stanowi prawdziwego szczęścia. Teraz wiem, czego mam się po tobie spodziewać. Nasz kuzyn, umiałby mię kochać, i mogłabym chlubić się, że jestem wyłącznym, jedynym

przedmiotem jego uczuć; i dowiodłabym mu najtkliwszą miłością, że więcéj cenię przymioty duszy, jak powierzchowne wdzięki.

— Brawo! zawołał Karol. Wyborne kazanie przy zaręczynach. Szkoda że nasz kuzynek nie słyszy swojéj pochwały. Jednak pewny jestem, że nie mieniałabyś się z twoją siostrą.

— Owszem, nie namyślając się ani chwili, odpowiedziała Marja.

— Żartujesz! uważ tylko, tę twarz za tamtę maskę!

— Z radością!

— Ha, to dobrze mieć go będziesz, odpowiedział mniemany narzeczony zupełnie innym głosem, i Marja nie mogła pojąć téj nagłéj zmiany, kiedy uroczyście dodał: Czarodziejskiém skinieniem uskutecznię tę zadziwiającą zmianę, i ubóstwionego kuzynka twoim narzeczonym uczynię. Otworzył prędko drzwi, i prawdziwy Henryk rzucił się do nóg Marji.

Matka, siostra, i kilku bliższych krewnych weszli za nim i otoczyli zadziwioną dziewicę. Marja nie mogła ani słowa wymówić, tyle jednak miała przytomności, że podniosła klęczącego, który uchwycił jéj rękę i czule do serca i ust ją przycisnął.

— Drama nasze, bliskiém jest końca, rzekł, i daj Boże żeby się dziś jeszcze w wesołą komedję zmieniło.

— Cóż to znaczy? zapytała nakoniec Marja, przyszedłszy do siebie z nagłego zadziwienia. Więc jesteś?...

— Prawdziwym, najprawdziwszym Henrykiem, który cię tysiąc razy więcéj niż życie swoje kocha. Przebacz mi ten podstęp; uważ, jak przykro byłoby wydrzéć odrazu z twego serca piękny obraz jaki sobie wyobraźnia twoja myśląc o mnie skreśliła, a w osobie Karóla urzeczywistnionym znalazła? Musieliśmy odegrać to małe intermezzo do którego sama powód dałaś. Teraz wydaj wyrok szczęścia albo niedoli całego mego życia.

Marja pomięszana spuściła oczy. Wstydziła się tego co przeszło, i jéj miłość własna była obrażoną. Jedno spojrzenie w zwierciadło przekonało ją, że daleko piękniéjszą jest od swojéj siostry, a jednak nie uczyniła żadnego wrażenia na Karolu, widziała go bowiem najtkliwiéj pieszczącego się z Emilją. Chciała mówić, chciała Henrykowi, który ciągle oczekując wyroku, stał przed nią z spuszczonemi oczyma, coś pocieszającego powiedziéć, ale język jéj był jakby bezwładny; napróżno szukała wyrazów gniotąc w ręku brzeg blondynowéj palatynki. W jéj młodém czułém sercu wrzał wulkan.

Henryk przystąpił do fortepianu i uderzył kilka akordów, Marja przestraszona podniosła oczy, i bez tchu prawie słuchała zwrotki którą po raz drugi w tym dniu zaśpiewał:

Weź kij pielgrzymi, świat szeroki,
Twój żal wśród innych ukryj stron,
Gdziekolwiek błędne zwrócisz kroki,
U kresu..... znajdziesz zgon.

Tu już wstrzymać się nie mogła, brzmienie téj piosnki skruszyło odrazu pęta które ją cisnęły, rzuciła się w objęcia Henryka, wołając: — Skrusz kij pielgrzymi, — ja chcę być odtąd dla ciebie całym światem.

Głośny wesoły okrzyk obecnych, zagłuszył słowa szczęśliwego Henryka, a potém w cichém zachwyceniu przypatrywali się wszyscy radości dwóch najgodniéjszych siebie istot.

ŻYCIE PRYWATNE
NA WSCHODZIE.

Turcja może się pochwalić, że mnie doskonale nasyciła postacią ludzką, powinienbym powiedzieć postacią męzką, albowiem tak często spotykane w mojéj pielgrzymce fizjonomie, z brodami, wą-

sami i faworytami sprawiły mi w końcu rzetelny niesmak; jeszcze nigdy więcéj nie uczułem prawdziwéj wartości kobiet, wszędzie ich szukałem a wszędzie daremnie; w miastach, na wsiach, w lasach, na brzegach jezior. Ja, który w méj rodzinnéj ziemi uchodzę za najmniéj grzecznego człowieka, chętnie byłbym dał 20,000., franków za uwolnienie od téj wiecznéj brody, od téj ponuréj fizjonomji, która się wszędzie przedstawia, która mnie prześladowała, napastowała, i nie opuszczała prawie ani na chwilę, o wschodzie słońca, w południe, wieczorem, to stare i smutne widziadło z nad morza czarnego, przedstawiało się jeszcze wyniośléjsze, jeszcze nudniéjsze jak kiedy. Około ósméj godziny z rana, zmęczony, znudzony moją podróżą, opuszczając łéjce koniowi, czasem zdawało mi się, że spostrzegam w dali na progu jakiéjś chatki, zasłonę lub suknią, znaki płci nie obecnéj i wygnanéj. Przyspieszam kroku, jakto istnieją tu kobiéty? rzekłem sam do siebie, ujrzę więc oblicze Turczynki. Popędzałem konia i zmuszałem biédne zwierze już i tak zmęczone, do krótkiego nader śmiesznego galopu. Zbliżam się, ciekawy, przebywam rów, płot, stary mur jakiś. Zaledwie głowa konia mego znajduje się o dwanaście stóp odległości, widziadło znika, zasłona wchodzi do domu, a na jéj miejsce głowa brytana albo co na jedno wychodzi turban zdobiący jeszcze dzikszą twarz, staje na moje przyjęcie. Czas nic nie zmie-

nił. Azja dotąd jest jak dawniéj była nieprzyjaciołką ludności kobiecéj i zagrzebuje ją w wnętrzu ziemi. Nigdzie nie napotkasz w którąkolwiek udałbyś się stronę Turcji, wysmukłych paluszków, ręki białéj, wzroku ognistego a razem słodkiego córek Ewy. Zdaje mi się, że jeszcze widzę to, co tyle razy wzrok mój obraziło w méj długiéj podróży, te pantofle, pałasz damasceński, oko dzikie i podejrzliwe, wyraz dumy i bezczynności, ręka chuda i żylasta i broda gęsta panów tego klimatu. Wyznaję iż jestem szczęśliwym od czasu jak straciłem z oczu tę wieczystą postać grubą i krótką, obwiniętą nieskończonym szalem, ten ogromny yatagan, tę fajkę olbrzymią i ogromniéjszy jeszcze cybuch, wszystko wyznać muszę, nie źle kryje prawdziwe niedoskonałości natury tureckiéj; ciężkość i zwięzłość członków, niezręczne i proste wyrobienie lepianki i naturalną szpetność tych ludzi. Turek może być bardzo piękny i przyjemny w romansach i obrazach, ale nam zawsze sprawia nieznośne nudy. Turcy nie lepiéj zachowali pasterki, te smutne stworzenia, które Europejczycy nazywają pasterkami, a które we Francyi noszą saboty, a w Szwajcaryi chodzą boso. Oni znają tylko pasterzy, Korydonów dość nieprzyjemnych, zachowających całą dumę i powagę muzułmańską. Gdym zdala spostrzegł trzodę, choćby też nawet chlewną nie mogłem przenieść na sobie, aby się nie oddalić od mych towarzyszów podróży, spodzie-

wając się ujrzeć jaką Filidę albo przynajmniéj Aneczkę. Niestety! myliłem się, przewodnik trzody był czemś dziwaczniéjszém jak Kaliban, lecz czemś nie zaprzeczenie męskiém, pół Robinson, pół niedźwiedź, ta zajmująca istota, na wpół okryta starém sukmaniskiem, spała pod płotem: nie zbyt czuły obraz życia pasterskiego i jego przyjemności. W nagrodę więc za me trudy, utraciłem mylne jakie miałem dotąd wyobrażenie: smutne doświadczenie często zdarzające się w tym świecie, z którym oswoić nam się trzeba. Powracałem więc do mych towarzyszy, mocno przekonany o téj prawdzie i skłonniéjszy do filozofji. Jeżeliśmy wieczór stanęli przy jakim gaiku, wśród którego wznosiła się nędzna chatka, mężczyzna nas przyjmował w téj tureckiéj oberży. Na obiad mieliśmy tylko trzy jaja twarde, skórkę chleba i garstkę soli; na kolację ofiarowano nam miarkę czarnéj kawy wielkości naparstka.

Rzeczywiście to było za mało, nalegałem na jednego mieszkańca chaty aby rozpalił ogień. Natychmiast wyczyścił filiżanki, zatrudnił się, i podawał mi ciągle jak to było w zwyczaju, kawę, któréj raz przyjąć nie chciałem. Był to mały człowiek bardziéj krępy i niższy od jnnych Turków. Zdawał mi się nader biegłym w sztuce nierozumienia tego, czego rozumieć nie chciał, idąc zawsze do celu z nieugiętą uporczywością. Jm więcéj usuwał się od kolacji, tém ja bardziéj o nią nale-

gałem. Szczerze mówiąc, nie tworzcie sobie fałszywych domysłów o mych osobistych skłonnościach, niesądzcie źle o podróżnym który idąc za czystém platoniczném natchnienem, wzdychał bardzo niewinnie, przysięgam na to, do nieobecnéj piękności. Daleką odemnie była zawsze, choćby najmniéjsza żądza uchybienia powinnościom i związkom jakie zostawiłem w Europie, niech moi współziomkowie, ostrzy jak wiemy, w sprawach domowych nie posądzają mnie o nieprawe chęci. Znajdowałem się w położeniu tego muzykalnego francuza, który słuchał koncertu, gdzie z smyczkowych instrumentów były tylko bassy i altówki i który jak sam mówił byłby dał cały świat za jednę skrzypcową kwintę. Twarz kobieca była właśnie tą kwintą, któréj mi brakowało. Jedynie dla otrzymania téj nowości na wchodzie, widoku jednéj z tych lekkich piękności zaludniających haremy, udałem się do wybiegów, kłamałem, tysiąc używałem wykrętów, pozornie kierując ku celowi gastronomicznemu, rzetelnie zaś wszystkie ku innemu dążyły kresowi. Zdawałem się gwałtem domagać kolacji. Nie wierz mi czytelniku. Usłyszałem nad moją głową jakieś stąpania przekonywające mnie, że tam znajdowały się gwiazdy haremu. Zdawało się mojéj europejskiéj myśli, że zatrudnienia kuchenne szczególniéj do kobiét należały, i sądziłem, że moje nalegania sprowadzą trzy lub cztery górne mieszkan-

ki. Sufit był popękany w kilku miejscach, widziałem przebiegające tu i owdzie światełka jakby gwiazdy błędne. Sądziłem, że teraz ubierano swą maleńką nóżkę w ciasny pantofelek, i nie wątpiłem, że wkrótce zejdą gromadnie. Słyszałem jak te panie nosiły talerze i półmiski, i drżałem na każdy najmniéjszy szmer. Jakiż zawód! Ogromna taca drewniana ustawiona na głowie mego gospodarza zeszła z pierwszego piętra, a żadna huryssa młoda ani stara nie towarzyszyła jéj. Gdy ją postawiono na gołéj ziemi, ukazała się mym smutnym oczom doskonała kolacja, czekała tylko żebym się wziął do jéj zjedzenia i niepotrzebowała niewieściéj ręki, którąby jéj wyższą wartość nadała.

Nie wiem dlaczego wspomniałem o mych smutnych oczach, inny wędrownik na mojém miejscu byłby najweselszém spojrzeniem powitał tę śliczną kuropatwę nkrytą pod kępami ryżu i cebuli, tę drewnianą czareczkę i ten placek jeszcze ciepły, którego wyśmienity zapach zapewniał o jego dobroci. Mój gospodarz podał mi dość czystą serwetę, polał mi wody na ręce, do téj ceremonji gościnnéj łączył się wzrok przyjacielski i miły uśmiech mogący się mieścić zaszczytnie na ustach patrjarchów, i pozwolił mi spokojnie pożywać godną tego trudu kuropatwę. Nastąpiło milczenie, żadnego już szmeru nie słychać, harem śpi, a kuropatwa znika, gdy tym czasem moja ockniona wyobraźnia

stara się tworzyć dla rozrywki kształty téj piękności muzułmańskiéj tak trudne do odgadnienia.

Cokolwiek powiedziano najpiękniéjszego i najwznioślejszego o utworze kobiety, jéj ważności, jéj godności, piękności, nie przeszkadza przecie istnienia prawdy godnéj uwagi i zdającéj się być w sprzeczności z tém wszystkiém. Azja jéj kolebka skazuje ją na ciągłe więzienie, tu się ona urodziła, i tu jęczy. Najdawniéjsza oświata najmniej kobietom wolności nadawała. Zaledwie spostrzegamy wschodnie ludy na kartach naszéj historji już się od nich uczemy, jak zamykać nasze córki i żony. Długie zasłony; obszerne, kosztowne, lecz odosobnione mieszkania, były przeznaczone dla kobiet, w biblji wzmiankowanych. Rebeka jak mówi starożytny poeta spuściła zasłonę gdy ujrzała Izaaka przechodzącego się po polu wieczorem. Odysea jest pełną obrazów wystawiających nam kobiety jak świetne niewolnice, kochane bez wątpienia, lecz wskazane na wieczne zamknięcie; dzisiéjsi Grecy bardzo się w tym względzie zbliżają do swych przodków z czasów Homera. Mieszkańcy Hindostanu, Persji, Armenji, wierni są temu zwyczajowi, i mylnie dowodzi, kto utrzymuje że zamykanie kobiet dopiéro od Machometa początek wzięło. Européjczykowi może się to zdawać dziwném bardzo patrjarchalném, lecz to pewna, że ta jednostajność w twarzach, w postaciach, w ubiorach, staje się natrętną w końcu. Podróżny dopiéro odetchnie

przybywając do Bulgarji, gdzie nareście znajdzie chrześcijańskie rodziny rozrzucone pomiędzy muzulmanami. Jest to rzecz piękna i nowa, patrzeć na kobiety chrześcijanki używające téj wolności jaką im Chrystus nadał. Ich twarze są odsłonione a krzyż czerwonym jedwabiem haftowany, który muszą nosić na ramieniu lub na piersiach, najpiękniéjszy widok sprawia. Mimowolnie przypominamy sobie wojny krzyżowe. Rysy ich są prawie zawsze piękne i delikatne, noszą na głowie zręcznie związaną chustkę. Często dziewice Bulgarskie gromadzą się około studzien. Pewnego dnia przebywszy wioskę machometańską gdzie nic prócz mezkich twarzy nie widać, usiadłem przy jednéj z tych czarownych studni, i nie mogłem bez smutku myśléć o świecie, któryby nie miał tego co Milton niegrzecznie nazywa, pięknym błędem stworzenia, kobiéty. Podczas gdy cały wschód jest jakby przybity do tych dawnych zwyczajów, Konstantynopol będący bramą wschodu, zaczyna je odrzucać. Podróżny przybywający z Indji lub Egiptu, dziwi się, że Bizancjum już tak przybrało Europejską postać. Wprawdzie mężczyźni tworzą większą część przechodzących, lecz i znaczna liczba zasłon i sukien przesuwa się po przedmieściach miasta.

Wy panie w Anglji żyjące, rozumiecie przez zasłonę kawałek muślinu lub koronki kratkowanéj świeżéj przezroczystości, z gustem zarzucony na

głowę, jest to zasłona nic nie zasłaniająca, gatunek żartu, moda wprowadzona przez hiszpanki, zmniéjszenie zręczne dawnego stroju maurytańskiego. Ta kłamliwa zasłona pozwala przebijać się przez swą tkankę żywym spójrzeniom, łagodzi rysy, odżywia nie zbyt świeżą młodość i wcale nie jest podobną z tém mocnym więzieniem, jakie turcy zasłoną zowią; ta ostatnia jest prawdziwym płaszczem dla twarzy, pokrywą zazdrosną i gęstą, przeznaczoną rzeczywiście na oddalenie wszelkiego bluźnierczego spojrzenia i osłoną piękności. Gdyby ta zasłona była wierną pierwszym zasadom islamizmu, tworzyłaby nie zdobyte przedmurze, za któremby się kryły oczy, nos, usta, broda i czoło właścicielki. Tak chce mieć prawo. Chociaż ciągle obwiązują tę zasłonę około głowy, niewiasty muzułmańskie zwykły spuszczać ją z wyrachowaną niedbałością, aby wzbudzić ciekawość, ściągnąć wzrok, podnieść uwagę. Kobieta zawsze będzie kobietą mimo praw i zwyczajów, pomiędzy włosami a oczami, zostaje przestrzeń nie zakryta, lśnąca, biała, promienista, ozdobiona dwoma łukami hebanowemi. Bóg wie ile starań podéjmuje, ile używa sztuki a nawet wybiegu, piękna muzułmanka i jéj pokojówka, aby dodać jeszcze wdzięku temu kształtnemu wyobrażeniu, zdarza się, że zasłona jeszcze niżéj spada i pokazuję część oczu, wydarza się jeszcze i to, Machomecie! iż niższe fałdy téjże zasłony, odkrywają zrę-

cznię się układając koralowe usteczka najpiękniéjszy grymasik tworzące, i lica świeże, różowe, dające dobre wyobrażenie o siódmym niebie tego prawodawcy.

Pewne jest także podanie, że większa liczba kobiet tureckich różuje się, jeżeli można tak nazwać lekki kolorek jaki w niedostatku naturalnego dodaje pędzel z sierci wielbląda. Stambuł, ma równie jak Londyn swoje chłodne poranki, czas w Konstantynopolu jak i w Paryżu nie dotknie swém skrzydłem żadnéj piękności nie naruszywszy jéj wdzięków. Nie obwiniajmyż huryssy muzułmańskie, że starają się jak najlepiéj utrzymać tę walkę z okrutnym Saturnem, że przywołują zręcznie upłynioną wiosnę, że kilka kropel czarownego płynu przywracają róże na ich twarzy. Ich życie jest ciągłém zawieszeniem władz umysłowych. Angielka może wiejskiém życiem naprawić to, co zniszczyły bale zimowe, poluje, bawi się rybołówstwem, jeździ konno. Przyjemność i ćwiczenie ciała w polu i lesie, zaradzają bladości i otrętwieniu, jakie sprowadza życie salonowe, zresztą jest wolną i nie potrzebuję spać ciągle. Sen jest wielkim wypoczynkiem i najważniéjszém zatrudnieniem Turczynki, śpi z nałogu, spi dla rozrywki, jest więcéj jakby lunatyczką. Jéj powieki zamykają się mimowolnie, uważa ona czuwanie za stan dziwaczny i przeciwny naturze. Sądźmy więc, o téj niezdrowéj otyłości, o blado-

ści zwiędłéj i prawie śmiertelnéj, jaka musi być skutkiem takiego życia, i przebaczmy pięknéj kobiecie, która sen zaślubiła idąc za mąż za Turka, ten pokład karminu do którego się ucieka.

Wejdźmy do pokoju Turczynki a zobaczemy jak tam wszystko dobrze do snu urządzone. Pokój cokolwiek za niski, lecz szeroki i czworograniasty, z trzech stron ma sofy, nie wyższe jak na stopę, siedzenie miękkie i elastyczne, okryte karmazynowym adamaszkiem, a na niém porozrzucane tu i owdzie jedwabne poduszki, złotem i srebrem haftowane. Jeżeli jest zimno, spostrzegasz kocioł miedziany zarzewiem napełniony, w rogu sali, i znaczną liczbę mniéj lub więcéj bogatych kołder, serwety eleganckie i kilka stolików z różanego drzewa kończą umeblowanie pokoju. Mieszkanka tego przybytku snu, potrzebuje tylko ułożyć poduszkę, założyć ręce i oczy zamknąć. Morfeusz przybywa, a dusza młodéj Turczynki buja wolno w krainie złudzeń. Przytłumione światło dzienne przebija się zaledwie przez okna obrosłe gęsto pnącą się latoroślą winną, tworzącą zazdrostkę nie tylko trudną do przejrzenia badawczemu oku przechodnia, ale nadto wstrzymującą daleko żywszą jeszcze ciekawość ukrytéj za nią istoty. Spi szczęśliwa kobiéta, a cóżby miała lepszego czynić.

Nie ma tu żadnych intryg, ani widowisk, ani talentów muzycznych lub malarskich, nic takiego coby zajeło uwagę lub zatrudniło serce. Turczyn-

ka powie swéj sąsiadce. „Przyjdź jutro do mnie na drzémkę“ Tak samo, jak Angielka powiedziała by swéj przyjaciołce. „Przyjdź jutro do mnie na wieczór, a przynieś też twoją robotę.“ To przyzwyczajenie do snu tuczy bardzo i jeszcze prowadzi za sobą wczesne wypadanie włosów, nadaje im mało mocy i nie dozwala rosnąć. Nowe i ważne odkrycie! największą część turczynek nosi peruki, te dumne odaliski mają fałszywe włosy i fałszywe warkocze które tak zręcznie krzyżują z fałdami turbanu lub haftowanéj chustki w którą się często na głowę ubierają. Djamenty i szmaragdy utrzymują zwykle ten strój głowy, którego przynajmniéj połowa jest przyprawna. Mieszczanka turecka, żona dobrze się mającego kupca, nosi w domu rodzaj tuniki z gaży jedwabnéj obszytéj frędzlą z wąskiéj wstążki, pantaljony bardzo szerokie, z perkalu deseniowego spadające aż do kostek, nogi ma gołe lecz przy niéj stoją pantófelki, małe, żółte bogato przystrojone. Sądziłbyś że zaledwie palec w nie zmieścić się może, lecz skoro tylko ich właścicielka zechce, zobaczysz ją kładącą całą nogę w to szczupłe obuwie i z lekka przebiegającą harem. Nie małą przyjemnością jest zaiste, deptać elastyczną i nader miękką tkankę tureckich dywanów a kobieta wschodnia, czuła na podobne wrażenia rzadko kiedy kładzie swe pantofelki które nie uważa pod względem potrzeby, ale tylko jako ozdobę zbytkową. Jest to mniéj cząstką ubioru jak

bardziéj świetnym dodatkiem uderzającym w oczy. I dla tego nieszczędzą złota ani drogich kamieni, ani kosztownych haftów aby podnieść ich cenę. Długo targowałem parę takich damskich pantofli, i kupiłem je nakoniec za pięć funt: szt., (dwieście złotych polskich). Pewna dama Angielska moja znajoma umieściła pod banią kryształową parę tych wspaniałych wschodnich pantofli, które była dostała z Persyi i pokazuje one swym przyjaciołom. Na wierzchu tuniki noszą suknię z bawełnianéj tkanki w świetnych kolorach obszytą frędzlą z boków otwartą, w pasie szalem tyftykowym przewiązaną. Ogon który się do tego dodaje zowią *Antery*. W zimie kaftan obcisły zwykle zielony lub fijałkowy kończy strój. Obszywają go futrem. Gdy dama zabiera sią na przechadzkę, kładzie turban i zasłonę, szubę długą rozrzuconą koloru oliwkowego i żółte buty na pantofelki, co wcale nie pomniéjsza nóżki. Jeżeli gazeta Turecka przepisuje i tłumaczy uwagi nasze, zalecamy szczególnie obywatelkom Konstantynopola innego kształtu obuwie. Te pantofelki w butach trudne są do noszenia po brukowanych ulicach i bardzo smutną miałaby postać przy lekkim i świetnym trzewiczku damy z Kadyxu. To są prawdziwe królowe w sztuce chodzenia i tańca, nie widziałem nic powabniéjszego nic bardziéj zachwycającego, nic żywszego, jak te małe nóżeczki białe w czarném jedwabném obuwiu przebiegające salony Kadyxu. Promień słoneczny nie tak

się szybko przesuwa, co za moc delikatna, jak nie porównana układność. Lecz wróćmy do Konstantynopola. Gdybym był właścicielem haremu, mógłbym udzielić moim czytelnikom nowych szczegułów o téj zajmującéj cząstce ludzkości, którą na trzydzieści kluczy zamykają w Turcji, lecz moja wiadomość tak daleko nie sięga, zatrzymam się więc, i zajmę innemi przyjemnościami umysłowemi rodu Muzułmańskiego. U nich jak i u nas istnieją obiady. W środku pokoju zastawiają jakiś rodzaj stołu, który nie więcéj jak na ośm cali wznosi się nad podłogą, na tym stawiają tacę drewnianą, srebrną, lub platerowaną stósownie do zamożności rodziny, w środku stoi zupa a w około niéj sorbety różanne, czareczki porcelanowe napełnione sardelami, cukierkami, galaretami, kawiorem, słodkim i ciepłym chlebem, w końcu łyżki bukszpanowe. Zasiadają na miejscach około tego stołu, każdy rozwija serwetę, opiera się o poduszkę, myje się i zaczyna objad. Po zupie następuje półmisek napełniony małemi kawałkami mięsiwa i rozmaitego drobiu, które wybierają z téj mieszaniny łyżką lub palcami. Cudzoziemiec przyzwyczajony do grabki, z trudnością znieść może gościnną ceremonją będącą najwyższym dowodem grzeczności dla gościa. Gospodarz wybrawszy łyżką piękny kawałek mięsiwa, bierze go końcem palcy z szczególną delikatnością, ofiaruje takowy gościowi, który odmówić nie może. Téj ceremonji towa-

rzyszą wszelkie stosowne formalności, uśmiech łagodny, a wstręt, jaki czujesz, musi być zwyciężonym. Potrawy, które potém następują gwałcą wszystkie prawa symetryczne i systematyczne, ustanowione przez gastronomów europejskich. Znajdziesz tam jarzyny, ryby, ciasta, mleczka, cukierki; wszystko bez porządku, jedynie podług fantazyi kucharskiéj, piramida ryżu na buljonie gotowanego wznosi się w środku, służy za niezbytą koronę całéj uczcie. Muszę jednak wyznać, żem się dobrze najadł, chociaż tak dziwacznym sposobem. Woda wyśmienita, sorbety, a od niejakiego czasu wino, płyn zuchwały, który zdołano wmieszać w uczty potomków machemeta, służą za napój.

Zbierają tace i to co się na nich znajduje a przynoszą obrusy haftowane, wodę różanną, nalewki, następuje rąk umycie, poczém objad skończony. Każdy wstaje, rozciąga się na swéj poduszce pali fajkę lub robi co mu się podoba. Ta zupełna wolność zostawiona po uczcie gościowi jest uderzającym dowodem obrachowania i oświaty jakiemi jakikolwiek naród szczycić się może; dowodzi ona wielkiéj znajomości stosunków individualnych, nadzwyczajny szacunek przyjemności bliźniego, cześć niepodległości mogącą być zaszczytem salonów paryskich i londyńskich. Zwykle po obiedzie przechodzi się do drugiego pokoju. Massalghi czyli opowiadacz zajmuje wolne chwile rodziny i zabija czas którego ciąg jest

uciąźliwy w takim jak Turcja kraju. Najdoskonalsi i najwięksi twórcy, opowiadają jak w Neapolu, historje usypiające, które przecież są interessującemi, inni pożyczają urywków z tysiąc nocy; niektórzy wdają się w komiczne powieści, i te albo w farsę zamieniają, lub też kreślą jakiś romans mistyczny. Ci, których najwięcéj używają, i którzy są rzeczywiście najlepszemi, opowiadają wyjątki z Hafiza i Sadego. Czasem można napotkać urywki historyczne pomieszane z temi utworami imaginacji. Ich głos jest dźwięczny, układ przyjemny; wysłowienie bogate; a co najwięcéj podziwiałem, to zręczność przerwania powieści, gdy widzą natężoną uwagę słuchaczy; kiedy najbardziéj zajmujący wypadek dotknął rycerza, nasz opowiadacz, dotąd na ziemi przysiadły, zrywa się, kłania, rzuca się szybko ku drzwiom i ucieka. Wysyłają za nim pogoń, ta go nareście chwyta na ulicy, lecz już jest późno, a więc nie chce się wrócić. Trzeba się z nim wdać w układy, powiększyć mu zapłatę, prosić, błagać, a nawet poniżyć się; często nawet służący daleko musi gonić opowiadacza od mieszkania, które miał rozweselić swemi powieściami i z wielką trudnością zaledwie go sprowadza. Otóż to zdaje mi się zręczny sposób zajęcia słuchaczy i zarobienia pieniędzy. Nasi najznakomitsi opowiadacze, do tego nigdy nie doszli. Podczas tych układów, ojciec, matka, synowie, i córki z niechcenia wyciągnieni

na miękich swych sofach, zamknięte mając oczy, zajmują się wspomnieniami wypadków im opowiadanych, czekając w uniesieniu rozwiązania o które się teraz targują. Niechże tu kto powie, że ten naród nie lubi literatury. Nigdy młoda panienka, zaledwie wyszła z pensji, nie uczuła żywszego wzruszenia czytając piérwszy podany jéj romans, jakiego doznają nasi Turcy, słuchając swych opowiadaczy. To prawda, że to są ich poemata, ich dzienniki, ich dramy, ich krytyki, nigdy daléj nie posuwają się ich roskosze umysłowe. Podczas tego uczonego uniesienia, kłęby dymu wychodzą z cybuchów i wszyscy członkowie familji palą fajki na wyścigi; gdy opowiadacz skończy swą historję, gęsty obłok okrywa cały pokój i najsilniéjszy Européjczyk nie zniósłby tego. Turek nie żyje na osobności chyba w swym haremie. Je, pije, śpi, w obec wszystkich, pali fajkę przy obcych. Prawie wszystkie kawiarnie mają swe wystawy, a które ich nie mają, stoją otworem dla ciekawego przechodnia. Nic zabawniéjszego dla mieszkańca północy, a nadewszystko dla Anglika pełnego téj dumnéj bojaźliwości, tego źle zrozumianego wstydu, jak to przedstawienie oku publicznemu swego skromnego posiłku. Często gromada małych, chciwych Turków, spogląda na każdy kawałek i nieledwie kęski rachuje. Cóż to obchodzi naszego muzułmanina, on tam cały dzień przesiedzi, pijąc kawę, paląc

fajkę, wspaniały jak bożyszcze i nie zwracając najmniéjszéj uwagi, na tych, którzy mu się pilnie przypatrują. Kawa, i piław, oto jest całe pożywienie mieszkańców. A przyjemne wyziewy dymu tytóniowego, są im droższe nad wszystkie najwyszukańsze przysmaki stołu. Co do mnie, zawsze żałowałem, że w mych podróżach tak mały postęp zrobiłem w sztuce palenia fajki. W Hiszpańji, w Niemczech, w Turcji, najsmutniéjsza czeka samotność człowieka, nie umiejącego jéj użyć. W Niemczech wstydziłem się, iż byłem zmuszony powtarzać najmniéj dwadzieścia razy przez dzień: — Nie palę fajki, lecz w Turcji jakiż daleko większy wstyd, nie palić fajki, będziesz uważany za najnieoświeceńszego, albo raczéj, jesteś zagadką, łogogryfem, utworem wyobraźni; nie wiedzą z kąd pochodzisz, ani kto jesteś, najmniéjszego wyobrażenia nie są w stanie uczynić sobie o człowieku nie palącym fajki, gotowiby prawie byli zapytać, czy nie jesz lub nie pijesz. Ktokolwiek palił tytóń turecki, przebacza Ottomanom ich przyzwyczajenie. Nie jest to tytóń ale jakieś kadzidło woniejące. Kto się znajduje między palącemi i nie pali, uważanym bywa za odrzutka. Cztery lub pięć osób zapalając swe cygara u jednéj świecy i mieszając kłęby dymu w jeden obłok, łączą się niejakąś sympatją. Możnaby tu do fajki zastosować te słowa Owidjusza. Emmolit mores, nec sini esse feros. Ła-

godzi obyczaje i oświeca dzikość. Jakże możnaby powziąść uczucia nienawiści dla tych spokojnych palaczy krzyżujących z całą powolnością nogi i tak łagodnie w twéj obecności wypuszczających kłęby dymu z swych ust i cybuchów. W Turku można uważać istotę modlącą się i palącą fajkę. Pieszo, konno, siedząc, leżąc, na okręcie, we śnie, lub marzeniu, śpiewając, zajęty rybołowstwem, polowaniem, przedażą, kupnem, pisaniem, opowiadaniem, czytaniem, zabawą, nudami, nauką, jedném słowem zawsze i na każdém miejscu, skoro tylko Turek usłyszy donośny głos pochodzący z minaretów, natychmiast rozciąga dywan, klęka i modli się. Nigdy w godzinach oznaczonych nie chybi swym obowiązkom czci i wdzięczności. Jestże chrześcijanin tak gorliwy, aby porzucał ucztę i szedł się modlić. A żaden muzułmanin nie waha się przerwać najdelikatniéjszy obiad i udać się do swego pokoju na modlitwę. Odbyłem przeszło sto mil w towarzystwie starego i poczciwego muzułmanina, którego jednakowość w modlitwie zdziwiła mnie, nie zapomniałem tego. Widzę go jeszcze jak od rana wlepiwszy oko w zaledwie rumieniącą się wschodnią stronę, śledził pierwszego promienia słońca, rozkładał z wielkim staraniem swój dywan i kwadrans w takiéj postaci zostawał. Poczem trudno było go poznać, już to nie ten sam człowiek, staje się na nowo wesołym, przyjemnym, gościnnym, dobrym towarzyszem. Nie

wierzcie mili czytelnicy wszystkim powieściom, jakie wam czyniono, o dzikości, prostactwie i niegościnnośei tureckiéj. Przechadzałem się dnia pewnego po tym wspaniałym cmentarzu, niejako pałacu śmierci, znajdującym się przy bramach Konstantynopolu, a którego kolumnadę tworzą smętno-cieniste cyprysy. Turek młody jeszcze, zbliżył się do mnie, stłukł orzech i ofiarował mi połowę z uśmiechem. Przyjąłem, nie wiedząc jakie było znaczenie téj szczególnéj poufałości. A gdym pytał o to podróżnych bardziéj obznajmionych z zwyczajami wschodniemi, odpowiedzieli mi, że to był jeszcze zabytek dawnéj gościnności Azjatyckiéj. Poznał on we mnie cudzoziemca, i dał mi poznać tym znakiem, że rad był memu spotkaniu w swym kraju, i że mogłem używać darów, jakie ta ziemia wydaje; znak tkliwy i przyjemny, który nie ma nic dzikiego, i któremu podobnego nie znalazłem w moich podróżach po Europie.

OBERŻYSTA W ANDERMATT.

W kilka miesjęcy po zawarciu powszechnego pokoju w 1815 roku, przybyłem do Szwajcarji; tego pięknego kraju, mało jeszcze wtedy znanego i którego mieszkańcy, zachowali jeszcze całą prostotę i czystość dawnych obyczajów; bo złoto cudzoziemców i złe przykłady, nie zasiały w nich jeszcze zepsucia.

W jednéj z pierwszych wycieczek, zwiedziłem jezioro czterech kantenów, tak sławne w dziejach Szwajcarji. Tell i jego towarzysze, ujrzeli światło dzienne na tych śmiejących się brzegach, tak przyjemnych dla człowieka znużonego światem i jego wrzawą. Przepływałem to jezioro w łódce zupełnie podobnéj z kształtu do téj, która wiozła Tella tam, gdzie teraz wznosi się kaplica poświęcona Najświętszéj Pannie, tam gdzie strzałą swoją ugodził Gesslera. Lekko kołysany zielonawemi wałami, w których odbijały się olbrzymie jodły gór, mogłem wygodnie patrzeć i uwielbiać piękne okolice. Na szczęście nie było jeszcze statków parowych, których sokoła szybkość, unosi nas jakby dla zatarcia w duszy naszéj wspomnień prze-

szłości, i których dym zakrywa nam piękności nieba i ziemi. Przybywszy do Altorff wdrapałem się na górę S. Gotharda; widziałem ją jeszcze w całéj dzikiéj piękności, bo jeszcze nie było nowéj drogi. Sztuki i cywilizacja są grobami uczuć, rospaczą artysty; one wysuszają wrzącą duszę poety. W czasie o którym mówię, nie było drogi dostępnéj dla powozów, nie podobna było przebyć góry inaczéj jak pieszo lub na grzbiecie muła.

Było to w Kwietniu; około dziesiątéj wieczorem przybyłem do małéj wioski między Roveredo i Bellinzona. Znużony długą drogą jaką przebiegłem, wstąpiłem do oberży, któréj powierzchowność była bardzo nędzna, ale która obiecywała mi roskoszny spoczynek po tylu noclegach w szopach sernych w Alpach. Oberżysta zdawał się mało zważać na podróżnych pieszych, bo nawet nie wstał z swego krzesła kiedy wszedłem. Miał słuszność; albowiem jego oberża stała na pocztowym gościńcu z Roweredo do Bellinzony. Siedząc przed kominkiem rozprawiał z podróżnym, który wydawał się dawnym wojskowym, sądząc po siwych jego wąsach i kroju jego sukni. Młode ośmnasto-letnie dziewczę przygotowało wieczerzę.

Obejscie się mego gospodarza nie było wcale ujmującém powiedział mi wprost, że oberża jego jest zapełniona, że wszyscy już śpią, i że jegomość z którym rozmawiał, zajął właśnie ostatnie łóżko. Odpowiedziałem mu, że potrze-

buję tylko kołdry, i że bardzo wygodnie będzie mi spać na ławie przy kominie.

Podróżny, o którym wspomniałem ofiarował bardzo grzecznie podzielić ze mną swoje posłanie, ale ponieważ oberżysta zgodził się na moje żądanie, podziękowałem zatém równie grzecznie za tę ofiarę.

Wyborna zupa z makaronów, świeże pstrągi i omlet z zieleniną, wkrótce powróciły mi siły. Gospodarz oświadczył że ma stare Bordeaux, było istotnie dobre, i wypiliśmy go parę butelek. Ów podróżny był bardzo przyjemnym, w prędce porozumieliśmy się przyjaźnie, i zaczęliśmy opowiadać sobie wzajemnie zkąd i dokąd idziemy. Z uniesieniem mówiłem o pięknościach góry S. Gotharda i o zachwycającéj dolinie Andermatt. Na te słowa mój wspólnik zbladł; jakaś przykra myśl pochmurzyła jego czoło. Obawiając się czy nie obudziłem smutnych dla niego wspomnień, chciałem zmienić przedmiot rozmowy, ale on prosił mię żebym nie przerywał mego opowiadania. Potém, trąciwszy swoją szklankę z moją rzekł:

— Mówiłeś pan o Andermatt, widziałeś zmianę w mojéj twarzy, posłuchaj co jest tego powodem.

W roku 18... służyłem w wojsku, i odbyłem pierwszą kampańję. Należąc do pułku strzelców w straży tylnéj, byłem w oddziale eskortującym żywność, którą nam nadesłano z Francji.

„Obozowaliśmy w Andermatt. Przypominasz pan sobie tę miłą dolinę, ten strumyk wolno ciekący, jakby natura chciała pokazać dziwactwo swoje, mieszcząc tę spokojną dolinę i powolny strumyk u stóp olbrzymich skał, z których z wściekłością rzuca się potok wpadający w jezioro czterech kantonów. Była wtedy w Andermatt, mała, dzika oberża.“

Nasz gospodarz na pół podpiły, spał w najlepsze, ale na te słowa ocucił się, i połknął dużą szklankę wina. Nie wiele uważałem na tego człowieka, ani na jego rysy. Mógł on mieć lat około pięćdziesięciu pięciu. Postać jego krótka i pękata, nie okazywała ani śladu żwawości właściwéj góralom. Włosy musiały być kiedyś płowe, ale teraz już zaczęły siwieć. Oczy błyszczące bure, pokrywały gęste ciemne rzęsy; lica jego blade miały jednak gdzieniegdzie plamki czerwone, ogół był surowy i odstręczający; z czoła jego widać było przywyknienie do rozmyślania, ale rzekłbyś, że jego myśli zawsze były ponure, zdawało się, że układa plan jakiéjś zbrodni, lub że jest łupem okropnych zgryzot. Przynajmniéj takich doświadczałem wrażeń patrząc na niego, a tajemne przeczucie mówiło mi, że człowiek tén i jego życie, muszą mieć jakiś związek z powieścią któréj słuchałem.

Tymczasem towarzysz mój tak daléj mówił:

„Oberża w Andermatt w owéj porze była miejscem przytułku w takim rodzaju jak te, które znajdujemy na Simplon, rząd kazał ją wystawić, aby zbłąkani podróżni, lub zaskoczeni burzą, mieli się gdzie ukryć. Oddział nasz dowodzony przez młodego porucznika, biwakował nad brzegiem strumienia, ale kommissarz wojenny, towarzyszący transportowi żywności, który prowadziliśmy, zajął miejsce w oberży złożonéj z jednéj tylko izby. Przygotowano mu łóżko, oddzielone tylko od posłania gospodarza i jego żony, za pomocą prześcieradła powieszonego na sznurze. Siedząc przed dobrym ogniem, właśnie gotował się do wieczerzy, kiedy wszedł podróżujący kupczyk, który od kilku dni zatrzymał się w Altorff obawiając się wojsk nieprzyjacielskich, a teraz dowiedziawszy się, że mamy nad niemi przewagę, spieszył się połączyć się z nami, aby bespiecznie przybyć do Medjolanu. Młody ten człowiek, nieroztropny i rozgrzany wiśniowym likierem, jedynym jaki można dostać w tych górach, wymówił się, iż podróżując w interessach jednego z najznaczniéjszych zakładów jubilerskich, ma z sobą w tłomoczku wiele kosztowności. Zapomniałem powiedzieć panu, że Adolf, kommissarz wojenny o którym mówiłem, był równie jak ja Burgundczykiem, urodziliśmy się nawet w jednéj wiosce, pędziliśmy razem młode lata i kochaliśmy się jak bracia. Późniéj ściśléjszy jeszcze węzeł połączył nas. A-

dolf kochał siostrę moją i był wzajemnie kochany. Obie rodziny zezwalały na ich połączenie. Wojna powołując Adolfa do służby, odroczyła chwilę związku tak pożądaną dla obojga kochanków, rozstali się smutni, ale nawet siostra moja potrafiła ukryć łzy, pocieszając się nadzieją prędkiego powrotu Adolfa. Biedna nie przewidywała, że go już nigdy nie zobaczy. W jednym dniu ja i Adolf opuściliśmy naszą siedzibę, byliśmy oba przeznaczeni do tego samego korpusu. Swietne usługi jakie rządowi wyświadczył ojciec Adolfa, zjednały mu odrazu miejsce kommissarza wojennego, był to zawód, który szybko mógł go poprowadzić do wysokich godności i znaczenia. Ale Adolf nie mógł zapomnieć swojéj matki i narzeczonéj, zawsze zamyślony, smętny, marzył tylko o Burgundji. Okropne puszcze Alp, przerażająca wielkość djabelskiego mostu, były dla niego za nadto wielkim odskokiem, od przyjemnych widoków rodzinnéj ziemi. W drodze mówił do mnie że góra S. Gotarda będzie wałem, który go na wieki oddzieli od Francji. Na próżno starałem się go rozweselić, daremnie usiłowałem zbijać jego obawy.

Podróżujący kupczyk i Adolf wieczerzali razem; ten ostatni ofiarował się podzielić swoje posłanie z nowym towarzyszem i ofiara została przyjętą. Kupczyk położył swój tłómoczek pod głowę i wkrótce zasnął. Gospodarz i jego żona zdawali

się także w śnie być pogrążonemi. Adolf, którego wyobraźnia była nader żywą, nie mógł oka zmrużyć.“

W tém miejscu gospodarz nasz westchnął, ale opowiadający nie uważał tego; ja przeciwnie zajęty niemiłém wrażeniem, jakie na mnie jego rysy uczyniły, spojrzałem nań badawczo. Głowa jego oparta była na ręku, a konwulsyjny uśmiech okazywał się niekiedy na jego ustach. Szklanka spadła i stłukła się. Dziwiło mię, że nie wziął innéj chociaż butelka krążyła ciągle.

„Księżyc był w pełni, mówił daléj mój towarzysz; promienie jego oświecały środek izby, zostawiając jéj kąty w ciemności. Adolf chciał wyjść dla pocieszenia się widokiem gór oświeconych srebrnym blaskiem lampy nocnéj; probował otworzyć drzwi, które były zamknięte na dwa spusty i za pomocą poprzecznéj sztaby; nie chcąc budzić gospodarza i jego żony, Adolf otworzył okno i przez nie wyszedł z izby.

O jak piękne są Alpy oświecone księżycem; lody ich błyszczą jak djamenty, doliny zdają się szmaragdami; strumyk wolniéj płynie a wody jego podobne są wstędze srebrnéj, szelest potoku bardziéj jest uroczysty, a mgły które tworzą się z rozbijających się o skały wałów, odbijają najwspanialsze kolory tęczy. Jednotonny głos sowy, a nawet krzyk dziki wilka, który słychać w oddaleniu zdają się być łagodniéjszemi.

Adolf szukał roztargnienia przyglądając się tym wzniosłym pięknościom. Ale zaledwie kilka kroków uszedł, zapytanie żołnierza z placówki, przerwało jego dumanie; lecz ponieważ zabroniono rozmawiać, przepuściły go forpoczty, poznawszy że jest jednym z naszych. Byłem właśnie na polu i uważałem mego przyjaciela dopóki róg skały nie zakrył go zupełnie. Niewiem jak długo przechadzał się, bo mię uwolniono z stanowiska, pierwéj nim powrócił.

Późniéj pytałem się Adolfa czy długo się przechadzał; odpowiedział mi że niewie, że pamięta tylko iż doszedł do mostu djabelskiego, że oparłszy się o parapet miał ochotę rzucić się w przepaść, ale go wspomnienie matki wstrzymało.

Nakoniec powrócił do oberży; położył się w ubraniu obok kupczyka, i głęboko zasnął. Okropne sny dręczyły go. Zdawało mu się że nad nim stał gospodarz z zakrwawionemi rękami i zogromnym nożem."

Gospodarz nasz westchnął; ale opowiadacz pogrążony w zamysłach, czy też sądząc że to westchnienie było skutkiem współczucia, nie dał na to uwagi.

„Sniło mu się, mówił daléj oficer, że obok niego leżał trup, że jego rękę ściskała lodowata dłoń zmarłego. Ten sen był tak przykry, tak okropny, iż Adolf zerwał się na równe nogi i spojrzał w o-

koło; ale wszystko było spokojne, położył się znowu i zasnął.

Razem ze świtem mieliśmy rozpocząc dalszy pochód. Przed trzecią godziną obudziły mię pomięszane krzyki między któremi rozeznałem pół-niemiecki djalekt oberżysty. Był on w koszuli, i prowadził a raczéj ciągnął za sobą, — Adolfa, który szedł za nim bez oporu. Przybywszy do obozu oświadczył, że Adolf popełnił morderstwo téj nocy u niego w oberży, i żądał mówić z oficerem służbowym. Pobiegliśmy do oberży: okropny widok, przedstawił się tam oczom naszym. Podróżujący kupczyk z którego licznych ran krew obficie upływała, leżał na łóżku, a obok niego był znak że jeszcze ktoś spał przy nim: szpada Adolfa zbroczona, leżała obok ciepłego jeszcze trupa.

Prawda że wyjście Adolfa przez okno, jego przechadzka w nocy, mogły nasuwać domysły, iż zaniosł gdzie i ukrył tłomoczek zamordowanego, którego nie znaleziono pod jego głową. Pozóry mowiące przeciwko niemu były silne i prawie nie do zbicia.

Adolf czuł okropność swego położenia. Wszyscy obarczali go wyrzutami, wszyscy go oskarżali. Nasz oficer nie taił przekonania swego o jego winie. Nieszczęśliwy młodzieniec stracił przytomność; zamiast bronić się, milczał. Myśl okropna, że haniebną śmiercią zginie, zdala od rodzinnéj ziemi, uczyniła go niezdolnym do żadnego rozsądnego na-

mysłu. Blady, zmieniony długą bezsennością i okropnemi marzeniami, wyglądał jak zbrodniarz schwytany w chwili spełnienia zbrodni. Skrępowano go, i poprowadzono do Bellinzony, gdzie nasz pułk miał stanowisko.

Sprawiedliwość wojskowa jest bardzo prędką, szczególnie w czasie wojny. Dowódca nasz był Szwajcar mający najwyższe wyobrażenie o cnocie swoich współrodaków, i nigdy nie uwierzyłby, że mieszkaniec gór, prosty wieśniak, zdolnym jest popełnić morderstwo dla przywłaszczenia sobie złota i kléjnotów, których nawet wartości nie zna.

W kilka godzin po przybyciu do Bellinzony, Adolf został stawionym przed sądem wojennym, nic nie umiał przytoczyć na swoją obronę, nie był w stanie odpowiedzieć na oskarżenie oberżysty. Zdawał się nie pojmować wszystkiego co się około niego działo. Zapytany przez prezydenta, opowiedział o swójéj przechadzce nocnéj i okropnych snach jakie go dręczyły. Dodał, że zbudziwszy się zrana, ujrzał kupczyka, który z nim spał razem zbroczonego we krwi, i oberżystę stojącego nad ich łóżkiem. Ale odpowiedzi jego były tak błędne, tak powikłane, że szkodziły mu raczéj zamiast być dlań obroną. Sąd wojenny jednogłośnie uznał go winnym i skazał go na śmierć.

Niestety! biedny Adolf! Na godzinę przed wykonaniem wyroku, otrzymałem pozwolenie widzenia się z nim. Znałem go tak dobrze, wiedziałem

że nie jest zdolnym do popełnienia zbrodni któręą mu zarzucano, i ja sam tylko z całego pułku, przekonany byłem o jego niewinności. Nie tyle on cierpiał na myśl że ma życie utracić, ile na wspomnienie że jego matka umrze z rozpaczy. Myślał o swojéj narzeczonéj, o mojéj siostrze. Łzy nasze mięszały się. Polecił mi żebym uściskał jego matkę i zapewnił ją że umarł zupełnie niewinny.

Nic tak nie jest uroczystém jak wojskowe wykonanie wyroku: głos bębna, widok broni ku ziemi spuszczonych, okowy które obwiniony dźwiga, głębokie milczenie żołnierzy, milczenie prawie grobowe, to wszystko przejmuje serce smutkiem.

Adolf odzyskał całą moc swego charakteru; krok jego był śmiały i nie zachwiany, twarz pokryła się pięknym rumieńcem; wzniosł oczy ku niebu jakby wzywając jego błogosławieństwa.

Nigdy nie zapomnę pięknéj szlachetnéj jego postawy, kiedy ukląkł o cztery kroki od oddziału przeznaczonego do rozstrzelania go. Okropny wyraz *pal!* brzmi jeszcze w moich uszach. Adolf upadł nie wydawszy jęku.

Ale w chwili kiedy oficer francuzki kończył swoje opowiadanie, jęki i okropne krzyki, rozległy się w izbie. Gospodarz nasz rzucał się po ziemi, miotany okropnemi konwulsjami.

Podejrzenie wkradło się w duszę oficera, przyjrzał się dobrzę gospodarzowi, i poznał w nim oberżystę z Andermatt.

— Ha, to ty bandyto z Andermatt! krzyknął nagle; to ty, morderca mojego przyjaciela, mojego brata.

Na te słowa oberżysta padł na kolana: drżał, błagał żeby go posłuchać, wyznał że on sam zamordował kupczyka w Andermatt. Oficer wahał się i chciał mu przebaczyć, ale ja się temu sprzeciwiłem. Uwiadomiliśmy władzę miejską, został uwięziony, i wyznał, że kilka już morderstw popełnił. Wktrótce potem głowa jego padła pod mieczem sprawiedliwości.

ROZBITEK.

Na stroméj, prawie niedostępnéj skale, stał jakiś człowiek. Drżał z zimna i głodu; przed nim, koło niego, ryczało morze, a w odległości błyszczały śnieżne brzegi Norwegji.

Dwa razy weszło słońce od czasu jak on stał na téj skale, teraz schylało się w krwawéj purpu-

rze ku zachodowi, i noc wkrótce miała swój żałobny płaszcz rozwinąć. Nieszczęśliwy padł na kolana i zawołał słabym już głosem.

— Mój Boże i Panie! czyliż dla tego ocaliłeś mię z okropnego rozbicia, które pochłonęło wszystkich moich towarzyszy, abym tu okropniéjszą jeszcze śmiercią umarł? Ulituj się nad moją młodością, przyślij mi jaki statek na pomoc, dopóki jeszcze ta pomoc może mi być przydatną.

Jak okropne olbrzymy, wznosiły się w niebo dzikie czarne opoki. Szczyty ich pokryte były błyszczącym śniegiem, u stóp ich wyły bałwany, roztrącając się o nie z wściekłością, rybitwy nad śnieg bielsze wydawały przeciągłe krzyki, wspaniały morski orzeł, unosił się wysoko po nad niemi, nagle jak piorun spuścił się pomiędzy przestraszone gromady, porwał chciwemi szponami bezbronną zdobycz i uleciał do swego górnego gniazda; ogromny wieloryb wypłynął nad powierzchnią wałów, wytrysnął długi promień wody, i śmiało spoglądał na zachodzące słońce, ale nie widać było żadnego statku, któryby mógł przynieść pomoc nieszczęśliwemu stojącemu na dzikiéj odludnéj skale.

A więc mam zginąć! zawołał on smutnie, zdala od mojéj rodziny, zdala od jakiéjbądź ludzkiéj istoty, któraby moje ostatnie westchnienie usłyszała. To niepodobna, nie powinienem umierać! jestem tak młody, tak mało doświadczyłem przy-

jemności życia! Zniosę największy niedostatek, będę od świtu do zmroku pracował, a nawet kiedy inni używać będą spoczynku, będę naprawiał sieci i kręcił liny; nie chcę już słuchać wesołych piosnek, ani wychylać biesiadnych puharów z wesołemi towarzyszami, ale chcę tylko żyć.

Ostatni promień zachodniego słońca, różową zasłoną pokrył pieniące się wały. Wtém z rozpadliny w opoce, wyszedł mały wesoły człeczek, w czerwonéj czapce na głowie, i z przyjaznym uśmiechem stanął naprzeciwko biednego rozbitka.

Znacie pewnie Nissy, północne opiekuńcze duchy mieszkające w Skandynawji. Tam każdy pałac, każda chatka, każda jaskinia ma jednego z ich liczby za opiekuna, i biada temu domowi, któryby się chciał obéjść bez niego! Sieci mieszkańców jego przepuszczać będą wszystkie ryby, któreby w nie wpadły, a ich czółna zatoną z ludźmi i ładunkiem. Nissy błogosławi domowemu ogniowi i żywności jaką sobie przyprawiają mieszkańcy.

Wstąp, biedny człowieku do mojéj jaskini, rzekł przyjazny duch, podając młodzieńcowi rękę. Posadzę cię przy dobrym ogniu, który cię osuszy, i podam ci pokarm i napój na wzmocnienie sił twoich. Wymawiam sobie tylko jedno, tego nie zapomnij, jeśli chcesz u mnie mieszkać. Zobaczysz tam i usłyszysz wiele takich rzeczy których dotąd nieznałeś. Patrz przed siebie, ale nie wyciągaj

ręki po nic, bo kto dostanie jedno, nie poprzestanie na drugiém i trzeciém, a ty powiedziałeś że tylko żyć, nic więcéj, jak tylko żyć chcesz, niebądź mi więc chciwym i dumnym.

— O mój dobry Boże! rzekł Krake pokornie, (tak się nazywał rozbitek), czyż mógłbym taki występek popełnić? Obiecujesz mi ogrzewający ogień i posiłek, ach, czyliż ja co więcéj potrzebuję?

— Pójdź więc, rzekł Nissy, wziął go za rękę i poprowadził przez rozpadlinę skały. Ale w jednéj chwili duch znikł. Krake niechciał wierzyć swoim zmysłom, widząc się od razu w komnacie podobnéj do okrętowéj kajuty. Na długim stole w pośrodku, zastawiony był wyborny obiad, na kominie gorzał dobroczynny ogień.

— Siądź przyjacielu, rzekł uprzejmie jakiś człowiek z ubioru wydający się być żeglarzem. Zapewne twój statek zatonął, ludzie dotknięci tym przypadkiem są zawsze miłemi u mnie gośćmi; zbliż sie do ognia i napij się tego piwa z korzeniami, to cię pokrzepi, tymczasem przyjdą wszyscy biesiadnicy na wieczerzę.

Krake uczynił jak mu powiedziano, i uczuł dobroczynne ciepło ożywiające jego członki. Wtém weszło wielu żeglarzy, wszyscy zasiedli do stołu i Krake między niemi. Jadł on bardzo smacznie, i z przyjemnością słuchał opowiadania przygód teraźniéjszych jego towarzyszy. Potém wszyscy o-

deszli, a Krake położył się wygodnie na stojącém w bliskości komina łóżku.

Z początku podobało mu się w tém towarzystwie, ale postrzegłszy że wszyscy daleko lepiéj byli ubrani od niego, zaczął się wstydzić i głośno wyrzekł, że chciałby tak wyglądać jak inni. Gospodarz nic nie odpowiedział, ale wskazał jedne drzwi' i skinął na młodzieńca aby tam wszedł. Krake niedał sobie dwa razy tego powtórzyć, otworzył drzwi i wszedł do obszernego pokoju, którego wszystkie ściany od góry do dołu zawieszone były pięknemi a nawet wspaniałemi sukniami wszelkiego rodzaju, tak, że biedak nie wiedział co wybrać, i nie prędko zdołał się ubrać. Ale wszedłszy w nowym stroju między towarzyszy, którzy już nań czekali u stołu, nie mógł ukryć wewnętrznego ukontentowania, i wszelkiemi sposobami starał się ściągnąć na siebie powszechną uwagę.

Od tego objadu, więcéj niż pierwéj upodobał sobie Krake swoje dziwne teraźniéjsze mieszkanie. Ale jego szczęście krótko trwało, bo wieczna jednostajność strasznie go nudziła. Kładł się spać aby za kilka godzin wstać znowu, codziennie jadł z temi samemi towarzyszami, zawsze te same potrawy, i słuchał zawsze opowiadania tych samych zdarzeń, tak że w krótkim czasie wszystkie już umiał na pamięć.

„Lepiéj jest bezwątpienia żyć, aniżeli umrzeć, mówił raz do siebie i tu jest mi lepiéj jak było

tam na skale, ależ trzeba przecież mieć jakieś zatrudnienie, bo inaczéj obawiać się wypada, żeby z samych nudów nie umrzéć.“

Pomimo tych wykrzykników nic się nie zmieniało, i dni mijały w najsmutniéjszéj jednostajności.

— Nie! zawołał on pewnego poranku, to nie do wytrzymania! Mamże całe moje życie w téj ciasnéj kajucie spędzić? Inni przecież wychodzą stąd, dlaczegóżbym ja tego nie miał uczynić? Pokażcie mi którędy wyjść stąd mogę, chciałbym raz przynajmnéj zobaczyć co się zewnątrz dzieje.

Zamiast odpowiedzi, poważny gospodarz wskazał tylko na jedne drzwi, a Krake jak najspiększniéj starał się ten znak zrozumieć. Z podziwieniem spojrzał do koła, wyszedłszy na zewnątrz. Stał on w pośród rynku miasta które, na pierwsze zaraz wejrzenie wydawało się bardzo zamożném, i ożywioném; ludzie, wozy i pojazdy mijały się bez przerwy, sklepy napełnione były wszelkiego rodzaju zbytkowemi towarami, a w pobliskim porcie powiewały flagi licznych okrętów rozmaitych narodów.

— Ho, ho, zawołał Krake zadziwiony, ale z uśmiechem zadowolenia, otóż to co ja lubię! — Niespodziany widok tych nowości, tak go ucieszył i zajął, iż zapomniał zupełnie skąd wyszedł, i prawie wpół śpiąc szedł naprzód gdzie go tłum ludu unosił.

— Witaj mi młody towarzyszu, rzekł nagle jakiś bogato ubrany człowiek, z przyjemném i ujmującém wejrzeniem. Dlaczego tu stoisz, przypatrując się ludziom i domom? Jesteś marynarz, jak widzę, i zdaje mi się, że nie masz co robić. Jeśli chcesz, wezmę cię na pokład mego okrętu; tam wszystko czego ci potrzeba, będziesz miéć podostatkiém.

Krake bardzo się tém ucieszył, i wkrótce zjednał sobie przychylność zacnego żeglarza, który bardzo go sobie upodobał, i gdy na morze wypłynęli, chciał go miéć ciągle przy sobie.

To przez niejaki czas bardzo się młodzieńcowi podobało, ale w końcu i tu znalazł przykrości; mógł on wprawdzie żyć bardzo przyjemnie, ale kapitan okrętu żył jeszcze lepiéj, i nawet więcéj był wynagradzany przez właściciela. To oddawna uważał Krake, i pewnego dnia wyjawił panu swoje ukontentowanie.

Ten przez chwilę patrzał nań surowo, nakoniec rzekł:

— To mię dziwi, że nie jesteś zadowolonym z tego, co tu masz w takiéj obfitości. Ale lubię cię, i nic ci nie mogę odmówić, i skoro koniecznie pragniesz być pierwszym po mnie na moim okręcie, niech się więc tak stanie.

— Dziękuję ci panie! zawołał z radością Krake; potém zwabili kapitana na ląd, poszli z nim do oberży i upoiwszy należycie, zostawili tamże u-

śpionego, a sami wsiedli na okręt i jak najskorzéj odbili od brzegu.

Przez długi czas, Krake jako kapitan okrętu tu owdzie żeglował; właściciel o nic się nie troszczył, spuszczając się zupełnie na swego ulubieńca, który teraz czuł się zupełnie szczęśliwym. Ale czy to długo trwać będzie? Nie sądźcie tak! kto tak często zmienia chęci, pozostanie zawsze niestałym jak chorągiewka. Wkrótce się o tém przekonacie.

Razu pewnego, ujrzeli na brzegu wielkie miasto, z wspaniale błyszczącemi białemi domami, których widok nad wszelki opis był pięknym. Wszyscy też nie mogli się nań napatrzyć.

— Tu zarzuciemy kotwicę, rzekł właściciel okrętu do kapitana, bo tu mieszka moja żona i moje dziecię, których już od wielu lat niewidziałem Sterujmy do portu.

I Krake nie sprzeciwiał się temu, bo miło mu było, po długiéj żegludze wysiąść na ląd, i nieznane miasto zobaczyć; jakoż wkrótce znajdowali się wpośród wrzawy licznych jego mieszkańców.

Opiekun jego i dobroczyńca, obchodził się z nim z największą uprzejmością; dał mu piękne w domu swoim mieszkanie i zaszczytne miejsce przy swoim stole. Żona jego i nadewszystko piękna córka, powitały go przyjaźnie, tak, że Krake myślał że jest w niebie. Ale nie wierzmy jego stałości, wkrótce i tu zdawało mu się, że mu czegoś

brakuje. Widział, że pan jego więcéj poważanym jest w całém mieście niż on, ponieważ miano go tylko za najpierwszego sługę tamtego; musiał się przed innemi schylać, którzy byli bogatemi i możniéjszemi od niego, to mu się także nie podobało; nakoniec piękną córkę swego dobroczyńcy, musiał jak swoję panią szanować, a to mu się najbardziéj nie podobało, bo on chciał ją dostać za żonę. Ponieważ od chwili uratowania z dzikiéj skały wszystko mu się szczęściło, sądził, że i tym razem uda mu się, i dlatego pewnego poranku, wszedł śmiało do pokoju swego pana, i oświadczył swoje żądanie. Ten słowa nie mógł wymówić z zadziwienia, bo takiéj zuchwałości nie spodziewał się po swojm kapitanie. Ale kiedy Krako nie poprzestał swoich żądań, wybuchnął nakonicc gniew szlachetnego żeglarza i rozkazał zuchwałemu słudze oddalić się i nigdy się już oczom jego nie pojawić. Krake oddalił się, ale nie był on z liczby tych ludzi, którzy łatwo pokonają swoje namiętności. Wiedział dobrze, że jego młodość i przyjemna powierzchowność, uczyniły żywe wrażenie na umyśle córki jego rozgniewanego pana, szukał więc sposobności pomówienia z nią tajemnie, i skłonił ją do ucieczki. Ucieczka jedynego dziecięcia, śmiertelnie zmartwiła biednego ojca, ale pierwéj nim zawarł powieki, kazał przywołać do siebie zbiegów, podał im ręce na znak pojednania, i skonał.

Teraz Krake dosięgł szczytu szczęścia, posiadał najpiękniéjszą kobiétę i najpiękniéjszy dom w całém mieście, miał najwspanialsze ogrody i najlepiéj opatrzone okręty. Ale ciągle dostrzegał u tego lub owego sąsiada, coś, co mu się podobało, i nigdy nie uspokoił się, póki upragnionego przedmiotu nie dostał. Tym sposobem coraz więcéj zbierał i grabił, i nakoniec uważanym był za najbogatszego i najmożniéjszego w całém mieście.

Jego dzieci, dzielni synowie i piękne córki, rosły coraz i wszystkich, wyjąwszy ojca, cieszyły przyjemną powierzchownością i dobrocią serca. Jemu wydawały się wszystkie zanadto prostemi, cichemi, i niedość przywiązanemi do bogactw świata; dlatego nie lubił ich, nie dbał o nie, a żona jego, któréj on całą w tém winę przypisywał, dawno już nie śmiała mu się pokazać.

— Nie! krzyknął raz Krake z gniewem, niepodóbna wytrzymać w tym domu! Jestem wprawdzie najpierwszym w tém mieście ale nie mogę się moją wielkością cieszyć. Tu nieraz cały miesiąc zimno i martwo, śnieg i lód pokrywają wspaniałe kwiaty moich ogrodów. Daléj w świat, do innych stref, tam gdzie jak mówią moi majtkowie, wieczne lato panuje, tam tylko można znaleźć prawdziwe szczęście życia.

Natychmiast zgromadził swoje bogactwa, opuścił miejsce któremu wszystko był winien, nie dba-

jąc o łzy, które nad nim pozostała żona i dzieci miały wylewać.

Pomyślny wiatr dął w jego żagle, i wiódł go ku upragnionéj stronie. A gdy pewnego poranku po krótkim śnie oczy otworzył, przed nim w całéj wspaniałości, leżał cudowny kraj z czarownemi kwiatami, złotemi pagórkami i niezliczonemi źródłami które płynne srebro sączyły.

Teraz mam czego pragnę! Tu znalazłem to, do czego oddawna wzdychałem, zawołał Krake wystąpiwszy na brzeg, teraz jestem już na całe życie zadowolonym, żadne życzenie nie zabrzmi z ust moich, a jeślibym to kiedy jeszcze uczynił, niech znowu znajdę się na dzikiéj skale lodowatego morza, z któréj mię Nissy wybawił.

— Niech się stanie! zabrzmiał niespodzianie głos uroczysty, i stanął przed nim szanowny starzec, którego srebrzysta broda aż do pasa sięgała. Ubrany był biało, złotym pasem przewiązany, na głowie miał przepaskę z pereł i drogich kamieni, a złote berło w ręku.

— Kto jesteś? zapytał Krake, cofając się z przestrachem, i nieśmiało z boku spoglądając na starca.

— Jestem panem tego kraju, odpowiedział starzec i całe życie moje spokojnie tu spędziłem; ale ponieważ ty oświadczyłeś chęć zamieszkania tutaj, ustępuję ci chętnie tego kraju, będziesz królem na mojém miejscu. Nie jesteś mi winien

wdzięczności, taka jest wola losu! odchodząc stąd, biorę tylko z sobą twoję przysięgę.

Poważnie i uroczyście poszedł starzec w swoję drogę, a Krake marząc postępował daléj w głąb kraju. Za każdym krokiem postrzegał nowe powaby i przyjemności, i cieszył się niezmiernie z przybycia do tak pięknego kraju. Na prawo i na lewo widział piękne wioski, bujnie zbożem okrytę pola i kwiatami napełnione ogrody tu znów postrzegał zamożne, rękodzielniami kwitnące miasto, tam ogromne lasy, wspaniały strumień i nakoniec wielką królewską stolicę z złotemi drzwiami, srebrnemi murami i kamieniami wysadzoną bramą główną. Smiało przebył wnijście, przyjęli go liczni słudzy i poprowadzili do wielkiéj sali gdzie najwspanialsza uczta była zastawioną. Wszystko tak było starannie przygotowane, jakby oddawną już oczekiwano jego przybycia. Wesoło usiadł on na tronie, i ucieszył się gdy się doń zbliżył jakiś człowiek, bardzo podobny do przeszłego króla.

— Jestem twoim pierwszym Ministrem, rzekł starzec, los przeznaczył mię na to, abym wszystkie trudy i prace za ciebie ponosił i miał staranie aby ci nie zbywało na żadnych przyjemnościach życia. Używaj więc tego co ci przyjazne przeznaczenie podaje, i nad tém myśl tylko, jakby najprzyjemniéj przepędzić resztę twego życia.

Krake usłuchał téj rady. Najprzód objechał piękne swoje królestwo od jednego końca do dru-

giego i wszędzie zamożność i dobry byt znajdował. Potém przeliczył swoje skarby, i mógł sobie powiedzieć iż tyle posiadał złota, ile niespodziewał się żeby można było znaleźć w całym świecie. To wszystko na niejakiś czas bawiło go bardzo, ale po roku, zwiedziwszy swoje zamki miasta i ogrody, przeliczywszy więcéj niż sto razy swoje skarby, znudziło mu się nakoniec i rzekł raz z nieukontentowaniem.

— Cóż mi z tego wszystkiego? Tak! żebym tu miał chociaż jednego z moich dawnych znajomych, albo żeby tu była moja żona i dzieci, żebym im mógł skarby moje pokazać! Ale tak, żyje między obcemi ludzmi którzy nie mają we mnie zaufania, i są mi posłuszni jedynie dla tego, ponieważ są memi poddanemi; wpośród tych całych tłumów, czuję że jestem zawsze samotny.

W téj chwili stanął przed nim pierwszy jego minister, spojrzał nań surowo, ale on tego nie uważał, i mówił daléj.

— Pocóż byłbym Królem, jeśli nie ma wszystko być podług mojéj woli? Będę rozkazywał co mi się podoba, i wszyscy muszą mi być posłusznemi. Rozkazuję zatém aby jak najspieszniéj przygotowano i uzbrojono okręty; pragnę....

Nagłe zaszumiało i zawyło w powietrzu, jak by ziemia wstrząsnięta została w swych posadach. Gęsta ciemność zstąpiła z gór, a postać byłego króla

groźnie wystąpiła z chmury, wzniosła złote berło i rzekła gniewnie:

— Sam sobie w téj chwili wyrok wydałeś! wracaj do nicości z któréj pochodzisz! Czyje serce jest nie nasyconém, dla tego szczęście naprózno się trudzi. Oddal się i poświęć żalowi niewiele dni, które ci jeszcze pozostają.

Piorun zagrzmiał. Ciemność powięszyła się, starzec znikł, a Krake ujrzał tylko jak do niego zbliżył się Nissy w czerwonéj czapce, i wziął go za rękę, i w tém bez przytomności upadł.

* * *

Słońce jasno i świetnie wznosiło się z morza, a wały uderzone wschodnim wiatrem, z szumem wzbijały się na skały, na jednéj z nich powstał człowiek i spojrzał do koła zadziwionym wzrokiem. Starość głębokiemi rysami naznaczyła twarz jego, długa srebrzysta broda spływała mu aż do kolan, głowa jego była prawie zupełnie bez włosa. Dotknął brody swéj i głowy, i zawołał przestraszony:

— Boże i Panie! dopomóż mi! Ileż to lat musiałem na téj opoce przespać! Biedny Krake! całe życie prześnić! Pozwól mi teraz umrzéć wszechmocny Panie, cóż mi po życiu, jeśli życzenia mego serca nie ustaną, a nie będę mógł ich spełnić.

Niech się zamkną snem wiecznym oczy moje, abym znowu tak okropnie nie marzył.

Gdy następnego poranku statek jakiś zawinął u stóp téj skały, rybacy, którzy na niéj chcieli sieci swe suszyć, znaleźli zwłoki nieznajomego starca, wzięli je z sobą i pochowali w miękkiéj ziemi.

NIESPODZIANY DOBROCZYŃCA.

Pomiędzy osobami które w r. 1815 były codziennemi gośćmi w Café de Foy, znajdował się niski w podeszłym wieku człowiek, ubierający się bardzo starannie, a jednak śmiesznie. Na głowie nosił wielką perukę z długim harcapem, pantalony czarne, buty aż po kolana i zawsze tak świecące się że można się było w nich przejrzeć; długa zielona kamizelka sięgała z drugiéj strony prawie do samych kolan, brunatno kasztanowaty surdut i kapelusz jak głowa cukru, dopełniały jego ubioru.

Ten mały, podeszły człowiek, przychodził codziennie, punkt o godzinie pierwszéj do, wspomnionéj wyżéj kawiarni, żądał filiżanki kawy z śmietanką i bułki, którą zawsze na równą ilość kawałków przekrawał; ta bułka musiala być koniecznie czerstwą, dlatego, codziennie odkładał jeden z garsonów dla starego jegomości taką bułeczkę z dziś na jutro. Z powodu téj okoliczności, gość ów nazywanym był przez usługujących, „panem który je czerstwą bułkę.“

Sposób życia tego jegomości był tak jednostajnym, że można go było porównać z automatem. Codzień wchodził do kawiarni nie oglądając się ani w prawą ani w lewo; szedł prosto do stojącego w kąciku, małego, niewygodnego stolika, który nigdy prawie nie był zajęty. Skoro przyniesiono jego śniadanie, brał zawsze z pięciu kawałków cukru leżących obok filiżanki, dwa, które chował do prawéj kieszeni w kamizelce; potém smarował wszystkie kawałki masłem, posypywał prawie jednakową liczbą ziarnek soli, i następnie wyłącznie zajmował się śniadaniem, nie rzuciwszy nawet okiem na żaden z dzienników.

Niektórzy zapaleni politycy odwiedzający tęż kawiarnię, dziwili się temu niezmiernie, i nazywali małego starego jegomości, Wandalem, którego nic nie obchodzi szczęście ludów całego świata. On jednakże nic nie zmieniał w swojém postępowaniu, z nikim znajomości nie zabierał, a nawet nie wymówił

nigdy ani jednego niepotrzebnego wyrazu; w milczeniu pożywał śniadanie, i kończył je zwyczajnie marszem, który palcami o stół bębnił; potém podciągał buty jak mógł najwyżéj, płacił za śniadanie, dawał usługującemu jednego sou, i wychodził nie ukłoniwszy się nikomu.

Jednostajne postępowanie tego jegomości, zwróciło wkrótce powszechną uwagę gości a nawet posługaczy, i ponieważ spokojne jego zachowanie się, nie wróżyło w nim wojennych skłonności, spodziewano się, że będzie wybornym celem, do którego każdy będzie mógł wymierzać pociski swego dowcipu. Młody jakiś podporucznik na połowie żołdu, szukający jaknajmniéj kosztujących rozrywek, dnia pewnego zajął zawczasu miejsce przy stoliku, gdzie zwykle siadał stary jegomość, który za przybyciem, usiadł po drugiéj stronie tego samego stolika.

— Tu niéma miejsca dla dwóch, odezwał się podporucznik głaszcząc wąsy:

— Komu niewygodnie niech poszuka lepszego miejsca, odpowiedział stary, z miną nie wróżącą chęci poruszenia się.

— Młody wojownik nie mógł się oprzeć tak przekonywającéj odezwie, powstał i oddalił się w inną stronę sali. Jeden z garsonów chciał także doświadczyć obojętności starego gościa, który jak wspomnieliśmy nie lubiąc wiele mówić zwykł był palcem pokazywać ile chce, aby mu nalan

kawy lub śmietanki. Garson, niby niechcący wrzącą kawą oblał palec starego jegomości. Tumilcząc podniósł się, i z szybkością któréjby się po nim nie można było spodziewać, tak silnie garsona uderzył nogą, tam gdzie tenże nie nosił fartucha, iż nieprzezorny psotnik padł jak długi na ziemię. Słowem stary jegomość, który tylko czerstwą jadł bułkę, zwyciężył swoich przeciwników, i śmieszków na swoją stronę przeciągnął; pozwolono mu odtąd spokojnie przy małym okrągłym stoliku pożywać skromne śniadanie.

Pewnego dnia, w końcu 1817 roku, mały stary jegomość wyszedł, nie zapłaciwszy za śniadanie, ale że nic nie mówił, sądzono iż uczynił to przez zapomnienie, i że nazajutrz zapłaci bez wątpienia. Ale nazajutrz i dni następnych, jegomość jedzący tylko czerstwą bułkę, pił jak zwykle kawę z śmietanką, chował do kieszeni dwa kawałki cukru, bębnił marsza, podciągał w górę długie swoje buty, słowem wszystko czynił jak dawniéj, ale nie płacił.

Ta zmiana trwała już od tygodnia. Nakoniec właściciel kawiarni, postanowił podać mu rachunek, ponieważ ani jego nazwiska, ani miejsca zamieszkania nie znając, obawiał się utracić należące się od niego pieniądze.

Dominik, starszy garson w téj kawiarni, polubił bardzo starego jegomości, za to, że tak się zawsze spokojnie zachowywał. Pomyślał on, że

stary jegomość znajduje się może w téj chwili, w nienajpomyślniéjszym stanie pieniężnym, pewien jednak uczciwości starca, postanowił zostać ręczycielem jego u swego pana, za to co tamten spożył i mógł jeszcze spożyć.

Ale wyrachowania poczciwego Dominika cokolwiek go omyliły. Dziesięć miesięcy upłynęło, a stary jegomość nie myślał wcale płacić. Właściciel kawiarni i posługacze, dziwnie spoglądali się na niego, a Dominik zaczął już cokolwiek żałować że bez namysłu postąpił. W tém jednego dnia, mały stary jegomość zażądał swego rachunku, zapłacił wszystko, z dodaniem 15 franków i 6 sous dla garsona, to jest po jednym sou za każdy dzień.

Gdyby Dominik działał interessownie, byłby się bardzo omylił, bo we Francji wszystkie pieniądze udzielane przez gości garsonom składane bywają do wspólnéj kassy i w pewnych czasach zarówno między wszystkich rozdzielane. Dominik wiedział o tém, i szukał tylko w swojém sercu nagrody za swój szlachetny postępek; podziękował nieznajomemu za zapłatę, włożył do wspólnéj kassy przeznaczone dlań pieniądze, resztę zas schował do swojéj maléj szkatułki, bo codziennie wypłacał z niéj należność za starego jegomości.

Nieznajomy przypatrywał się tym wszystkim poruszeniom Dominika bębniąc palcami w stół, tymrazem jednak dłużéj i prędzéj jak zwykle; żadném

słowem jednakże ani nawet spojrzeniem, nie dał do zrozumienia iż odgadł postępek Dominika względem niego.

W końcu tegoż roku, w trzy lub cztery miesiące po owym obrachunku, właściciel kawiarni dorobiwszy się już pięknego majątku, postanowił porzucić to zatrudnienie i sprzedać całe gospodarstwo. Usłyszawszy o tém stary jegomość skinął na Dominika aby przyszedł do niego, i zaczął z nim rozmawiać. Ta okoliczność tak zdziwiła Dominika, jakby która z zdobiących salony alabastrowych figur, otworzyła usta i zażądała filiżanki kawy. Przedmiot rozmowy wkrótce większe jeszcze sprawił mu podziwienie.

— Mój przyjacielu, zaczął stary jegomość, zdajesz mi się poczciwym człowiekiem, i lubię cię bardzo.

— Dominik ukłonił się ściągając ramiona, co równie „dziękuję“ jak „mało mię to obchodzi“ mogło znaczyć.

— Przekonany jestem, mówił daléj gość, że zebrałeś sobie cokolwiek pieniędzy. Wiem o tém i o czémś więcéj jeszcze, czego nie mówię bo znam wartość słów i nie lubię niepotrzebnie gadać; wiem że masz gotowe pieniędze.

Dominik odstąpił krok w tył, pomyślawszy sobie: On chce odemnie pieniędzy pożyczyć.

Mały jegomość zdawał się odgadywać myśli Dominika, twarz jego dziwnie się wykrzywiła,

— Masz pieniędze złożone w jednym z banków, odpowiedz mi zatém krótko i węzłowato na moje pytanie: jak sądzisz, ponieważ możesz znać się na tém, czy mógłby wyjść dobrze ten, ktoby kupił od twojego pana tę kawiarnię?

Dominik ucieszony, że może rozprawiać o tém co go zajmowało, odpowiedział: że jeśliby kto znał swoję rzecz i niepotrzebował zaciągać wielkich długów dla kupienia téj kawiarni, przedsięwzięcie to mogłoby mu bardzo pójść szczęśliwie.

— Dla czegóż więc nie kupujesz sam tego gospodarstwa?

— Ja? o to jakim sposobem?

— Za pieniądze które sobie oszczędziłeś.

— Mam zaledwie 10,000 franków.

— Ale ja znam kogoś, który ci resztę pożyczy. Wieleż potrzebujesz?

— Nic wcale! Nie myślę zaciągnąć długu na 200,000 franków. Cały mój dochód poszedłby na opłacenie procentów. Wolę raczéj parę lat zbiérać po trochu, i potem mały jaki zakład kupić, aniżeli wystawiać się teraz na niebezpieczeństwo zbankrutowania.

— Rozsądnie mówisz, ale zdaj całą tę rzecz na mnie.

Mały jegomość, jedzący tylko czerstwą bułkę, podciągnął buty jak mógł najwyżéj i wyszedł nie mówiąc więcéj ani słowa. Następującego dnia przyszedł pół godziny wcześniéj jak zwykle. Do-

minik gotował się postawić przed nim jego zwykłe śniadanie, ale nieznajomy zatrzymał go pytając: — Gdzie jest gospodarz?

— W swoim pokoju.

— Poprowadź mię do niego.

Dominik szedł z bijącém sercem; chociaż bowiem cały dzień starał się wmówić w siebie, że w głowie nieznajomego niebardzo musi być porządnie, dziwiła go jednak pewność z jaką tenże zdawał się do celu zmierzać. Wszedłszy do pokoju gospodarza, stary jegomość wprost zapytał:

— Wiele pan żądasz za swoje gospodarstwo?

— Nim odpowiem na to zapytanie, odrzekł gospodarz, spodziewając się jakiegoś żartu, chciałbym wiedzieć z kim mam zaszczyt mówić?

— Masz pan słuszność, przystępując do zawarcia układu, powinniśmy wiedzieć z kim mamy do czynienia. Jestem baron Ragelet były kommissarz jeneralny armij cesarstwa.

— Baron Ragelet! odpowiedział kłaniając się gospodarz, imie to jest mi znane, niedawno nawet czytałem je w gazetach.

— Bez wątpienia w skutku ogłoszenia mojéj niegodnéj rodziny, która chciała mi przeszkodzić używać mego majątku, uważając moję rozrzutność za skutek słabego rozumu. Przyszło do sprawy sądowéj, przez cały czas jéj trwania, to jest przez dziesięć miesięcy, nie chciałem przyjąć przeznaczonéj mi pensji; nakoniec sprawa rozstrzygniętą zo-

stała na moją stronę, i dziś jestem w stanie, temu poczciwemu człowiekowi odwd zięczyć sięza wydatki jakie dla mnie ponosił. Teraz kiedy się już wzajemnie znamy, wróćmy do naszego interessu. Jakąż tedy summę naznaczasz pan za swój zakład?

— 220,000 franków.

— Może to nie jest zbyt wiele, ale czasy są dziwne, jakakolwiek zmiana może zagrozić dobremu bytowi właścicieli podobnych zakładow; sądzę że 200,000 fr., dość będzie. Oto tu jest ta, summa, mówił daléj, wyciągając pnljares, w wexlach na bank francuski. Jeśli pan przystaniesz, to już rzecz skończona. Ja zwykłem prędko iść do celu i nieraz już daleko większe układy w kilku słowach kończyłem!

Dominik i pan jego, oba nie mogli słowa wyrzec z podziwienia, baron zdawał się być ucieszonym ich zadziwieniém i wykrzywił się śmiesznie. Nakoniec gospodarz kawiarni odezwał się:

— Przystaję na ten układ, ale sprzedaż musi być ułożoną w obec notarjusza.

— A to dla czego? zapytał mały jegomość.

— Ale bo co do procentów...... zaczął Dominik.

— Ba! odpowiedział Baron, pożyczam pieniędzy przyjacielowi, i nie jestem lichwiarzem. Żądam tylko twojego rewersu. Ale ponieważ nie myślę darować ci 200,000 fr., potrafię tak rzecz urządzić żebyś niedługo był mojm dłużnikiem.

Tak mówiąc, poszedł do kawiarni, wypił kawę z czerstwą bułką, odbębnił zwyczajnego marsza, podciągnął buty i poszedł podpisać jednym zamachem pióra, przygotowany akt kupna, na imie Dominika za 200,000 fr.

W kilkanaście dni potém, poczciwy Dominik był już właścicielem kawiarni, do któréj stary jegomość nieprzerwanie co dzień o téj saméj godzinie uczęszczał. W pół roku, kiedy teraźniéjszy właściciel kawiarni, postanowił zaślubić córkę poczciwego mieszczanina, którą oddawna już kochał; nazajutrz poślubie, mały jegomość jedzący tylko czerstą bułkę, odchodząc po śniadaniu, wcisnął w rękę Dominikowi odprowadzającemu go aż do drzwi, zapieczętowany papier. Podpisane było zwierzchu. *Procent od dziesięcio-miesięcznéj pożyczki poczciwego Dominika*! wewnątrz zaś był zakwitowany rewers na pożyczone mu 200,000 franków.

ALCHEMIK.

Podczas wojny domowéj w Genui, która tak wielu mieszkańców, zmusiła szukać schronienia w innych miastach, pewien, nazwiskiem Grimaldi zamieszkał w Pizie. Człowiek ten od młodości namiętnie pokochał pieniędze, i byłby z wytrwałością męczennika, wytrzymał wszelkie niebezpieczeństwa w swojém rodzinném mieście, gdyby uciekając nie mógł z sobą zabrać swoich skarbów. Kufry, które przywiózł z sobą do Pizy, i które jak mówił, zajmowały jego biédną garderobę, podług wieści napełnione były pieniędzmi i kosztownościami, a widok corocznie powiększającego się ubóstwa jakie okazywał, zupełną tworzył sprzeczność, z nieprzerwaną i jak mniemano korzystną zabiegłością. Skutkiem tego, uważano go za bogatszego niż był w istocie. Biédne jego ubranie i pożywienie, nie mogły już nikogo zwodzić w mieście, gdzie jego, lichwiarstwem zebrane skarby znane były. Przesadzone środki, jakich używał dla zabespieczenia swego mieszkania od złodziei i zbójców, były dla nich wskazówką, że warto podjąć trudy dla wciśnięcia do niego, a zupełna samot-

tność w jakiéj żył z obawy i skąpstwa, ułatwiała przedsięwzięcia złodzieja, którego nęciły jego bogactwa.

Pewnego wieczora wracając do domu z bogatym plonem całodziennych lichwiarskich zabiegów, został Grimaldi uderzony sztyletem, w chwili gdy zakręcał w ciasną uliczkę, sunąc się ostrożnie pod samemi murami domów. Cios, który bez wątpienia jako poprzednik zrabowania, powinien go był na miejscu życia pozbawić, niedość pewną wymierzony ręką, zostawił mu tyle siły, iż przy pomocy trwogi, zdołał umknąć przed napastnikiem. Noc była burzliwa, a ulica zupełnie ciemna, wyjąwszy na samym końcu, gdzie przez w pół-otwarte drzwi mocny blask ognia ją oświecał. Do tego pożądanego światła, spieszył starzec na skrzydłach trwogi, która tłumiła w nim uczucie boleści. Prędko przebył nie zamknięte drzwi i przez przedpokój wbiegł do drugiéj komnaty, z któréj mocne światło wychodziło, i stanął oślepiony blaskiem lamp i silnego piecowego ognia, przed zdziwionym mieszkańcem, z sztyletem w piersiach i z twarzą, na któréj wyraźnie można było dostrzedz walkę śmierci z żądzą życia.

Pokój, do którego wbiegł umierający lichwiarz gnany trwogą, był pracownią złotnika Ricciardo, który także przez całe życie dążył do majątku, ale na innéj jak Grimaldi drodze, i z innym skutkiem. Trudno sobie wystawić sprzeczniéjsze dwa

obrazy ludzi, których jedyném wspólném bożyszczem było złoto. Ricciardo, człowiek silnego ducha, ognistych namiętności i pełen żądz zmysłowych, pragnął złota, ale nie dla samego kruszcu jak stary Grimaldi, lecz dlatego, iż widział w niém sposób zaspokojenia swoich namiętności, a jego silna dusza, długo już wszelkie znosiła przykrości niedostatku i pracy, aby wydrzéć nauce tajemnice, za pomocą których spodziewał się jak wielu innych w tym wieku, otrzymać w obfitości ten pożądany kruszec. Miłość, która w podobném jak jego sercu, musiała przemódz wszystkie inne uczucia, wcześnie już przywiązała do jego losu żonę i dwoje dzieci. Widok ich niedostatku przemógł nawet własne jego żądze i dlatego aby ich niedoli zaradził, poświęcił się z największą gorliwością szukaniu filozoficznego kamienia. Powolna ale pewna droga jaką obrał Grimaldi, zamieniania cudzych potrzeb w złoto dla siebie, nie zdolną była przemówić do duszy zapaleńca Ricciardo, który w téj chwili ostatek swojego mienia poświęcił na ostatnią próbę, która miała uczynić go żebrakiem, lub wskazać mu drogę do niezmiernych bogactw. Téj nocy oddalił on z domu całą rodzinę, posławszy ją do choréj krewnéj, i siedział nad ognistym piecem pogrążony w marzeniach swéj błędnéj nauki, i z bijącém sercem oczekiwał stanowczéj chwili, która podług jego wyrachowań, powinna była wkrótce nastąpić. Aby miarkować cokolwiek du-

szące powietrze, pochodące z silnie rozpalonego pieca, otworzył on drzwi od ulicy.

Czułe serce złotnika, pomimo zatrudnienia mającego los jego stanowić, nie mogło obojętném zostać na smutny obraz który mu się nagle przedstawił, i po kilku prędkich pytaniach nie pomny na to, że w téj chwili idzie o los jego i jego rodziny, pospieszył udzielić bliźniemu pomoc, któréj tenże tak bardzo potrzebował. Wyjąwszy sztylet z jego piersi, starał się obficie upływającą krew zatrzymać. Muskuły twarzy ściągnięte boleścią wyprężyły się na nowo; rosa śmierci, zebrała się w grubych kroplach na czole skąpca, a złotnik spostrzegł iż krew obficie upływa na wewnątrz, że zatém nie ma sposobu uratowania rannego.

Wpośród szalonego przestrachu lichwiarza, nie podobna było dowiedziéć się od niego najmniéjszych szczegółów okoliczności któréj skutek tak był dlań nieszczęśliwym. Z niewiążących się z sobą odpowiedzi starca tyle tylko mógł wnieść Ricciardo, iż summy które zwabiły mordercę, poprzednio już zostały złożone w domu lichwiarza, i że teraz powracał z próżnemi kieszeniami, a zatém zbrodniarz niebyłby swego celu dopiął, nawet gdyby cios jego był lepiéj wymierzonym. Podczas kiedy Ricciardo nachylony nad konającym lichwiarzem starał się pocieszać go i uspokajać, nagle jakby grom pioronu, uderzył uszy jego szum; którego znaczenie dobrze rozumiał, i obejrzawszy się

w najokropniéjszéj trwodze na rozpalony tygiel, postrzegł iż chwila stanowcza przeszła, i on z całą rodziną został żebrakiem. Okropnie ścisnęło się serce nieszczęśliwego, i na chwilę zupełnie postradał przytomność; przyszedłszy nakoniec do siebie ujrzał się w pośród zupełnéj ciszy. Ogień w piecu prawie zupełnie wygasł, a przy słabym lamp blasku, Ricciardo poznał że nieczysta duszą lichwiarza porzuciła już ciało.

Zamknął drzwi prowadzące na ulicę, i usiadł, aby myśléć nad swoją niedolą. Ciało lichwiarza leżało tam, gdzie Ricciardo położył starca chcąc mu krew zatamować, i myśli o zamordowanym, mimowolnie mięszały się z obrazem jego własnego nieszczęścia. Nagłe zjawienie się i okropna śmierć bogatego skąpca, były w jego przekonaniu powodem utraty wszystkich jego nadziei, i ta sama chwila która tak okropnie zawiodła jego pragnienie złota, uśpiła na wieki tę samą namiętność w piersiach starego lichwiarza. Ta sama chwila, która silnego żywego człowieka i ojca, pozbawiła reszty mienia, ogromne skarby zostawiła bez właściciela. W tym zbiegu okoliczności wiele było dziwnego, Ricciardo widział w nim jeszcze co innego. Dzikie myśli miotały jego zapaloną głową, i gdy nakoniec niespokojny sen go opanował, okropne marzenia przedstawiały mu naprzemian blade twarze zgłodniałych jego dzieci i powabne złoto skąpca.

Taki okropny sen nie mógł trwać długo i złotnik wkrótce został obudzony szumem burzy. Lampy i węgle w piecu zagasły, i tylko błyskawice chwilowo oświecały trupa, będącego jedynym jego towarzyszem, w tym cichym ciemnym pokoju. Pierwszém uczuciem obudzonego złotnika, była litość nad nieszczęśliwym, którego tak niespodzianie okropny los spotkał, ale to ustąpiło wkrótce namysłowi nad własném dziwném położeniem, a ten namysł nie mógł go uspokoić. Podczas burzy ulice były puste, on sam tylko świadkiem był śmierci lichwiarza, i prócz niego nikt o niéj nie wiedział. Znane dobrze bogactwo zmarłego, a z drugiéj strony ubóstwo i pilne śledzenie środków otrzymania złota, z jakiemi się nie taił Ricciardo, niebezpieczném czyniło położenie tego ostatniego, gdyby u niego znaleziono zabitego lichwiarza. Pojmował i to, że podéjrzenie jakièby na nim ciężyło zwiększała ta okoliczność, iż nie zawołał sąsiadów ku pomocy, kiedy raniony lichwiarz przybiegł do niego, co on w istocie uczynił jedynie dlatego, że był zbytnie zajęty w owéj chwili swém alchemiczném doświadczeniem. Niktby bez wątpienia nie uwierzył aby on, jeśli nie był mordercą, pozwolił nieszczęśliwemu skonać w swojém mieszkaniu, nie wezwawszy niczyjéj pomocy, ani świadectwa. Uczuciem przestrachu ożywiony, powstał Ricciardo, zapalił światło i przypatrywał się trupowi. Przedstawiał on okropny widok. Skąpiec oszukał nawet nadzieje

robaków, którym miał być ucztą po śmierci, wysuszając za życia jeszcze ciało swoje prawie na skielet. Ricciardo jednak pokonał wstręt, i zaczął pilnie przeglądać ubiór zmarłego. W łatanych kieszeniach znalazł tylko wiązkę kluczy, złota ani śladu, a Ricciardo uczuł, że ta okoliczność powiększa jeszcze ciężar podejrzeń na jakie widział się wystawionym.

Nieszczęśliwy złotnik rzucił się znowu na łoże, i zebrał myśli aby cokolwiek postanowić, co by w teraźniéjszém jego położeniu najkorzystniéjszém dlań być mogło. Miał jeszcze przed sobą wielką część ciemnéj nocy, ale nazajutrz jeśli doniesie władzy miejscowéj o popełnioném morderstwie, pewnym był że nie uniknie niezasłużonéj kary ponieważ nie jest wstanie niczém niewinności swojéj dowieść. Cóż miał czynić? Był jeden jeszcze sposób bardzo niebezpieczny jeśliby został odkrytym; to jest, ukryć trupa i zamilczéć o wszystkiém. Ale im bardziéj nad tym sposobem myślał, tem mu się wydawał bezpieczniéjszym. Nikt nie wiedział jak Grimaldi wbiegł do jego mieszkania, żadnego krzyku nie mogli słyszeć sąsiedzi, którzy widząc ogień w mieszkaniu złotnika, przekonanemi być musieli że on późno w noc zwykłym doświadczeniom się oddawał; śladów krwi niebyło, ani żadnego znaku że człowiek umarł w jego mieszkaniu. Trwoga jego ustąpiła tym myślom, i z mocném postanowieniem uchwycił klucze umar-

łego. Ale nagle wszystkie jego członki zadrzały; pot wystąpił mu na czoło, pierś jego zaledwie była w stanie oddychać. Nowa myśl zabłysła w głowie Ricciarda, była ona zrazu słabym promieniém ale dusza Ricciarda skłonną była nadać jéj moc zupełną, i odkryć ją w zupełnym jéj blasku. Trzymał w ręku klucze od ogromnych bogactw skąpca! Lichwiarz bez życia znajdował się u niego; jego śmierć nie była nikomu wiadomą, nieobecność jego przez niejaki czas nie będzie zwracać uwagi. Złoto jego nie miało właściciela, a Ricciardo trzymał w ręku sposób uczynienia go swoją własnością. Zamordowany niemiał ani krewnych ani przyjaciół; jego majątek musi przejść w ręce obcego, dla czegóżby tym obcym nie miał być Ricciardo? Wmawiał w siebie, że więcéj ma do tego prawa niż kto bądź inny, ponieważ zajmował się ranionym starcem. Chciał go nawet pochować, i ta sama okoliczność że stary w domu jego umarł, czyniła go jego dziedzicem. W ten sposób oswajając się z główną myślą, przekonał nakoniec sam siebie, że dla uniknienia niesłusznych podejrzeń, powinien ukryć trupa i zabrać jego bogactwa które los tak dziwném zrządzeniem podawał mu w ręce, w chwili gdy znajdował się w największym niedostatku. Wszystko utwierdzało go w jego postanowieniu a czas naglił, trzeba się było spieszyć.

Wziął latarnię, krzesiwo i klucze skąpca, zagasił starannie światło w swojém mieszkaniu, zamknął dobrze drzwi, i wśród ciemności i burzy poszedł do pustego domu skąpca. Nawałnica ryczała z nową siłą, kiedy wychodził z swego domu, a Ricciardo uważał tę okoliczność, która bardziéj jeszcze ukrywała jego postępek, jako pomyślny znak nieba.

Za pomocą dwóch wielkich kluczy, łatwo wszedł do domu skąpca, szybko przestąpił próg i znalazł się wpośród nagich ścian samotnego mieszkania, do którego prócz niego żadna obca noga nie wstąpiła od czasu jak się w niém zagnieździł stary lichwiarz. Na chwilę opuściła go prawie odwaga, wyobraźnia jego wystawiała mu ducha skąpca stojącego w drzwiach aby go daléj nie puścić. Ale czas był drogi, a dusza alchemika silna, nie długo dała się uwodzić marom wyobraźni. Starannie zamknął drzwi od ulicy, zapalił latarnię i zaczął przeglądać dom dla spodziéwanych skarbów.

W jednym rogu ściany, naprzeciw drzwi zewnętrznych, okazywały mu się drugie bardzo silne, żelaznemi sztabami wzmocnione i z kilku zamkami. Po niejakim trudzie otworzył i te Ricciardo, i wszedł do komnaty, w któréj jak się zdawało zamordowany lichwiarz sypiał. Okno które niegdyś oświecało tę izbę, było zamurowane, a nędzne łóżko, które było tyle razy świadkiem niespokojnych snów starego skąpca, mały stolik, krzesło i

para pustych otwartych skrzynek, stanowiły cały sprzęt nędznego mieszkania. Na nieszczęście Ricciardo nie dostrzegał żadnego śladu bogactw, które podług jego zdania powinny były się tam znajdować. Nie dał się tém odstraszyć, i po dokładném przejrzeniu ścian i podłogi, przekonał się, iż tam gdzie łóżko stało, nie było muru tylko deski. Odsunął przeto łóżko, i zaczął pukać w różnych miejscach. Jak się spodziewał, wkrótce z wielką radością przekonał się, iż w jedném miejscu odgłos pukania okazywał próżnią, tu więc spoczywają skarby lichwiarza! trzeba tylko dojść do nich. Deski jednak zdawały się zupełnie gładkiemi, i nie można było dostrzedz żadnego ustępu. Jedna tylko po uważném przypatrzeniu się widocznie więcéj wystawała jak inne. Na to miejsce zwrócił Ricciardo całą swoją uwagę, nie mógł jednak w żaden sposób poruszyć deski, nakoniec kiedy w jedném miejscu nacisnął, upadła cała ściana na wewnątrz i okazała się w małém ledwie na dwie stopy szerokiém międzymurzu, dość duża skrzynia. Ta skrzynia miała wiele zamków, które jednak Ricciardo z niewielkim trudem otworzył za pomocą właściwych kluczy, i skarb starego lichwiarza, leżał teraz przed nim przy świetle latarni którą miał z sobą.

Jakkolwiek zagorzałym miłośnikiem złota był Ricciardo, okazał się jednak w téj chwili bardzo rozsądnym. Skarby skąpca okazywały mu się pod

rozmaitemi wabiącemi kształtami, i trudno się było opierać tak wielkim pokusom. Złote pierścienie i bransoletki, djamenty i tysiączne inne kosztowności, leżały obok czterech popieczętowanych worków, w których podług przyłączonych kartek znajdowało się po 5,000 sztuk złota. W téj chwili Ricciardo musiał wezwać całéj przezorności, aby nie popełnić co takiego, coby mogło ściągnąć nań podéjrzenie, jeśliby po zniknięciu nagłem starego Grimaldi, władze nakoniec otworzyły jego mieszkanie. Gdyby wszystko zabrał, gdyby większéj przynajmniéj części nie zostawił, byłoby to widocznym dowodem rabunku. Kosztowności, które mógłby zabrać, nie łatwe były do zbycia, i mogły być przez dawnych właścicieli poznane, osądził przeto za najroztropniéjszy postępek poprzestać na workach ze złotem. Wyjąwszy je, zamknął na powrót skrzynię, osadził w swojém miejscu ścianę z desek, przysunął łóżko i wyszedł z swoją zdobyczą do pierwszéj izby. Pozasuwawszy wszystkie rygle i sztaby, i zgasiwszy latarnię, opuścił mieszkanie skąpca, zamknął drzwi od ulicy, i niepostrzeżony, bez przeszkody wrócił do swego domu.

Noc już była na schyłku; starannie zamknął drzwi i poszedł dopełnić jednéj jeszcze koniecznéj czynności. Wziął ciało lichwiarza i zaniósł je do piwnicy. Tu odjął cegły tworzące podłogę i zaczął kopać dół tak głęboko jak mu czas pozwa-

lał. Włożył potém klucze w kieszeń umarłego, spuścił go w dół wykopany, zasypał ziemią i przyłożył cegłami, i starannie zagładził wszelki ślad swojego postępku. Ukończywszy swe dzieło, wrócił do mieszkania, rzucił się na łóżko, i zasnął znużony wysileniami i wzruszeniem.

Już był zupełny dzień kiedy wzmocniony snem Ricciardo obudził się i na nowo zaczął się namyślać nad swojém położeniém. Czuł że musi bardzo ostrożnie, postępować z użyciem bogactw tak szybko nabytych, i dla tego postanowił przez niejaki czas żadnéj nie zaprowadzać zmiany w dotychczasowym swoim sposobie życia. Długa nieobecność starego Grimaldi zwróciła po kilkunastu dniach uwagę władzy miejskiéj i drzwi jego domu na urzędowy roskaz i w przytomności osob sądowych gwałtem zostały otwarte. Nie znalazłszy ani lichwiarza ani jego skarbów, zamknięto drzwi napowrót i położono na nich urzędową pieczęć, a gdy po kilku miesiącach Grimaldi nie wracał osądzono że potrzeba ściślej przejrzeć jego mieszkanie, wskutku czego znaleziono na pozór nic nie tknięte skarby, i w imieniu zwierzchności uczyniono prawne zajęcie.

Szczególne zniknięcie skąpca powoli przestało być zajmującém i nakoniec zupełnie o nim zapomniano.

Dopiéro kiedy ucichły rozmowy o tym wypadku, zaczął Ricciardo wspominać o odkryciu jakie

uczynił zapomocą swoich doświadczeń, mówił nawet o sztabach złota jakie potrafi otrzymywać z innych ciał, a chociaż wielu śmiało się z niego, byli jednakże i tacy którzy mu wierzyli a przynajmniéj pragnęli się przekonać, bo podobne odkrycie nie uważano za niepodobne w owym wieku.

Zwolna słowa złotnika nabierały pewności, nakoniec oświadczył, iż uda się do Francji aby okazać tamtejszym Alchemikom swojéj roboty złoto, i zamienić je na pieniędze. Dla ukrycia bardziéj jeszcze prawdy, pożyczył sto złotych na podróż, od jednego z sasiadów, oddał połowę tych pieniędzy żonie, dla opędzenia domowych potrzeb przez czas jego nieobecności, a za pomocą reszty czynił przygotowania do swojéj tak wiele obiecującéj podróży.

Wspomnieliśmy dawniéj, że Ricciardo wcześnie bardzo ożenił się z kobietą, którą namiętnie kochał. Ani lata, które od czasu ich zaślubienia przeminęły, ani troski i niedola którą nieraz musieli znosić, nie zdołały téj miłości ostudzić. Dla żony tylko i dla dzieci jego pragnienie bogactw, które poprzednio było tylko zabawką, zamieniło się w zwyciężającą wszystko namiętność. Dla nich tylko głównie, pódejmował on tyle trudów dla odkrycia tajemnicy, która go miała najbogatszym z ludzi uczynić. Ale te jego usiłowania i wydatki jakie na swoje doświadczenia czynił, były nieraz powodem trosk dla żony która go nad życie kochała, nie podzielała jednak jego nadziei dopię-

cia celu, a w chybieniu onego, widziała okropną przyszłość dla swoich dzieci. Teraz śmiały zamiar męża, oddalenia się do Francji dla użycia tam swego odkrycia, zamiar, w którym widziała tylko chęć uniknienia jéj troskliwego wzroku, aby tém gorliwiéj poświęcić się poszukiwaniom, które znowu mogły być zawiedzionemi, napełnił jej serce smutkiem. Używała wszelkich sposobów jakie jéj miłość podawała, aby odwieść męża od tego zamiaru, a kiedy jéj przekładania nie odniosły skuku, chwyciła się najsilniéjszéj broni kobiet, to jest łez. Ten sposób kobiecie która jest kochaną zawsze zapewnia zwycięstwo. Ricciardo nigdy nie mógł obojętnie patrzeć na smutek bliźniego, a łzom ukochanéj małżonki nigdy nie potrafiłby się oprzeć. Nie mogąc wmówić w nią wiary w swoje mniemane odkrycie, postanowił nakoniec objawić jéj prawdę. Poprowadził ją do piwnicy, i na grobie lichwiarza odkrył jéj tajemnicę swego zbogacenia się, i przekonał ją o rzeczywistości i wartości posiadanego złota.

Jakkolwiek niebezpieczeństwo w jakie niewinnie mógłby był wpaść Ricciardo, gdyby u niego znaleźli byli zamordowanego skąpca, przeraziło tkliwą Kamillę, cieszył ją jednak użytek jaki jéj mąż z tego wypadku uczynił, i uważała w tém wyraźne zrządzenie opatrzności aby ich wydźwignąć z niedoli. Musiała jednak ciągle udawać, że ją martwi odjazd męża, i dlatego Ricciardo oddalił

się w pośród łez rodziny i śmiechów całego miasta, z którego on całém sercem śmiał się po cichu.

Przybywszy do Marsylji wymienił swoje pieniędze na wexle, które miał wypłacić pierwszy bankier w Pizie, i po upływie umówionego czasu, napisał do żony iż przedał swoje sztaby złote i wkrótce powróci do domu. Ten list pokazywała Kamilla krewnym, przyjaciołom, znajomym, sąsiadom i każdemu kto tylko chciał, a wszyscy dziwili się niepomału. „Sztaby, pisał Ricciardo, uznano za najczystsze złoto, i wiadomość o odkryciu tak ważném, rozeszła się po całém mieście. Lubownicy wszystkiego co jest dziwném, i oddani poszukiwaniu kamienia filozoficznego Alchemicy, zarówno zajęli się tym wypadkiem. Na nowo rozpalono ogień w piecach wszystkich pracowni, i Ricciardo przybywszy do Pizy, zastał nadzwyczajny ruch w całém mieście. Skoro tylko odebrał od bankiera summy za przywiezione wexle, wszyscy w mieście uznali go najmędrszym z mędrców i z najgłębszém uszanowaniem przyjmowali.

Ale oprócz zmiany w położeniu złotnika który teraz żył jak bogaty obywatel Pizy, zaszła także zmiana w jego charakterze, bo łatwość zadośćuczynienia namiętnościom, zwykle niebespieczną jest dla ognistych temperamentów do jakich się liczył Ricciardo. Zbyt nagłe on z niedoli i obawy większych jeszcze nieszczęść, przeszedł

do bogactw, i jak choremu, który pierwszy raz po długiéj słabości wyjdzie z swéj komnaty na wolne powietrze, zdawało mu się że nie może dość obficie napawać się widokiem słońca i świeżością powietrza. Wprawdzie serce jego nie miało udziału w rozwiązłem życiu, jakie idąc za przykładem wszystkich bogaczy Pizy, rozpoczął, ale głowa tak łatwo skłonna do gwałtownych uniesień porwana zamętem światowego zepsucia, ślepo rzuciła się w tę nową drogę którą dotychczas, niedostatek nieprzebytą tamą zamykał. Żona która w czasach niedoli jedynym była przedmiotem jego nadziei i życzeń, uczuła że teraz jeśli nie nad sercem jego to przynajmniéj nad myślami dzieliła się władzą z wielu innemi przedmiotami i Kamilla zaczęła tęsknić do pełnych trosk dni pierwiastkowéj miłości pędzonych w pośród niedostatku i ciągłę zawodzących marzeń i rachub męża.

Pomiędzy wielu, korzystającemi z chojności bogatego złotnika, od czasu tak pomyślnie zmienionych jego majątkowych okoliczności, znajdowała się młoda sierota, daleka pokrewna Kamilli i na jéj prozbę wzięta do ich domu. Na nieszczęście Ricciarda piękność Ireny była nadzwyczajną, ona wiedziała o tém i lubiła podbijać serca mężczyzn.

Pierwéj nim mógł dostrzedz niebezpieczeństwo, Ricciardo wyczytał miłość w oczach Ireny i nie był dość silnym aby swoje serce od wzajemnych

uczuć obronić. Wkrótce namiętność ta, takiéj nabrała gwałtowności, iż Ricciardo nie miał siły utaić ją, i gdy nakoniec okropna prawda jasno okazała się oczom Kamilli, cios ten był dla niéj błyskawicą, która oślepiła ją nie zabijając. Kamilla wiele przykrych lat spędziła w cierpliwości, i gotową była nadal znosić niedostatek i wszelkie przykrości, dla męża, którego nad życie kochała, tylko tego nieszczęścia znieść nie mogła. Miłość męża była skarbem, który jéj zawsze wynagradzał niedostatek wszystkiego innego, i w téj chwili serce jéj nie chciało zamienić téj miłości za złoto zamordowanego skąpca. W jéj na pozór spokojnéj i słodkiéj duszy, tlała iskra, którą cios w téj chwili sercu jéj zadany, na jaw wydobył. W pierwszym wybuchu, Irena wpośród gwałtownych wyrzutów została oddaloną z domu swojéj opiekunki, a Ricciardo musiał na chwilę ugiąć się przed gniewem swojéj żony.

Ale nowa namiętność zbyt silnie opanowała jego serce, i nie pozwalala mu długo ulegać woli téj, któréj najdrobniéjsze życzenie prawem było niegdyś dla niego, i wkrótce na jéj przedstawienia odpowiedział zuchwalém wyznaniem swojéj występnéj miłości, nie zważając, że tym postępkiem nielitościwie zdeptał biédne serce, które tak długo przedmiotem było najtkliwszych jego uczuć; a potém oddalił się oświadczając, iż poszu-

ka dla Ireny innego mieszkania, gdzieby zazdrosna żona, nie mogła przeszkodzić jego miłości.

Kamilla doznawała okropnéj walki uczuć w swém sercu, widząc się samotną, opuszczoną, i nieprędko rosa łez ulżyła palącéj ją boleści. Wtedy dopiéro mogła namyślać się nad swojém położeniem; wspomniała dawne roskosze miłości, a ubóstwo zdawało jéj się powabném; przeklinała złoto które jéj wydarło spokojność i chciała wszystko poświęcić aby tém poświęceniem odzyskać tę miłość męża, która jéj nędzę i troski przyjemnemi czyniła. Te myśli nie opuszczały jéj na jawie ani we śnie; nakoniec poznała, że złoto jest tym potężnym czarownikiem, który opętał serce jéj męża, i osądziła, że uwolni go z tych pęt skoro mu złoto odbierze. Serce jéj uchwyciło się chciwie téj myśli, któréj wstrząśniony jéj umysł nią mógł odsunąć i prawie w szaleństwie szukając w ciemności duszy swojéj, pozornéj przynajmniéj pomocy, opuściła samotne swoje mieszkanie, i oskarżyła swego występnego męża przed zwierzchnością Pizy, o przywłaszczenie sobie skarbów lichwiarza.

Oskarżenie własnéj żony, przeciw tak znakomitemu mieszkańcowi jakim był teraz Ricciardo, obudziło zadziwienie powszechne. Ale wypadało spieszyć się z wyjaśnieniem téj nadzwyczajnéj okoliczności. Stosownie do zeznania Kamilli, udano się do piwnicy w domu Ricciarda, odkopano trupa, i wydarto nieszczęśliwego złotnika z objęć Ireny,

aby roskosze występnéj miłości, zamienił na dręczące marzenia, jakie go czekały w samotném, ciemném więzieniu Pizy.

Kamilla wróciwszy do mieszkania które teraz na wieki pustém uczyniła, znalazła tam posługaczy sprawiedliwości i z ust ich dowiedziała się, iż jéj mąż przed chwilą został wzięty do więzienia. Boleść jaką sprawiła jéj ta wiadomość, rozdarła zasłonę, którą zazdrość pokryła jéj oczy i nieszczęśliwa w rospaczy, dopiéro ujrzała jasno co uczyniła. Jak obłąkana wybiegła z domu i pospieszyła rzucić się do nóg sędziów, ale na próżno. Jéj łzy ani prośby, nie mogły cofnąć zeznania potwierdzonego skutkiem przedsięwziętych poszukiwań, i wyjaśniającego nierozwiązane dotąd zagadki. Nagłe zniknięcie lichwiarza i zbogacenie się złotnika nie były już nadzwyczajnościami. Ciało znalezione w piwnicy domu Ricciarda niewątpliwie było ciałem lichwiarza, i nieszczęśliwy złotnik uznany został za mordercę.

Ale w więzieniu, wystawiając sobie los, którego nic już odwrócićby nie zdołało, dusza Ricciarda powróciła na dobrą drogę. Znikła występna namiętność, a cnota na nowo objęła chwilowo utraconą władzę. Serce jego ocuciło się z głębokiego snu, w którym je występna miłość pogrążyła. Na oskarżenie o łupieztwo bogactw skąpca, odpowiedział spokojném, pełném skruchy i żalu wyznaniem, ale kiedy mu zarzucano morderstwo,

z godnością i zapałem zaprzeczył. Jednakże na próżno opowiądał najdrobniéjsze szczegóły tyczące się śmierci lichwiarza, i sam czuł, że jego opowiadanie nie może obudzić wiary w sędziach pozory zbyt wyraźnie mówiły przeciw niemu, i wkrótce sąd wydał wyrok śmierci.

Zostawiono go samego, aby się mógł na śmierć przygotować. W téj godzinie, kiedy zagadka życia została rozwiązaną, kiedy nic niepozostało prócz śmierci, obudziło się w jego sercu, jak zwykle w podobnéj chwili bywą, wspomnienie młodości, a z nią obraz pierwszéj szczęśliwéj miłości. Wiedział on, że małżonka, która w téj chwili posiadałą napowrót całą jego miłość, poprowadziła go na krwawe rusztowanie, ale czuł, że ona równie jak on jest ofiarą, i serce jego zapragnęło raz jeszcze przed wiecznêm rozłączeniem, zobaczyć tę która dawniéj i teraz była panią wszystkich jego uczuć. Zezwolono na to, bo po dopełnieniu tego co wymaga sprawiedliwość, sędziowie czuli iż powinni dać przystęp litości.

Ricciardo i Kamilla w wzajemném objęciu przepędzili ostatni dzień przed wykonaniem wyroku. Obraz ich poprzedniego życia przedstawił się ich duszom; teraźniéjszość nie miała dla nich powabu bo nieprzedstawiała im nawet najbliższéj przyszłości, patrzyli na przeszłość, jakby ich życie już się zupełnie skończyło. Księżyc spoglądał przez okno więzienia, tak jak w owych jasnych nocach któ-

re słuchały ich wzajemnych przysiag, a gdy nadszedł poranek, gdy Ricciardo po długiém spojrzeniu i długiém pocałowaniu, odszedł aby się udać na wieczny spoczynek, Kamilla spoczywała pod tarczą spokojnego głębokiego uśpienia.

Kronika Pizy, przytaczą okropny wypadek, którym niechętnie zakończenie naszéj powieści posępniéjszém jeszcze czyniemy. Nieszczęśliwa małżonka obudziwszy się i nie znalazłszy już męża wpadła w okropne obłąkanie. W pośród złorzeczeń ludu, który jak zwykle po wykonaniu wyroku okazuje litość nad ofiarą sprawiedliwości, utorowała sobie drogę do rusztowania, i weszłą na nie pod pozorem że raz jeszcze chce zwłoki męża uściskać; nagle w pośród łkań widzów, wzruszonych jéj rozpaczą, wydobyła ukryty za suknią sztylet i nim zdołano przeszkodzić jéj zamiarowi, zadała sobie cios śmiertelny.

OKRĘT TRUPÓW.

— Która godzina sterniku?

— Kwadrans po północy kapitanie. Ale proszę was, zejdźcie do kajuty, zimny północno-zachodni wiatr i mgła, szkodzić mogą waszemu słabemu zdrowiu. Jutro, jak słońce się pokaże, będziecie mogli parę godzin tu posiedzieć. Teraz czas spać się położyć.

— Wolę tu pozostać, tam na dole tak mi się wydaje ciasno, sufit mojego pokoju chyli się jakby chciał spaść na mnie. Przeklęta żółta febra; źle się ze mną obeszła na wyspie Kuba, zdaje mi się że jeszcze czuję jéj jad w mojém ciele. — Kręciemy się tu w zatoce Biskajskiéj nie mogąc ani na stopę z miejsca się ruszyć. Proszę cię, jak mniemasz, prędko też zobaczemy brzegi staréj Anglji?

— Żeby nam tylko cokolwiek wiatr w żagle podmuchał, ujrzelibyśmy ją we dwa dni najdaléj, nasz Amfitrjon szybko płynie.

— Wiem to, znam go już od kilku lat! Ale muszę zejść na doł, febra zaczyna mię zimném przejmować. Steward, podaj mi rękę! Zwolna, bliżéj schodów, przecież nie jestém szybkobiega-

czem z Haymarkt. Czekaj! co to tam widać na płaszczyznie wód, w stronie północnéj! Sterniku, weź perspektywę.

— Nic nie widać, kapitanie! rzekł trwożnie stojący na straży.

— Milcz! nie ciebie się pytam! Sterniku weź perspektywę, zobacz co to płynie z północy na południe?

— Bądźcie spokojni kapitanie! prosił sternik, zdawało się wam tylko, nic nie widać.

— Nic nie widać! krzyknął kapitan gwałtownie, nic! Czyliż nie widzę jak się wznosi na wałach, tak jasno oświecone? patrzno na te olbrzymie maszty jakby jakiego liñjowego okrętu, z wylotów dział błyszczą trupie głowy, tak jasno jak świeżo upadły śnieg, na masztach mnóstwo żagli, na każdym trupie postacię narysowane czarnym węglem, a na galerji stoi cały skielet i wstrząsa groźną kosą.

— Biada nam, to okręt trupów! zawołał mimowolnie Stewrad.

— Milcz z twemi głupstwami! krzyknął, gniewnie nań spoglądając, sternik, nie mogąc jednak ukryć mimowolnego drzenia. Zaprowadź kapitana na dół i zaszrubuj twoje gadatliwe usta.

Skielet przewrócił klepsydrę, mówił daléj kapitan, ścigając błędném okiem bieg czarodziéjskiego okrętu. Niechcę już patrzéć, pójdę na dół! Ste-

ward podaj mi rękę. Dobranoc sterniku, bądź tylko bacznym, a nie lękam się o los okrętu.

Znikł we wnijściu do kajuty, okręt płynął daléj bez przeszkody, noc ciągle była nieprzejrzaną, mgła coraz gęstszą, łoskot wałów rozbijających się o przód okrętu, świst wiatru, i skrzypienie wind i powrozów, tworzyły razem przerażający koncert.

Steward wrócił po chwili, i przystąpił do sternika.

Kapitan położył się, a Jack usiadł przy nim, ale on nie może zasnąć, i mówi ciągle o okręcie z trupiemi głowami, ktory nam przed chwilą tak żywo opisał.

— Warteś żeby cię na dziale położyć i na befsztyk utłuc, za to że słabemu człowiekowi takie głupstwa gadasz, rzekł z gniewem sternik. Po co to paplać o takich rzeczach jak okręt trupów? Czyż ty temu wierzysz?

— Jakto, alboż wy temu nie wierzycie? zapytał poważnie Steward, i z trwogą spojrzał w stronę wskazaną przez kapitana. Nic nie widzę, to prawda, ale wierzę zupełnie. Pójdzcie tu, proszę was, przyniosłem z sobą butelkę Madery, najlepszéj z całego zapasu kapitana. Wszak on jéj i tak już pić nie będzie. Skosztujcie wina, i posłuchajcie co wam powiem o okręcie trupów.

Sternik nie był nieprzyjacielem tego napoju który z płynnym ogniem możnaby porównać, przyłożył do ust butelkę, a Steward tak mówił.

— Było niegdyś wielkie miasto; nie wiem jego nazwiska, ale leżało ono w bogatém, potężném państwie, a morze opłukiwało jego mury. W obszernym porcie stały mnogie okręty, z bogatemi ładunkami i wszędzie panowała zamożność, a nawet zbytek.

Tymczasem król tego państwa, osadził w owém mieście swego ulubieńca, aby zarządzał niém i wymierzał sprawiedliwość, jakby on sam to był czynił. Ale ten ulubieniec był chciwym, i wszystkie jego kroki dążyły tylko do tego, aby coraz większe zgromadzać sobie bogactwa. W bliskości pałacu kazał budować składy, które od ziemi aż do dachu napełnione były kosztownemi skarbami, które rozmaitemi sposobami nabywał, szczególniéj od tych, którzy tylko z okrętami zawijali do portu owego miasta. To wszystko jednak, nie wystarczało chciwemu, nienasyconemu jego sercu, zazdrość budziła w nim zamożność mieszkańców, i w zapalczywym gniewie rzucał się wieczorem na łoże, jeśli w ciągu dnia, usłyszał o szczęśliwém dopełnieniu którego z mnogich przedsięwzięć bogatych swoich poddanych.

Pewnego poranku, stał on przed bramą swego pałacu, i zawistnie spoglądał na leżące pod nogami jego miasto, na którego ulicach, odbywał się targ bardzo ożywiony.

— Przekleństwo wam! rzekł sam do siebie, którzy odważacie się bogactwa wasze tak jawnie okazywać. Jakbym rad, żebym jednym zamachem miecza mógł wszystkie wasze głowy postrącać, i stać się panem wszystkich waszych dostatków.

— To bardzo łatwo stać się może, ozwał się jakiś głos chrapliwy, niedaleko od niego. Zazdrośnik spojrzał z trwogą ku téj stronie z któréj głos pochodził, i ujrzał małego człowieka zaledwie na trzy stopy wysokiego, ale zupełnie kształtnéj po-

staci; twarz jego zmarszczkami była poorana, a śnieżna broda sięgała aż do pasa. Dziwną z tém sprzeczność tworzyły szorstkie czerwone włosy, najeżone na jego głowie jak szczotka; czarne oczy w których coś piekielnego błyszczało, spoglądały ostro na ulubieńca, który wzajemnie z trwożną ciekawością, patrzył na karłowatą postać, obudzającą w nim mimowolny przestrach.

— Kto jesteś? zapytał nakoniec po długiéj chwili milczenia.

— Człowiek, który innych ludzi zawsze czemś dobrém obdarza, chociażby sam mógł stąd szkodę jakąś ponieść, odpowiedział karzeł ostrym wstręt obudzającym głosem. Jestem kupiec podróżujący po wszystkich krajach, i trudniący się wszelkiemi sprawami które jakikolwiek zysk przynieść mogą. Przechodziłem w téj chwili mimo waszego pałacu, i słyszałem wasze życzenie; a że jestem w stanie spełnić je, przyszedłem zatém ofiarować wam moje usługi.

— Jakto? zapytał ulubieniec, mógłbyś....

— Mogę wam wskazać sposób, za pomocą którego, wszystkich mieszkańców tego miasta, nieżywych złożycie pod stopami waszemi. Zupełnie więc od was zależy, stać się panem tych pięknych bogactw.

— Ileż wymagasz za wyjawienie téj tajemnicy, zapytał chciwiec.

— Ileż mógłbyś dać za tak nieocenioną wiadomość, odpowiedział karzeł. Trzeba tylko odwagi i silnéj woli; reszta pójdzie zupełnie łatwo. Ale zakładam jeden warunek, musicie przez czas niejaki mieć mię za ciągłego towarzysza i nie starać się rozłączyć się ze mną. Dopóki tego punktu dotrzymacie, obu nam dziać się będzie dobrze.

— A kiedyż będę już znał ten sposób, zapytał ulubieniec.

— Jak tylko będziesz miał odwagę, odpowiedział karzeł.

— Tę mam zawsze! dumnie rzekł tamten; niech więc w téj chwili wszystko się stanie.

— Pójdź więc! rzekł karzeł, i udał się przez miasto ku portowi. Ów szedł za nim. Wszędzie ustępowano im się, i wkrótce doszli do brzegu. Tam stała czarna szalupa, wstąpili w nią i popłynęli ku okrętowi, który do koła pomalowany był trupiemi głowami, żagle takiemiż portretami były ozdobne, a drągi, ławy i inne przedmioty, składały się z białych trupich kości. Nie widać było ludzi, ale mnóstwo skieletów, które wyszczerzały zęby i wznosiły nagie ręce.

Chciwiec zadrzał wstępując na okręt, karzeł rzekł śmiejąc się:

— To jest okręt śmierći, niewidzialny dla ludzkiego spojrzenia, ten tylko może go zobaczyć kto ma umrzéć. Brakuje mu kapitana, ale to miejsce wkrótce będzie zajęte. Wszyscy których tu widzisz zajętych różnemi czynnościami, byli za życia zatwardziałemi grzesznikami, a teraz mają czas rozmyślać o tém. Kto przeznaczony jest służyć na tym okręcie, musi rozpoczynać od najniższych posług, i na tym stopniu pozostaje przez lat sto, potém postępuje na wyższy stopień, i tak samo przez wszystkie dwedzieścia stopni co sto lat. Nakoniec zostaje kapitanam, i staje z kosą na górnéj galerji. Wczoraj skończyło się sto-lat dotychczasowego kapitana, i z uderzeniem godziny ostatecznéj, skielet zbawionego grzesznika rozsypał się i wpadł w morze. Teraz osada nie jest zupełną, i okręt nie może pełnić właściwego swego przeznaczenia aż do chwili mianowania nowego kapitana okręt ten jest na wasze usługi.

Chciwiec nie rzekł ani słowa; zaledwie śmiał podnieść oczy, zęby drzały mu jak w febrze. Ka-

rzeł nie zajmował się nim dłużéj; ujął za ster, i okręt śmierci, strzałą puścił się po ustępujących się trwożnie bałwanach.

Niewiem, jak długo płynęli, ale po niejakim czasie zbliżyli się do wysokich skalistych brzegów, i okręt zatrzymał się jakby przykuty. Karzeł z towarzyszem swoim udali się na ląd, i obaj szli obok siebie po ciasnych dziwnie krętych ścieżkach, coraz głębiéj w góry rozciągające się przed niemi. Nigdzie nie widać było żadnéj żywéj istoty, najlżéjszy wietrzyk nie poruszał powietrza, żaden głos nie przerywał grobowéj zaciszy. Chciwiec bał się tak ponurego milczenia, chciał przerwać je i przemówić do towarzysza, ale język jego był bezwładny, oniemiał. Przerażony zaczął słuchać odgłosu kroków swoich, niesłyszał nic, chciał ująć rękę swego towarzysza, i chwytał tylko powietrze.

W tém wystąpiła z ziemi mglista postać, i zapytała przytłumiony głosem:

— Kto ty jesteś?

— Twój bezimienny ale najwierniéjszy sługa, odpowiedział karzeł, który odważa się prowadzić śmiertelnika do stóp twojego tronu.

— Czegóż on odemnie żąda?

— On nienawidzi posiadaczy ziemskich i chce widzieć ich umarłemi; podaj mu na to sposób, aniele śmierci.

— Jakąż chce dać za to nagrodę?

— Da co tylko zażądasz, odpowiedział karzeł, a więc żądaj o nienasycony! od równie nienasyconego.

— Niech przyjmie urząd, który dziś w państwie mojém nie jest zajęty!

— Będzie posłusznym, odrzekł karzeł władcy śmierci.

Okropne nocne widmo podniosło się i podało drżącemu chciwcowi błyszczące pudełko mówiąc:

— Wszystkie niszczące wyziewy piekła, zamknięte są w tém pudełku, otwórz je w przytomności tych, którzy ci przeszkadzają na ziemi, a ujrzysz jak pobladli padać będą bez życia. Idź twoją drogą.

Anioł śmierci znikł, a karzeł z swoim towarzyszem udali się tą samą drogą na powrót; dopiéro kiedy wstąpili znowu na pokład zaczarowanego okrętu, i zaczęli pruć wały morskie, odzyskał ten ostatni mowę. Trwoga zmieniła jego rysy, oczy stanęły słupem, konwulsyjnie ściskał w rękach piekielną szkatułkę, i nakoniec zawołał drżącemi ustami.

— Wściekły duchu, który przez piekielne czary odjąłeś mowę mojemu językowi! Co przyrzekłeś w mojém imieniu? Jaki urząd mam przyjąć?

— Czego się pytasz tchurzu? zawołał karzeł z obrzydłym śmiechem; masz objąć urząd, który przeszłéj nocy został osierocony, to jest ostatniego posługacza na okręcie trupów! To mała rzecz, dwadzieścia wieków służby, cóż to znaczy, kiedy masz w ręku sposób stania się najbogatszym w świecie.

— Przeklęty szatanie! krzyknął chciwiec, miałżebym się pozwolić tak zdradliwie złapać? przeklęty niech będę, że niedostrzegłem téj podłéj zasadzki. Ale zrywam układ, nie przjymuję tego podarunku.

— Sprobuj pierwéj téj skrzyneczki; jeśli nie otrzymasz pożądanego skutku, nie będziesz zobowiązany do niczego.

— Dobrze, doświadczę jéj ale na tobie, który mię oszukałeś. Ciebie przeklęty nikczemniku pragnę widzieć zniszczonym.

— Nie bądź tak zawziętym! żartując rzekł karzeł, spoglądając z szatańską radością na zdradzonego, który napróżno silił się otworzyć piekielną skrzyneczkę.

— Przeklęcie! wszystko tak jak się domyślałem. Zdrada, tylko zdrada! Powróć mię na to miejsce skąd tu przyszliśmy i odbierz sobie ten czartowski podarek.

Rzucił z taką gwałtownością ową skrzyneczkę pod nogi karła, iż na tysiąc kawałków rozprysła się. Ale w téj saméj chwili rozszedł się po całym okręcie śmiertelny wyziew zarazy.

— Biada mi; krzyknął chciwiec chwiejąc się, jakiém powietrzem oddycham! to jest śmierć! jestem zgubiony! ratunku! litości! przeklęty karle! łaski! biada mi!

Upadł na ziemię i w okropnych konwulsjach ducha wyzionął. Natychmiast odpadło ciało od jego kości i powstał znowu jako skielet. Przybiegły inne skielety i postawiły go na najniższém miejscu, każdy postąpił jednym stopniém wyżéj, a najstarszy wstąpił na galerję i potrząsnął kosą. To była jedyna przez cały wiek wesoła chwila na okropnym okręcie! —

— To więc jest ta okropna powieść majstrze Steward! rzekł sternik wysączywszy ostatek madery. Od jakiéjże to baby słyszałeś te wszystkie głupstwa.

— Głupstwa? rzekł Steward wielkiemi oczami patrząc na sternika. Patrzcie no tu i powiedzcie mi czy to tam na wschód, nie ten sam ognisty okręt który nam kapitan opisał? uważajcie, zbliża się do nas, i nim godzina przeminie będziemy mieli trupa na pokładzie.

I z niekształtnéj chmury nocnéj wystąpił olbrzymi zaczarowany okręt, którego działa trupiemi głowami były ozdobne; wiatr rozdymał białe żagle a

w pośródku ich, czarne znamiona śmierci jaśniały. Na galerji stał olbrzymi skielet z kosą, którą zamierzał się jakby dla zadania ciosu.

W téj samej chwili przeciągle i głośno zabrzmiał dzwon w kajucie. Sternik i Steward przerażeni zbiegli na dół; na wschodach spotkał ich Jack i rzekł:

— Idziecie zapóźno, nagłe owianie pozbawiło go życia. W chwili kiedy ostatni raz odetchnął, podniósł rękę i rzekł:

— Dowódca okrętu trupów spuszcza kosę, już po mnie.

— I po mnie, i po was, rzekł smutnie Steward do sternika, bo widzieliśmy okręt trupów. Dobranoc kapitanie, w krótce się zobaczemy.

Stał spokojnie, w milczeniu poddając się losowi. Sternik pobiegł na górę, włosy jego powstały na głowie; gdy wstąpił na pokład i trwożnie spojrzał do koła, już okręt trupów znikł.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

SPIS RZECZY

W TOMIE CZWARTYM ZAWARTYCH.